



TO NIE MOŻE BYĆ  
*prawda*

HANNA DIKTA





TO NIE MOŻE BYĆ  
*prawda*

HANNA DIKTA

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Od początku wiedziała, że ten wyjazd będzie kompletną klapą. Nie, nie chodziło o Ila i IIB, fantastyczne dzieciaki, które wszystkie, bez wyjątku, darzyła dużą sympatią, ale o nauczycielki. A konkretnie o jedną z nich.

Początkowo zamierzali jechać do kopalni soli we troje — Ala, ona i Wojtek.

— Jak tylko młodzi zasną, idziemy w tango — planowali ze śmiechem wypicie trzech piw, które historyk miał zwieźć na dół w swoim nieodłącznym wojskowym plecaku.

Lubili się i stanowili od paru lat nierozłączną „Świętą Trójcę”. Świętą nie do końca, bo Ala i Wojtek ze sobą sypiali, o czym jednak wiedziała wyłącznie garstka zaprzyjaźnionych osób. Oboje byli wolni, w ich związku nie było niczego niewłaściwego, jednak Ala wolała dmuchać na zimne. Twierdziła, że jeśli dyrektorka znajdzie dowody na ich „winę”, zrobi wszystko, żeby wyrzucić ją z pracy. Ją, nie jego. Baryła nie cierpiała ludzi, z naciskiem na kobiety.

Tak, wyjazd do zabytkowej kopalni soli zapowiadał się fantastycznie. Skończyło się jednak zupełną katastrofą. A zawinił wirus grypy. Jeden drobny wirusik, którym Wojtek zaraził się od swojego siostrzeńca — przedszkolaka. Temperatura trzydzieści dziewięć i dziewięć skutecznie uniemożliwiła historykowi udział w wycieczce, więc dyrektorka musiała znaleźć zastępstwo. I znalazła! Biologię Iwonę, najbardziej wkurzającą babę w szkole.

Iwona była rówieśniczką Ali i Małgorzaty, dobiegała jak one czterdziestki, jednak jej wygląd i zachowanie zdecydowanie przeczyły temu faktowi. Wiecznie skwaszona, niezadowolona z życia, mentalnością przypominała osiemdziesięciolatkę. Nie to jednak było najgorsze. Biologica była nałogową plotkarą, a przy tym „gumowym uchem”. Małgorzata podejrzewała, że Baryła celowo zastąpiła Wojtka Makiełą. Pewnie liczyła na to, że etatowa donosicielka przybiegnie do niej po wycieczce z kolejną rewelacją na temat swoich nieprawomyślnych koleżanek.

Zepsuła im nastrój już w autokarze. Kiedy Małgorzata z Alą rozmawiały z kierowcą i liczyły uczniów, zadowolona Makieła rozwaliała się na podwójnym siedzeniu w pierwszym rzędzie.

— Która siada ze mną? — spytała ze słodkim uśmiechem, wyjmując z papierowej torebki bułkę z jajkiem.

W efekcie zaprzyjaźnione nauczycielki musiały podróżować osobno — Ala na niskim siedzeniu obok kierowcy, Małgorzata obok zniechęconej biologicy.

Iwone, jak to Iwone, usta się nie zamykały. Przechodziła płynnie od opowiadania fabuły powieści Sparksa do krytyki pracy swoich szkolnych koleżanek. Kobieta żywiła głębokie, acz nieuzasadnione przekonanie, że w liceum pracują tylko dwie osoby — ona i dyrektorka. Reszta — począwszy od księdza, a skończywszy na woźnym — to krętacze i obiboki.

Tematów wystarczyło Makiele akurat do końca trasy. Wychodząc z autokaru przed kopalnią soli, Małgorzata aż musiała się otrząsnąć. Miała wrażenie, że pokrywa ją gruba warstwa psiej kupy.

Inaczej wyobrażała sobie to miejsce. Po pierwsze, na zewnątrz panował upał, a tam, na dole ziąb przenikał aż do kości. Po drugie, nie było mowy o żadnej prywatności. Wszyscy mieli spać na jednej wielkiej sali, wypełnionej po brzegi wąskimi łózkami pamiętającymi czasy głębokiego komunizmu. Małgorzata aż się wzdrygnęła na widok zszarzałej pościeli nie pierwszej świeżości. Całe szczęście, że dzieciaki wykazały mniejszą wrażliwość i ochoczo rozłożyły się na swoich legowiskach.

— Aluś, czy ty to widzisz? — szepnęła do koleżanki.

— Nie miałam pojęcia, że tu jest taki syf. — Matematyczka uśmiechnęła się przepraszająco. — Teraz niewiele da się z tym zrobić, ale jak wrócimy do Piekara, trzeba będzie napisać skargę.

— Nie pozostaje nam nic innego jak imprezować całą noc. Ja się do tego łóżka nie położę — oświadczyła Małgorzata pół żartem, pół serio.

— Imprezować? Przy Iwonce? Zrobi fotki i zanim wrócimy, Baryła już je zdąży zanieść do prokuratury — zaśmiała się Alicja.

— O czym tam, dziewczynki, plotkujecie? — zagadnęła Iwona, rozkładając się, wzorem uczniów, w swoim barłogu.

— O zbawiennym wpływie soli na układ odpornościowy — odpowiedziała Alicja z miną niewiniątka.

— A ja mam ostatnio takie problemy ze stawami. No, mówię wam, coś okropnego. — Iwona skrzywiła się teatralnie i podeszła do nich z rękami splecionymi na piersi. Małgorzata rzuciła Alicji wymowne spojrzenie. No to godzinę, która dzieliła ich od obiadu, mają z głowy!

O dziewiątej wieczorem przewodnik zabrał klasę na wycieczkę po kopalni. Ciemne wnętrza, rozświetlone tylko delikatnymi bocznymi lampkami, nawet na sceptycznej Małgorzacie zrobiły wrażenie. Było strasznie, ale klimatycznie.

W drodze powrotnej do Małgorzaty dołączył Dominik, klasowa maskotka. Kiedy Ila chciała przekonać do czegoś nauczycielkę, zawsze wysyłała delegację z Nowakiem na czele.

— Proszę pani, czy możemy zorganizować dyskotekę? — zapytał.

— Dyskotekę? — Małgorzata się zawahała. Poza nimi na sali nie było żadnych innych turystów, muzyka mogłaby być puszczone cicho, właściwie dlaczego młodzie nie mieliby się trochę pobawić? Trudno oczekiwać od szesnastolatków, że położą się o dziesiątej.

— Telefony nie działają... Nudno będzie. — Dominik zrobił słodką minkę. Z okrągłą twarzą i jasnymi kręconymi włosami przypominał cherubinka.

— Nic z tego! — włączyła się Makięła Gumowe Ucho z końca pochodu.

— Ależ oczywiście! — Małgorzata zwróciła się do ucznia, ignorując sprzeciw koleżanki. — Możecie sobie potaćzyć. Byle nie było za głośno.

— Ci smarkacze to ci kiedyś wejdą na głowę! Ty się zupełnie nie znasz na młodzieży! — skomentowała Makięła, kiedy dotarli już do sali, z trudem kryjąc wzburzenie. Potem obróciła się do Małgorzaty tyłkiem i obrażona zabrała się za lekturę jakiejś książki.

Młodzież doceniła gest polonistki i zachowywała się w porządku. Muzyka

z telefonu była cicha, zresztą puszczała głównie pościelowy. Małgorzata z Alicją usiadły na łózkach i przyglądały się z uśmiechem bawiącym się uczniom.

— Tragedia. Nie powinnyśmy pozwalać dzieciakom na takie przytulanie! — Makiela niby to patrzyła do książki, a tak naprawdę cały czas łypała na młodzież.

— A co? Myślisz, że jeszcze nie wiedzą, skąd się biorą dzieci? — zakpiła z niej Alicja.

— No wiesz! — biologica aż usiadła. — O czym ty w ogóle mówisz? Moja Beata zupełnie się takimi sprawami nie interesuje!

— A jeśli nawet, raczej nie spowiada się z tego mamusi — skwitowała Małgorzata. — Ja pierwszy film pornograficzny oglądałam, kiedy byłam w ich wieku. — Puściła oczko do Alicji.

— Oj, ja znacznie wcześniej — zaśmiała się przyjaciółka. — A *Emmanuelle* czytałam chyba w piątej klasie.

— A taką gazetkę „K & M” pamiętasz?

— Jasne, mój ulubiony brukowiec. Całe szczęście, że mama mnie nie sprawdzała. Makiela poczerwieniała.

— Muszę iść do toalety! — Zerwała się z łóżka.

Kiedy zniknęła z pola widzenia, kobiety wybuchnęły śmiechem.

— A wiesz, też bym potańczyła — westchnęła Alicja, zerkając znów na bawiących się przy jakimś skocznym kawałku licealistów.

— To na co czekasz? Idziemy! — zarządziła Małgorzata i ze śmiechem pociągnęła przyjaciółkę na „parkiet”.

Kiedy młodzież położyła się do łóżek, Alicja i Małgorzata usiadły przy stoliku w ciemnym kącie i otworzyły piwo. Potem rozlały napój do dwóch plastikowych kubeczków. Dyskretnie, żeby nie zauważyła ich Makiela, która szykowała się już do snu, zmówiwszy uprzednio dziesiątkę różańca. Biologica była bardzo religijna. Należała do jakichś przykościelnych organizacji, co roku chodziła na pielgrzymki. Małgorzata nie mogła zrozumieć, jak ktoś wyznający z takim entuzjazmem wiarę katolicką może być równocześnie tak bardzo nieprzychylny ludziom. Ona sama od dawna nie chodziła do kościoła. Nie, nie była, jak Alicja, ateistką, ale nie identyfikowała się z żadną religią. Uważała, że Bóg, owszem, istnieje, lecz w postaci, której człowiek nigdy nie pojmie i nie zdoła opisać.

Nie rozmawiały długo. Obie były zmęczone, poza tym obecność drzemiącej Makieli nie nastrajała do szczerych rozmów. Zawsze istniało ryzyko, że kobieta się obudzi albo tylko udaje, że śpi. Zresztą na takie rozmowy miały czas, kiedy Małgorzata odwiedzała Alicję w jej małym mieszkanku na Sowińskiego. Albo gdy Ala przyjeżdżała do Małgorzaty, co jednak zdarzało się rzadziej. Przyjaciółka nie miała samochodu.

Zaprzyjaźniły się siedem lat temu, kiedy Alicja przeniosła się z podstawówki do liceum. Choć na pierwszy rzut oka łączyło je niewiele, szybko zapalały do siebie sympatią. Małgorzata była polonistką, Ala matematyczką, Małgorzata bezdzietną mężatką, Alicja rozwódką, matką prawie dorosłego chłopaka. Dziecię poczęło się z wpadki. Ala była wtedy na pierwszym roku studiów, jej chłopak w piątej klasie technikum. Pobrali się pod presją rodziny, jednak zawarte w ten sposób małżeństwo nie



przetrwowało nawet do dyplomu. Alicja przez długi czas była sama. Dopiero dwa lata temu związała się z Wojtkiem, facetem młodszym od niej o całe pięć lat. Różnica wieku nie rzucała się jednak w oczy. Wojtek nosił wielką czarną brodę i całkiem spory brzuszeczek, co dodawało mu lat, matematyczka zaś była drobna i bardzo szczupła. Z obciętymi na pazia, ciemnymi włosami, od tyłu przypominała licealistkę. Z przodu zresztą też nie wyglądała na swoje czterdzieści lat. Na jej ładnej twarzy trudno byłoby dostrzec zmarszczki inne niż mimiczne. Alicja twierdziła, że młodą skórę zawdzięcza wegańskiej diecie, Małgorzata skłaniałaby się raczej ku genetyce. Kilka lat temu poznała matkę przyjaciółki. Mimo sześćdziesiątki na karku kobieta prezentowała się lepiej niż niejedna hollywoodzka gwiazda!

Zanim położyły się spać, Małgorzata przeczytała przyjaciółce swoje nowe wiersze. Alicja była jedyną osobą z bliskiego otoczenia Małgorzaty, którą naprawdę interesowała jej pasja. Mąż Małgosi, stąpający mocno po ziemi chirurg ortopeda, postrzegał poezję jako sympatyczne, ale nieszczerólnie ekscytujące hobby, Ankę zaś, drugą bliską Małgorzacie kobietę, bardziej niż wiersze interesowały plotki z poetyckiego podwórka.

Małgosia miała też znajomych poetów — kilku szaleńców, paru przekonanych o własnej wyjątkowości egotyków i szczyptę tych, których ceniła najbardziej. Ludzi pokornych i niepewnych swojego talentu, których wiersze często brały się z cierpienia. Taka była znajoma z poetyckich zlotów Maria, od dziesięciu lat zmagająca się ze stwardnieniem rozsianym, czy Zofia — rozwódka z Chorzowa, samotnie wychowująca syna z porażeniem mózgowym. Czy można się było dziwić, że Zosia na każdym warsztatach spała z innym facetem? Rozpaczliwie szukała zapomnienia. Zapomnienia, bo na stały związek chyba nie liczyła.

— Który facet wzięłby sobie na głowę kobietę z niepełnosprawnym umysłowo dzieckiem? — rzuciła gorzką uwagę, kiedy siedziały z Małgorzatą przy ognisku w Darłowie i piły grzańca pani Helenki, organizatorki corocznych poetyckich zlotów.

Małgorzata zaczęła ją wtedy pocieszać, ale w głębi duszy przyznała jej rację. Faceci często odchodzą od własnych dzieci, niespełniających ich oczekiwań; wiara w istnienie mężczyzny, który będzie w stanie wziąć sobie na głowę chore potomstwo innego samca, to kompletne science fiction.

— Powinnaś wydać tomik — spuentowała Ala lekturę Małgosinych tekstów. — Ile ty już masz tych wierszy? Pięćdziesiąt?

— Pięćdziesiąt? — Małgorzata się roześmiała. Pisała z przerwami od piątego roku studiów. Liczbę rzuconą przez przyjaciółkę musiałaby pomnożyć co najmniej przez dziesięć. Oczywiście, nie wszystkie wiersze nadawały się do tego, żeby pokazać je światu, nie mówiąc już o publikacji, ale na dwie porządne książki materiał na pewno już miała.

— No widzisz. Złóż tom wierszy, wyślij tu i ówdzie...

— Aluś, w dzisiejszych czasach ludzie czytają wyłącznie kryminały, w dodatku poczytnych autorek. Kto, na Boga, zainteresowałby się wierszami? Ludzie nie potrafią i nie lubią czytać poezji.

— Być może. Ale przecież ci twoi koledzy wydają książki, organizują spotkania...

— Jasne. Na które przychodzą niemal wyłącznie osoby, które też piszą. Wiesz, to takie bardziej rozbudowane spotkanie kumpli przy piwie.

— Ojejku, to zrób to po prostu dla siebie.

— Dla siebie? — zdziwiła się Małgorzata. — Ale przecież ja nie chcę wydawać żadnej książki!

Alicja się roześmiała. Kilka łyków piwa zarumieniło jej policzki. W słabym świetle lampki zawieszanej nad stolikiem matematyczka wyglądała na młodszą od swoich uczennic, skulonych na brudnej pościeli parę metrów dalej.

— No dobra — w jej głosie zabrzmiała rezygnacja. — Więc zrób to dla mnie!

Małgorzata powitała świt z prawdziwą ulgą. Po nocy, którą przedrzemała na kurtce rozłożonej na nieświeżej pościeli, była przemarznięta, zmęczona i zła. W dodatku bolał ją kręgosłup. W takie dni jak ten czuła, że nie jest już nastolatką. Sama jednak była sobie winna. Przez parę lat, zanim wpadli z Marcinem na pomysł kupna biurka, całymi godzinami pracowała przy laptopie ustawionym na niskiej ławie, w pozycji niemającej nic wspólnego z prawidłową.

— Nie wiedziałam, że słońce jest takie piękne — powiedziała, kiedy wsiadali do autokaru.

Dopiero wychodząc na świeże powietrze, uświadomiła sobie, że przez cały czas był w niej lęk, iż zdarzy się coś złego. Jakiś wielki odłam soli zasypie im wyjście albo urwie się winda, na zawsze odcinając ich od świata. I ten permanentny brak sygnału w telefonie. Nie sądziła, że aż tak źle zniesie niemożność zamienienia z Marcinem choćby jednego słowa.

Rzadko rozstawała się z mężem na dłużej. Kiedyś, gdy jeszcze wyjeżdżała na finały konkursów poetyckich, zdarzało im się spędzić bez siebie nawet pół tygodnia, od dobrych sześciu lat jednak byli niczym papużki nierozłączki. Małgorzata nie lubiła zasypiać bez męża. Bez dotyku jego ciepłej dłoni i spokojnego oddechu wsączającego się do ucha czuła się niekompletna. Nie rozumiała, jak Anka — zatwardziała singielka, daje sobie radę bez faceta w domu. Dla niej obecność drugiej osoby była jak tlen, konieczna do życia. Często spierały się z przyjaciółką na ten temat. Anka nazywała Małgorzatę filisterką, Małgorzata Ankę rozwydrzoną feministką, ale w końcu zawsze udawało im się wypracować jakiś kompromis, którego wystarczało zresztą tylko do następnego spotkania. Z Alicją było inaczej. Mieszkała z synem, a Wojtka zapraszała do siebie na noc jedynie wtedy, kiedy Kuba przebywał poza domem.

— Żaden facet nie będzie się panoszył w mieszkaniu, kiedy jest w nim moje dziecko — oświadczyła, gdy Małgorzata zapytała ją, kiedy wreszcie zamieszkają z Wojtkiem pod jednym dachem.

Cała Alicja! Oddana synowi do bólu. Małgorzata miała wrażenie, że przyjaciółka wciąż próbuje wynagrodzić pełnoletniemu już dziecku konieczność wychowywania się w rozbitej rodzinie. Zresztą sama nie raz i nie dwa wspomniała, że w związku z tą sytuacją ma poczucie winy. Małgorzata przekonywała ją wtedy, że nie zna lepszej matki niż ona, a przeprowadzony kulturalnie rozwód, bez szarpaniny i wciągania dzieciaka w wir chorej walki, bywa lepszym rozwiązaniem niż życie w pełnej rodzinie, w której panuje chłód czy nienawiść. Alicja niby przyznawała jej rację, ale i tak myślała swoje.

— I co? Jak wam się podobało w kopalni? — spytała Małgorzata uczniów, kiedy jechali już w kierunku Krakowa. Zamierzali spędzić jeszcze parę godzin na Starym

Mieście, zwiedzić Zamek, Sukiennice, połączyć trochę po Rynku.

— Super — padło kilka mrukliwych odpowiedzi znad komórek.

Po dobie spędzonej z dala od cywilizacji dzieciaki były na ewidentnym głodzie telefonicznym. Zresztą ona także. Wystarczyło, że kierowca zapuścił silnik, a już zaczęła wystukiwać do Marcina esemesy pełne tęsknych wyznań. Potem zajrzała jeszcze na fejsbuka, sprawdziła pocztę, aby w końcu zatonać w recenzjach nowych książek na najpoczytniejszym blogu dla moli książkowych.



— Kawki? — Marcin podniósł się z łóżka i stanął przed szafą. Chwilę wcześniej kotłowali się w pościeli. Od paru lat to świt stanowił ich ulubioną porę na seks.

— Poproszę — odparła, podkładając sobie pod plecy wałek.

Z uśmiechem zadowolenia obserwowała męża, jak nagi krząta się po sypialni. Szerokie ramiona, owłosiony tors, zgrabne pośladki. Po trzydziestce wreszcie zaczęła rozumieć facetów, którzy podniecają się na widok gołej laski. Ona też stała się erotycznym wzrokowcem. I — niestety — także zazdrośnicą.

Dzielnie znosiła je wszystkie — śliczną barmankę kokietującą Marcina z okienka nadmorskiej knajpki, w której sprzedawali najpyszniejsze w Łebie hot dogi, robiącą słodkie oczy do jej męża sąsiadkę rozwódkę, nawet doktor Grażynę, sympatyczną anestezjolog wydzwanającą do Marcina w środku nocy, żeby poskarżyć się na męża brutala. Pani Joanny — najseksowniejszej pielęgniarce na chirurgii — znieść jednak nie potrafiła! Choć nie miała powodów, żeby wątpić w wierność męża, przystawiająca się do niego seksbomba mocno działała jej na nerwy. Może siostra Joanna była po prostu za ładna? Małgorzata wiele razy zastanawiała się, co na oddziale piekarskiego szpitala robi osoba o urodzie Lindy Evangelisty. I dlaczego ktoś taki za cel swoich zakusów wybrał właśnie jej męża. Marcin żartował sobie z zazdrości żony, przekonując ją, że Joanna próbuje uwieść wszystkich lekarzy bez wyjątku, Małgorzata pozostała jednak niewzruszona w swoich poglądach.

Mąż wyszedł do kuchni, a ona powoli zwlekła się z łóżka. Kręgosłup wciąż jej dokuczał. Poczła chłód od okna, więc szybko okryła ramiona szlafrokiem. Dni wciąż jeszcze miały wczesnojesiennym ciepłem, ale noce stawały się coraz zimniejsze.

Stała przed lustrem i przeciągnęła się. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła w szklanej tafli. Wyraźne cienie pod oczami, mocniej niż w ciągu dnia zarysowana pionowa zmarszczka przy nosie, zaczerwienione spojówki. Odkąd skończyła trzydzieści pięć lat, nie zdarzyło jej się dobrze wyglądać o świcie.

— Jesteś prześliczna — głos Marcina wytrącił ją z zamyślenia. Odstawił na szafkę kubki z kawą i łagodnym gestem przygarnął żonę.

— Jasne — odparła sceptycznie, kolejny raz obrzucając krytycznym spojrzeniem swoje odbicie. Wygląd jej buzi skonstrastowanej z twarzą Marcina jeszcze bardziej ją zdołował. Bez makijażu wyglądała na starszą od męża, choć prawda była zupełnie inna. To on był starszy od niej — o niemal trzy lata. Marcin miał wyraziste ciemne oczy; jej zielone, okolone jasnymi rzęsami, wydawały się rozmyte i niewyraźne. Żeby poczuć się dobrze, Małgorzata nakładała na powieki błyszczący oliwkowy cień i rysowała na nich ciemne kreski. Nigdy nie wychodziła z domu bez makijażu.

Dobrali się z Marcinem na zasadzie kontrastu. Ona była krótkowłosą blondynką raczej niskiego wzrostu, on wysokim brunetem z włosami tak długimi, że mógł zakładać je za uszy. Różnili się także nosami. Małgorzaty był zadarty, Marcina klasyczny, z niewielkim garbem pośrodku. Z powodu rzymskiego nosa od liceum nosił ksywkę Szopen, do której koledzy z pracy dodali nową — Cezar. Z tym Cezarem nie chodziło zresztą tylko o fizyczne podobieństwo do rzymskiego wodza. Marcin — chirurg, do

którego przyjeżdżali pacjenci z drugiego końca Polski — cieszył się w swoim środowisku dużym szacunkiem. Jak dużym, Małgorzata przekonała się, kiedy wzięła udział w bankiecie zorganizowanym przez szpital dla uczczenia jakiegoś ważnego kontraktu. Miny, z jakimi lekarze słuchali doktora Lubeckiego, nie pozostawiały w tym względzie żadnych wątpliwości. Małgorzata pękała z dumy, o czym po powrocie do domu nie omieszkła donieść mężowi.

— Wydawało ci się — zareagował jak zwykle.

Taki już był. Nie dopuszczał do siebie pochwał, sam też nigdy nie opowiadał o swoich sukcesach. Za tę skromność, wynikającą z dobrze pojętego poczucia własnej wartości, Małgorzata ceniła go chyba najbardziej.

— Pijmy tę kawkę, bo się spóźnię. — Podał Małgorzacie kubek z parującym napojem.

Usiedli na łóżku, stykając się ramionami. Małgorzata położyła dłoń na nagim udzie męża.

— Ej, mała, uważaj, bo za chwilę znowu cię przelecę. — Marcin uśmiechnął się łobuzersko, a jego męskość poruszyła się delikatnie.

— O niczym innym nie marzę — odparła, unosząc brwi wysoko do góry.

— Praca. — Marcin skrzywił się teatralnie.

— No tak — przytaknęła, przełykając kawę. Napój miał idealną barwę i smak. Marcin wiedział, jak go przygotować, żeby jej smakował. Z jednej dużej łyżeczki — w trzech czwartych zalanej wrzątkiem, w jednej czwartej mlekiem. Jakimś siódmym zmysłem umieszczonym na języku wyczuwała najdrobniejsze odstępstwa od pożądaných proporcji. — Jak mi się nie chce iść do szkoły! — jęknęła.

Wakacje skończyły się zaledwie trzy tygodnie temu, jeszcze nie zdążyła się przestawić. Wycieczka do kopalni, z której wrócili wczoraj późnym wieczorem, też ją trochę rozleniwiła. Była w domu dopiero po dwudziestej. Zwiedzanie Krakowa mocno się przeciągnęło. Małgorzata kochała krakowską Starówkę i starała się przynajmniej dwa razy w roku spędzić w mieście królów cały dzień, tym razem jednak spacer po Starym Mieście nie dał jej nawet połowy zwykłej przyjemności. Powód? Trajektanie biologicy. Fakt, że wciąż była nieco obrażona za wczorajszą dyskotekę, nie przeszkodził Makiele w zamęczaniu koleżanek nudnymi wywodami. Iwona była uzależniona od mówienia. Podobnie jak od plotkowania.

— Wiesz, ja nie potrafię trzymać języka za zębami. Jak tylko usłyszę coś ciekawego, od razu muszę podać to dalej — wyznała Małgorzacie w przypiływie nagłej szczerości. Małgorzata zastanawiała się, czy koleżanka naprawdę nie rozumie, że mówiąc takie rzeczy, staje się niewiarygodna. A może ta cecha umniejszała ją tylko w oczach Małgorzaty? Przecież inni, zupełnie nie przejmując się jej deklaracją nielojalności, wciąż chętnie zwierzali się biologicy ze swoich kłopotów.

Końcówka września zapowiadała się niezbyt zachęcająco. Dyrektorka zaplanowała już dwa szkolenia, zebranie z rodzicami i konferencję. Małgorzatę bawiły opinie społeczeństwa o nauczycielach, że to darmozjady pracujący zaledwie osiemnaście godzin tygodniowo. A sprawdzanie testów, sprawdzianów, wypracowań? A przygotowywanie lekcji, akademii, apeli, pokazów? A wyjazdy z uczniami do kina, teatru czy na wycieczki?

Nikt nie wliczał w nauczycielski etat zarwanych nocy czy weekendów spędzonych z wychowankami gdzieś na zapadłej beskidzkiej wsi. Poza tym czy można godzinę wchodzenia w interakcję z uczniami, często bardzo trudnymi, porównać z godziną spędzoną w towarzystwie komputera i kawy?

Pomimo wszystkich tych niedogodności Małgorzata nie zamieniłaby swojej pracy na żadną inną. W szkole, w odróżnieniu od banku czy urzędu, każdego dnia działo się coś nowego. Kontakt z młodymi ludźmi, pełnymi inwencji i pomysłów, a przy tym często bardzo zabawnymi, był czymś, co nadawało sens nauczycielskiej pracy. Na drugim biegunie znajdowała się idiotyczna papierologia i wyścig szczurów. Zwłaszcza to ostatnie działało na Małgorzatę jak płachta na byka. Miała wrażenie, że kiedy kilkanaście lat wcześniej zatrudniała się w szkole, nie było w niej takich problemów. W którym momencie nauczyciele weszli na drogę rywalizacji? Kiedy do szkół średnich dotarł niż demograficzny i zaczęła się walka o godziny? Chyba tak. Zresztą współzawodnictwo nie kończyło się na pokoju nauczycielskim. Dzieciaki także wiecznie się ze sobą ścigały. Nie liczyli się rówieśnicy, przyjaźnie, tylko sukces. Oczywiście indywidualny. Małgorzatę, genetycznie niezdolną do rywalizacji, wszystko to bardzo męczyło. Jeśli chodziło o pracowników szkoły, to pomijając dyrektorkę i jej świtę w rodzaju biologicy, towarzystwo wydawało się całkiem sympatyczne. Małgorzacie najbliższe było do Alicji i jej historyka, ale z wuefistkami też świetnie się dogadywała, nie wspominając o paniach sprzątaczkach. Było w tych życzliwych, uśmiechniętych kobietach coś dobrego i oswojonego. Może po prostu przypominały Małgorzacie mamę, za którą — mimo czterdziestki na karku — wciąż bardzo tęskniła?

— Trzeba się zbierać. — Marcin odłożył kawę i rzucił okiem na smartfon. — Mam przed sobą ciężki dzień, mogę wrócić trochę później.

— Dobrze, daj znać, jak będziesz wyjeżdżał, wstawię kolację do piekarnika. Pamiętaj, że umówiłam się na wieczór z Anką?

— Z Anką...? — Mąż wyglądał na zbitego z tropu. — Na ósmą zdążę. — Uśmiechnął się niepewnie, po czym podejrzenie szybko opuścił pokój.

Cały Marcin. W pracy zorganizowany do bólu, uważny i skupiony, w domu wrzucał na luz. Małgorzata też bywała roztrzepana, jak na humanistkę przystało, ale mąż bił ją na głowę. Czasem się o to wściekała, wyrzucała mu, że jej nie słucha, że się wyłącza, częściej jednak machała na jego zachowanie ręką. W końcu geniusze — a za kogoś takiego miała Marcina — żyją według swoich własnych praw.

Teraz też tylko uśmiechnęła się pod nosem. Przeciągnęła się ostatni raz i wyszła do kuchni.

Od pokoju gościnnego, pełniącego także funkcję sypialni, kuchnię dzieliły tylko szerokie szklane drzwi. Przedpokój, prowadzący do łazienki i drugiego, mniejszego pokoju, znajdował się dopiero za nią. Całe życie Małgorzaty i Marcina toczyło się tak naprawdę tylko w dwóch pomieszczeniach — w kuchni i salonie. Przytulony do drzwi wejściowych mały pokój pełnił na razie funkcję graciarni. Zawalony stosami książek i płyt oraz całym mnóstwem innych niezbędnych do życia szpargałów czekał cierpliwie na rolę swego życia — na czas, kiedy w oknach zawisną kolorowe zasłony, a na drewnianej podłodze stanie wymarzone łóżeczko z pozytywką.

Starania o ciążę rozpoczęli kilkanaście lat temu. Oboje marzyli o założeniu rodziny, więc nie czekali na dobry moment i szybko przestali się zabezpieczać. Martwić zaczęli się po roku bezowocnych starań. Szybko trafili do znanej na Śląsku kliniki leczenia niepłodności. Zrobili dziesiątki badań. Pozwalali się nakłuwać, rozcinać, Małgorzata zdecydowała się nawet na bardzo bolesny zabieg badania drożności jajowodów. Diagnoza, jaką otrzymali po roku takich męczarni, tylko na pozór brzmiała pozytywnie. Oboje byli idealnie zdrowi. Zdrowi, co wcale nie znaczy płodni. Spory odsetek osób niepłodnych to ludzie, których zdrowiu nie można niczego zarzucić. Tylko dziecko jakoś nie chce się pojawić...

Od kilku miesięcy ginekolog coraz mocniej naciskał na in vitro, Małgorzata nie była jednak przekonana do tej metody. Nie, nie miała bynajmniej dylematów moralnych. Wiedziała, że in vitro nie musi wiązać się z marnowaniem zarodków. Wystarczy poprosić o zapłodnienie wyłącznie trzech komórek i umieszczenie w macicy ich wszystkich. Co stanie się z nimi później, to już kwestia szczęścia. A może biologii? Po prostu nie chciała faszerować się hormonami. Za rok miała skończyć czterdziestkę, nie była już młódką. Bała się raka. Dziadkowie z obu stron zmarli na nowotwory, ojciec także. Była w klasie maturalnej, kiedy w jego głowie znaleziono glejaka. Odszedł kilka miesięcy później.

Z nich dwojga to Małgorzacie bardziej zależało na dziecku. I to ona przeżywała mocniej każdą porażkę. Marcin był obok. Jeździł z żoną do lekarza, poddawał się bez marudzenia wszystkim koniecznym badaniom, nawet jeśli wymagały onanizowania się w publicznej toalecie z urwanym haczykiem w drzwiach, godzinami rozmawiał z nią o dziecku. Sam jednak nie robił z bezdzietności wielkiej sprawy. Decyzję o in vitro także pozostawił żonie, uważając, że skoro to ona będzie narażać swoje zdrowie, ona powinna postawić w tej kwestii kropkę nad i. Kiedyś powiedział, że owszem, jak każdy facet, chciałby posłać w świat swoje geny i nazwisko, ale jeśli tak się nie stanie, nie zamierza rozpaczać. Małgorzata nie była pewna, czy naprawdę tak myśli, czy tylko próbuje ją pocieszyć. W końcu tuż po ślubie, kiedy wydawało się, że wszystkie drzwi stoją przed nimi otworem, lubił opowiadać o tym, jak szczęśliwi będą jako rodzice dwójki — co najmniej dwójki — dzieci. Jak czuł się teraz, kiedy to marzenie nie miało szans się spełnić nawet w pięćdziesięciu procentach? Czy to możliwe, że tak łatwo dostosował się do rzeczywistości? Małgorzatę nie raz dręczyło poczucie winy w związku z tą sytuacją. W końcu z nim wszystko było w porządku. Z nią niby także, ale... No właśnie, w przypadku kobiet zawsze jest jakieś „ale”. Może miała fizyczną wadę, której współczesna medycyna nie potrafiła wykryć? A może chodziło o psychikę? Przeczytała gdzieś, że kobieta, która wcześniej straciła matkę, może się zablokować, podświadomie próbując uchronić potencjalne potomstwo przed przeżyciem podobnej straty. Może to właśnie był jej przypadek?

Najgorsze były początki. Życie od okresu do okresu. Każdą miesiączkę Małgorzata opłakiwała, jakby straciła ukochane dziecko. Całe wieczory spędzała przyklejona do monitora, przeglądając blogi i fora na temat niepłodności. Parę razy zdarzyło jej się nawet spotkać z podobnymi do niej nieszczęśnikami w realu.

Mało kto wie, że depresja spowodowana brakiem dziecka jest porównywalna do tej, jaką przeżywają chorzy na raka. Małgorzata nigdy nie zatraciła się do tego stopnia

w swoim cierpieniu, ale znała wiele takich kobiet. Zdeterminowanych tak bardzo, że miała wrażenie, iż byłyby zdolne oddać życie, byle przez chwilę cieszyć się macierzyństwem.

Najbardziej utkwilo jej w pamięci spotkanie z Marzeną — czterdziestolatką przygotowującą się do szóstego in vitro. Piąte wreszcie się udało. Miała urodzić trojaczki — trzech chłopców. W szóstym miesiącu znienacka zaczął się poród. Dzieci nie udało się uratować. Marzena przez rok leczyła się u psychiatry, żeby w końcu podjąć kolejną próbę. To właśnie przygotowując się do pierwszego po śmierci chłopców zabiegu, dzieliła z Małgorzatą szpitalną salę.

— Jak długo zamierzasz się starać? — zapytała ją Małgorzata.

— Jak długo się da — odpowiedziała Marzena bez chwili wahania.

— A twoje zdrowie?

— Nie ma dla mnie żadnego znaczenia — usłyszała zdecydowaną odpowiedź. — Życie bez dzieci i tak nie ma sensu.

Małgorzata rozumiała zachowanie Marzeny, ale sama, starając się o ciążę, nigdy nie przekroczyła granicy zdrowego rozsądku. Chyba z racji wszystkich nieszczęść, które spadły na jej rodzinę. Miała na to zbyt mocno rozwinięty instynkt samozachowawczy. Kochała życie. Nawet takie — niepełne i kalekie.

Już od dawna nie poddawała się żadnym zabiegom, nie spotykała się z ludźmi z niepłodnościowych stronek, a fora i blogi omijała szerokim łukiem. Niektórych znajomości bardzo jej brakowało, ale wiedziała, że nie da rady dłużej uczestniczyć w tym szaleńczym pędzie do ciąży. Owszem, wciąż zdarzało jej się użalać nad sobą, nadal zazdrościła „ciężarówkom” wielkich brzuchów, a matkom z gondolami różowych niemowlaków, ale zdanie „chcę mieć dziecko” nie było już pierwszą myślą, jaka pojawiała się w jej głowie po przebudzeniu, ani ostatnią tuż przed snem.

Nieduża kuchnia ze spadzistym sufitem i ciemnymi szafkami była miejscem, w którym Małgorzata czuła się najlepiej. Duży, okrągły stół i lampę z kolorowych szkiełek odziedziczyła po rodzicach. Podobnie zresztą jak piękną haftowaną serwetę. Jeśli chodzi o wystrój wnętrza, niewiele zmieniła po śmierci taty. Zastanawiali się nawet z Marcinem, czy nie zachować kaflowego pieca stojącego w rogu salonu, ale ostatecznie zdecydowali się na rozbiórkę. W pokoju zostało za to kilka innych pamiątek. Stary obraz przedstawiający pejzaż Alp i stojący zegar z kukułką. Małgorzata wciąż miała w pamięci ojca nakręcającego z namaszczeniem starą maszynę. Zegar odziedziczył po swoim ukochanym dziadku, powstańcu śląskim, a później więźniu Auschwitz. W mieszkaniu Małgorzaty znajdowała się jeszcze jedna pamiątka po pradziadku. Jego portret narysowany przez współwięźnia, młodego Węgra, który zmarł na tyfus tuż po wyzwoleniu.

Małgorzata włożyła brudny kubek do zlewu i otworzyła lodówkę, żeby przygotować Marciniowi kanapki do szpitala. Rzadko jadał śniadania w domu, obiady zresztą także. Korzystał ze szpitalnej stołówki, a z żoną dzielił wyłącznie przyjemność spożywania ciepłej kolacji. Małgorzata także jadła obiady w pracy. Niektóre, takie jak spaghetti w kolorze psiej kupy, wydawały jej się kompletnie niezjadliwe, lubiła jednak zupy i gołąbki. Sama była niezłą kucharką. Tak przynajmniej twierdziła teściowa,

a komplementy z jej ust Małgorzata słyszała tak rzadko, że musiały być prawdziwe. Niestety, zupełnie nie radziła sobie z pieczeniem. Poza pasztecikami nadziewanymi pieczarkami i serem oraz świątecznymi pierniczkami nic jej nie wychodziło. Mężowi na szczęście ta przypadłość zupełnie nie przeszkadzała i puszczał mimo uszu uwagi swojej matki, że prawdziwą kobietą jest tylko ta, która potrafi wyczarować każde domowe ciasto, począwszy od sernika, a skończywszy na torcie.

Dzisiaj lekcje zaczynała dopiero o jedenastej. Nabór do pierwszych klas z roku na rok był coraz bardziej mizerny, więc z ubiegłorocznych dwudziestu ośmiu godzin tygodniowo przeszła na skromny nauczycielski etat. Przy zarobkach Marcina, łączącego pracę w szpitalu z prywatną praktyką, pensja Małgorzaty stanowiła zaledwie kieszonkowe, mimo to nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby nie pracować. Lubiła ten moment, kiedy dwa tysiące z haczykiem lądowały na jej koncie i mogła bezkarnie pobuszować w księgarni albo kupić sobie jakiś nowy ciuch. To Marcin ich utrzymywał, opłacał rachunki, kupował jedzenie i paliwo. Jej nauczycielską pensję przeznaczali na przyjemności. Mogli sobie na to pozwolić. Poza pracą w szpitalu — na etacie i na kontrakcie — mąż Małgorzaty raz w tygodniu przyjmował pacjentów w prywatnym gabinecie. Było ich tak wielu, że często wracał do domu grubo po północy.

Pakując kanapki, Małgorzata wyjrzała przez okno. Mieszkanie znajdowało się na poddaszu ponadstuletniej kamienicy stojącej naprzeciwko bazyliki, jednego z najbardziej znanych na Śląsku kościołów.

Na ulicy działo się niewiele. Jakaś kobieta odprowadzała upośledzonego syna do szkoły, kilkoro roześmianych nastolatków z papierosami w ustach przebiegało ulicę na czerwonym świetle, w oddali zaś Małgorzata dostrzegła zaprzyjaźnioną bibliotekarkę, która jak co rano z zapałem uprawiała nordic walking. Małgorzata szczerze podziwiała jej konsekwencję i upór. Ona spacerowała z kijkami zrywami. Przez tydzień codziennie, a potem parę miesięcy przerwy. Nie była typem sportsmenki. Parę kroków na świeżym powietrzu poprawiało jej nastrój, tylko z tego powodu od czasu do czasu podnosiła tyłek z fotela i wychodziła do lasu. Mąż — zapalony rowerzysta — miał skrajnie odmienne podejście do tej kwestii. Uważał, że regularne uprawianie sportu to nie moda, lecz konieczność.

— Wychodzę, Gosiaczk. — Marcin stanął w drzwiach ubrany i wypachniony.

Miał na sobie niebieską koszulę z krótkim rękawem i dżinsy. Wyglądał świetnie. Gdyby nie to, że za kwadrans musiał być w pracy, od razu zaciągnęłaby go do łóżka. Zamiast tego podała mu pojemnik ze śniadaniem.

— Dzięki! — Cmoknął ją w policzek. — Miłego dnia, kochanie! — usłyszała już z przedpokoju.

— Miłego dnia. — Stała w progu kuchni, zaplatając ręce na piersiach.

Kiedy mąż wyszedł, zamknęła drzwi na klucz i znów podeszła do okna. Parkowali samochody na niedużym placu po drugiej stronie ulicy. Marcin jeździł czarnym fordem mondeo, ona miętową toyotą yaris. Nie minęła nawet minuta, kiedy zobaczyła męża przebiegającego po pasach. Wsiadając do swojego auta, zadarł głowę i posłał jej buziaka. W odpowiedzi entuzjastycznie mu pomachała.

Jechała do pracy w świetnym nastroju. Był piękny wrześnieowy dzień, w dodatku



piątek. Cieszyła się na zaplanowaną chwilę relaksu w bytomskiej galerii, gdzie zamierzała pomyszkować trochę w księgarniach, a nade wszystko na spotkanie z Anką. Przyjaciółka sporo ostatnio podróżowała. Nie widziały się ponad miesiąc.

Kobiety często otaczają się gęstym wianuszkiem psiapsiółek. Małgorzata przyjaźniła się tylko z dwiema dziewczynami — Alicją i Anką. Znajomość z tą drugą była mocniej ugruntowana, znały się z Anią od pierwszego roku studiów.

— Nie rozumiem tej waszej przyjaźni. Jesteście jak ogień i woda — zastanawiał się nad fenomenem ich bliskości Marcin. Zdarzało mu się nawet żartować, że ma w Ance rywała. Dla Małgorzaty były to jednak dwa różne związki, dwa różne rodzaje bliskości, dwa nieprzecinające się zbiory. Nieprzecinające dosłownie, bo mąż Małgorzaty nie przepadał za jej przyjaciółką, ona także nie darzyła go zbyt dużą sympatią, pomijając więc przypadkowe spotkania i urodziny Małgorzaty, właściwie nigdy nie widywali się we troje. Kobieta nie robiła z tego problemu. Najważniejsze, że nie próbowali zniechęcić jej do drugiej strony, a kiedy już musieli spędzić ze sobą trochę czasu, oboje bardzo się starali, żeby było miło.

To nie była przyjaźń od pierwszego wejrzenia. Początkowo Anka uważała, że Małgorzata jest wyniosła, błędnie interpretując jej dystans wynikający z nieśmiałości. Małgorzata postrzegała zaś przyjaciółkę jako pustą, rozchichotaną panienkę z dobrego domu. O tym, że się zaprzyjaźniły, zdecydował przypadek. Na nudnym wykładzie z literatury staropolskiej usiadły obok siebie i po dziesięciu minutach udawania, że słuchają monotonnych wynurzeń przemądrzałego profesora, wyjęły książki. Takie same! Obie czytały pod ławką *Sto lat samotności!* Zauważywszy to, wybuchnęły śmiechem, zwracając na siebie uwagę tyczkowatego wykładowcy, który trzęsącym się ze złości głosem nakazał im opuszczenie sali. Postanowiły napić się razem kawy, a chwila relaksu w studenckim barze na piątym piętrze z planowanej godziny przeciągnęła się do dwóch, co sprawiło, że na kolejnym wykładzie również się nie pojawiły. Od tamtych wagarów stały się nierozłączne.

Koniec studiów nie zmienił niczego w ich relacji — ani wyjazd Anki do Stanów, gdzie pracowała przez rok na zmywaku w wietnamskiej knajpie, ani ślub Małgorzaty. Wciąż były dla siebie najbliższymi przyjaciółkami i jedna za drugą dałaby się pokroić.

— Już do domu? — Małgorzata zagadnęła biologię, z którą minęła się na chodniku przed szkołą. Nie musiała pytać. Wszyscy wiedzieli, że Iwonka, prawa ręka dyry, ma plan doskonały. W poniedziałki przychodziła na dziesiątą, w piątki kończyła po trzeciej lekcji. W pozostałe dni tygodnia nigdy nie wyszła z pracy po trzynastej. Małgorzata była poza układami, więc jej plan aż roił się od okienek. Dzisiaj musiała siedzieć w szkole do wpół do trzeciej, choć miała zaledwie trzy lekcje.

Makieła przystanęła naprzeciwko i zrobiła smutną minę.

— Tak. Do domu — westchnęła.

— Coś się stało?

— To się w głowie nie mieści! — Pokręciła głową, układając usta w pełen dezaprobaty dzióbek.

— Co konkretnie? — Małgorzata zaczynała tracić cierpliwość. Pewnie znowu jakaś koleżanka nastąpiła Iwonce na odcisk, a ona swoim zwyczajem robi z tego wielką sprawę.

Niektórzy ludzie lubią być ofiarami.

Makieła machnęła tylko ręką.

— Dowiesz się w swoim czasie.

Małgorzata weszła do szkoły i od razu miała ochotę z niej wyjść. Mimo długiego stażu pracy wciąż kiepsko znosiła hałas. Przemknęło jej przez myśl, żeby się wycofać, zrobić jeszcze jedną rundkę wokół budynku, ale nie miała już na to czasu. Do dzwonka brakowało zaledwie pięciu minut. Akurat tyle, żeby podpisać listę obecności i wziąć dziennik.

— Co tam? — rzuciła do Alicji, która zalewała kawę w minikuchence — wąskim aneksie wyłączonym z pokoju nauczycielskiego za pomocą ogromnej szafy. Poza czajnikiem i filiżankami znajdowały się w nim także stłoczone na podłodze rolki papieru i kilka par damskich butów. Stały tam już tak długo, że Małgorzata zaczynała wątpić, by wszystkie ich właścicielki wciąż żyły.

— Daj spokój! — zachnęła się matematyczka. — Ciągłe mylą sinusa z cosinusem.

— Dramat — zakpiła Małgorzata. — I jak oni będą z tym żyć?

— Pewnie równie dobrze jak bez znajomości *Lalki* — odgryzła się błyskawicznie Alicja, przywołując tytuł ulubionej powieści Małgorzaty. Wiedziała, że przyjaciółka nie znosi Sienkiewicza i Orzeszkowej, ale za Prusa i Reymonta dałaby się pokroić.

Stały konflikt — humanisty ze ścisłowcem. Konflikt na niby. Tak naprawdę świetnie się uzupełniały. Małgorzata robiła Alicji korektę sprawozdań, Alicja pomagała Małgorzacie w liczeniu frekwencji i w drukowaniu świadectw.

— Nie wiesz, co się stało Makiele? Była jakaś skwaszona — zagadnęła Małgorzata.

— Skwaszona? A ona kiedykolwiek bywa inna? — Alicja roześmiała się, wlewając do kawy mleko sojowe.

— Skwaszona i tajemnicza.

— To co innego. Tajemnicza Iwonka to faktycznie rzadkość. — Alicja przeszła do drugiej części pokoju. Właśnie zadzwonił dzwonek. — Ale nie mam pojęcia, co się stało. Nie gadałam z nią dzisiaj.

— Hm, pewnie wkrótce się dowiemy — odpowiedziała Małgorzata i sięgnęła po dziennik.

Lubiła lekcje z pierwszakami. Zwłaszcza te wrześniowe. Byli pełni zapału i dobrych chęci, nie tak zmanierowani jak starsi koledzy. Dziś rozmawiali o mitach. Wszystkie pokolenia dzieciaków przepadały za tymi historiami. Może z powodu ich podobieństwa do literatury fantasy, którą młodzież tak chętnie się zaczytuje? Ta, która czymkolwiek się zaczytuje, rzecz jasna. Większość młodych ludzi „zaczytuje się” grammi komputerowymi. Niestety? Hm... Małgorzata nie była tego taka pewna. Od lat śledziła listy książkowych bestsellerów i zauważyła, że króluje na nich sieczka, którą można by streścić w następujący sposób: beznadziejna „ona” poznaje cudownego „onego”, kupuje domek pod lasem i żyje w nim z wybrańcem długo i szczęśliwie. Oczywiście tuż po tym, jak wyeliminuje rywalkę do ręki księcia. Obowiązkowo antypatyczną dzidzię, która kocha tylko siebie. Obserwując sytuację na rynku księgarskim, Małgorzata zaczynała się zastanawiać, czy czytanie na pewno jest w dzisiejszych czasach wyznacznikiem inteligencji. I czy nie lepiej zamiast pakować sobie do głowy kolejną porcję schematów,

nadziać na miecz paru wirtualnych gości? Równie ambitne i rozwijające zajęcie.

Klasa Ic składała się, o dziwo, niemal w połowie z chłopaków. Może dlatego wydawała się Małgorzacie tak sympatyczna? Już dawno zauważyła, że koedukacja jest zdrowa. „Solidarność jajników” to mit, a zostawione samym sobie kobiety często, zamiast się wspierać, odgryzają sobie głowy. Z dziewczynami bywa podobnie. Intrygują, jątrzą, obgadują się, szczują jedne na drugie. A wszystko to pod przykrywką słodkich uśmiechów i wymalowanych na sztywno rzęs.

Ona nigdy nie czuła się dobrze wśród samych kobiet. Ani w liceum, ani na studiach, ani w żadnej ze szkół, w których do tej pory pracowała. Nie potrafiła stać się częścią babskiej całości, wtopić się w grupę. Marcin twierdził, że to dlatego, iż jest skrajną indywidualistką i tak naprawdę nie powinna pracować z ludźmi, ale w samotności. Nie potrafiła się z tym zgodzić. Kontakt z młodzieżą dodawał jej skrzydeł, to tylko zbyt intensywne obcowanie z babińcem działało na nią jak płachta na byka. Kiedyś przeczytała w wywiadzie ze znanym polskim aktorem, że nie znosi ludzi, ale kocha człowieka. Z nią było podobnie. Nie potrafiła znaleźć się w babskim towarzystwie, ale miała silne więzi z pojedynczymi kobietami. Inna sprawa, że obie bliskie jej dziewczyny nie były typowymi przedstawicielkami swojego gatunku. Ala była niezależną rozwódką z dzieckiem, z którym miała świetne partnerskie relacje, zaprzeczeniem martyrologicznego mitu Matki Polki. Wyzwolona, biseksualna Anka miała ze stereotypową kobietką jeszcze mniej wspólnego. A Małgorzata? Miała wrażenie, że występuje w dwóch osobach. Ta jedna była typową babą — zakochaną w mężu, pragnącą dziecka domatorką, ta druga — buntującą się przeciwko dulszczyźnie artystką, kobietą o szerokich horyzontach i dużej ciekawości świata. Którą siebie lubiła bardziej? W ostatnich latach tę pierwszą, o drugiej myślała coraz rzadziej. Cieszyła się, że ma Ankę. Gdyby nie postrzelona przyjaciółka, pewnie znormalniałaby jeszcze bardziej, a w gruncie rzeczy wcale tego nie chciała.

„Jak zacznę gadać o najnowszych trendach w przystrajaniu okien, walnij mnie w łeb. Tylko czymś ciężkim” — poprosiła kiedyś przyjaciółkę, a ona ochno na to przystała.

Po lekcjach pojechała do galerii w centrum Bytomia. Początkowo nie przepadała za opustoszałym parkingiem, poruszającymi się w zastraszającym tempie schodami i tłumem ludzi, ale w końcu zapałała do tego miejsca sympatią. Przede wszystkim dzięki dwóm księgarniom, usadowionym w piwnicy, między drogerią a sklepem spożywczym. Tak już miała, żaden inny sklep nie cieszył jej równie mocno jak księgarnia. Nawet na wakacjach przynajmniej dwa razy dziennie odwiedzała namioty z książkami. Często z pełnym chłamek, w końcu smażący się na piasku wczasowicze nie mają zwykle ambitnych planów czytelniczych, ale zdarzało jej się znaleźć prawdziwą perełkę.

Zaparkowała w podziemiach i przeszła parę kroków wąskim chodnikiem, aby za chwilę znaleźć się w galerii. Chociaż dochodziła szesnasta, w dodatku był piątek, wewnątrz centrum nie porażało tłumami. Być może przyczyną była piękna pogoda. Ludzie próbowali wykorzystać ostatnie gorące dni. Małgorzata pamiętała z poprzednich lat, że zwykle początek roku szkolnego kończył wakacyjne upały, tym razem jednak było inaczej. Gdyby miała taką możliwość, wciąż mogłaby się opalać na plaży.

Bytomskie księgarnie były nieduże i klimatyczne, a przede wszystkim pełne książek. W jednej z nich Małgorzata kupiła dwie powieści, w drugiej, po chwili lektury przy smacznej kawie, trzecią. Nic szczególnie ambitnego, ale także nic, co można by nazwać produktem marketingowym. Powieści środka polskich autorek. Małgorzata lubiła czytać książki rodaczek. Była ciekawa, jak piszą, co je dotyka. Od czasu do czasu kupowała także poezję. Tę jednak wyłącznie przez internet, w księgarniach stacjonarnych rzadko można było trafić na tomik innego autora niż ksiądz Twardowski.

W spożywczaku kupiła jeszcze przyprawę do ryb potrzebną do dzisiejszego obiadu i wyszła na ulicę. Stan pogody mocno ją zaskoczył. Słońce schowało się za chmurami, a horyzont zaciągnął się na granatowo. Jasne dachy kamienic odcinały się malowniczo od ciemnego nieba. Małgorzata przeszła przez pasy, a potem przystanęła, wyjęła smartfon i zrobiła zdjęcie. Zadowolona z dobrego ujęcia wrzuciła telefon do torebki i szybkim krokiem podążyła w stronę podziemnego parkingu. Na głowę spadło jej już kilka pierwszych kropel deszczu.

Włożyła kartę do czytnika i kiedy szlaban podniósł się do góry, wyjechała na ulicę. Za Bytomiem niebo było jeszcze zupełnie jasne. Włączyła radio. Z głośników sączyła się pościelówka Céline Dion, którą pamiętała z czasów wczesnej młodości. Z okresu, kiedy umierał tata. Nikomu nigdy nie przyznała się do tego, że choć przeżywała wówczas jedną ze swoich największych tragedii, wspominała ten czas wyjątkowo dobrze. Może tak to już jest, że młodość zawsze wspominamy w ten sposób? Idealizujemy ją. Nawet tę najboleśniejszą.

Wjeżdżając do Piekar, poczuła przyływ dobrej energii. Co z tego, że nie wszystko w jej życiu układało się idealnie? Miała miłość, dom, pracę, którą kochała, książki. Czy to naprawdę za mało?

Najpopularniejsza pizzeria w Piekarach — Nowy Jork — pękała w szwach. Po burzy wciąż siąpiło i na zewnątrz, pod ogródkowymi parasolami, zostało tylko kilku desperatów. Małgorzata stanęła przy barze i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu wolnego miejsca. A właściwie Anki, która — nie miała żadnych wątpliwości — czekała tu na nią od co najmniej kwadransa.

Przyjaciółka była nieprzyzwoicie punktualna. Małgorzata przeciwnie, notorycznie się spóźniała. O którejkolwiek godzinie zaczynała przygotowania do wyjścia, zawsze docierała na miejsce za późno o minimum dziesięć minut. Wyjątek stanowiła praca, choć Małgorzata była pewna, że gdyby jej zajęcie nie wiązało się z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo dzieci i gdyby nie miała nad sobą bata w postaci demonicznej Baryły i sieci kamer, do szkoły także regularnie przychodziłaby po czasie.

Brązowe ściany ozdobione tu i ówdzie ceglanyimi wstawkami, wysokie drewniane krzesła i stojące w kącie beczki — wystrój pizzerii przywodził na myśl amerykański saloon. Swoisty powiew współczesności stanowiły rozłożyste skórzane sofy i plakaty nawiązujące do amerykańskiej popkultury. Małgorzatę od dawna zachwycała fotka półnagiej Marilyn Monroe wychylającej się spod wielkiej białej kołdry.

Szukanie Anki nie trwało długo. Siedziała pod plakatem gwiazdy, obłożona elektronicznymi gadżetami. W skupieniu uderzała w klawiaturę notebooka, ignorując spojrzenia niezadowolonych gości, którzy przyszli tu po prostu napić się piwa i widok kogoś tak zapracowanego musiał działać im na nerwy. Przybyła tu już chyba dawno temu, bo zdążyła się zadomowić. Stojąca przy laptopie szklanka była do połowy pusta, filiżanka z kawą także.

— No, nareszcie! — Na widok Małgorzaty z impetem zatrzasnęła laptopa i rzuciła się na nią, jakby nie widziały się nie miesiąc, ale co najmniej rok. — Mogłabyś się wreszcie oduczyć tego spóźniania.

— To przychodź pół godziny później, już ci mówiłam. — Małgorzata dała przyjaciółce kuksańca. — Zrzęda jesteś, wiesz?

— A ty ślicznie wyglądasz. Nowy naszyjnik, co? — Anka pochyliła się, dotykając delikatnych bursztynów, które Małgorzata przywiozła z Łeby. Zapachniało nikotyną i orientalnymi perfumami.

— Nowy. Ty też wyglądasz super — odpowiedziała szczerze. Z czarnymi lokami opadającymi na ramiona i w czerwonej falbaniastej spódnicy przyjaciółka prezentowała się jak zwykle świetnie.

— Przestań, ta kiecka ma chyba ze sto lat.

— Mów do mnie jeszcze. — Małgorzata się roześmiała. — Przyznaj, że oderwałeś metkę dzisiaj rano.

— No, niezupełnie. Przed godziną. — Anka spakowała do torby notebooka. Kolejno zgarnęła ze stolika czytnik i telefon. Wypielęgnowane dłonie ozdabiała idealnie opiłowane paznokcie z francuskim manikiurem.

— Nad czym tak ciężko pracujesz? — Małgorzata próbowała wcisnąć się na sofę naprzeciwko. To był jedyny mankament Nowego Jorku. Szpara między sofami i stolikiem

była nieprzyzwoicie wąska, jakby właściciel knajpy oczekiwał, że jego jedynymi klientkami będą anorektyczki.

— Daj spokój. Mamy nowego prezesa, zawalił mnie robotą. — Westchnęła Anka, dopijając piwo. — Zamawiasz coś?

— Za chwilę. I co z tym prezesem?

— Kompletny bałwan. Zwolnił już z pięć osób i zatrudnił jakichś swoich pociotków. Ja pewnie będę następna.

— Przestań. Kogo jak kogo, ale ciebie nie zwolnią. Jesteś naprawdę dobra. Twoje artykuły czyta się jak kawałek świetnej sensacyjnej prozy. Od dawna ci mówię, że powinnaś zabrać się za książkę.

— A ja od dawna powtarzam, że zupełnie się do tego nie nadaję. Pisarstwo to zajęcie dla osób odpornych na samotność. Jeśli chodzi o mnie, zwariowałabym, zanim udałoby mi się napisać dwa rozdziały. A wracając do prezesa, to jeśli mnie nie zwolni, chyba sama to zrobię. Wiesz, najgorsze, co może przytrafić się człowiekowi, to pracować dla kretyna.

— Mnie to mówisz... — Małgorzata przewróciła oczami na wspomnienie Baryły i jej wiernej trzódki.

— No właśnie. Sama widzisz. — Anka podała przyjaciółce menu. — Co zamawiamy? Cztery sery jak zawsze? — Potrząsnęła ciemną czupryną.

Anka była naprawdę atrakcyjna. Nie piękna, bo jej rysom brakowało regularności, ale na pewno intrygująca. Faceci wręcz za nią szaleli! Osobowość również miała magnetyczną. Typowa ekstrawertyczka — wesola, głośna i pewna siebie, wzbudzała powszechny entuzjazm. Niewiele osób poza Małgorzatą wiedziało, że ta radosna, pełna energii kobieta ma także inną, smutną twarz. Regularnie raz na dwa tygodnie przyjaciółka łąpała dołki, które leczyła żołądkową gorzką albo białym winem. Z nikim się wówczas nie kontaktowała. Nie odbierała telefonów, nie otwierała drzwi, nie odpisywała na esemesy. Tłumaczyła, że nie chce wchodzić w rolę wampira energetycznego. Zapewnienia Małgorzaty, że przyjaciele są właśnie od tego, żeby wyssać z nich od czasu do czasu trochę energii, zupełnie do niej nie trafiały. Wychodziła ze swojej samotni po kilku dniach. W pełnym makijażu, doskonale dobranych ciuchach i z przyklejonym do twarzy uśmiechem. A kiedy tylko Małgorzata próbowała nawiązać do minionych zdarzeń, od razu zmieniała temat.

— Cztery sery — potwierdziła Małgorzata, nawet nie otwierając menu. Wiedziała, że bez względu na to, jak długo siedziałyby nad kartą dań, jej wybór i tak ostatecznie padnie na pizzę z serami. — Znów się przejemy — jęknęła, dziękując sobie w duchu za wybranie na dzisiejszy wieczór luźnej bluzki, pod którą uda się jej schować pęczniejący brzuch.

Spotykały się z Anką średnio raz na trzy tygodnie. Czasem, jak teraz, przerwy były dłuższe. Przyjaciółka — szalona dziennikarka katowickiego brukowca, dorabiająca w lokalnej telewizji jako gospodyni popularnego talk show, często wyjeżdżała. Poza tym była zapaloną podróżniczką. Co roku musiała określić na długiej liście podróżniczych fascynacji przynajmniej trzy nowe miejsca, do których wreszcie udało się jej dotrzeć. Nie wyszła za mąż, nie miała nawet stałego partnera. Prowadziła typowe życie singielki —



wyjazdy, imprezy i całe mnóstwo przelotnych romansów. Głównie z mężczyznami, choć miała też kilka lesbijskich epizodów. Twierdziła nawet, że seks z babkami jest ciekawszy.

— Wiesz, facet myśli kutasem, nie chce mu się tyle czasu poświęcać na pieszczoty, kobiety przeciwnie — tłumaczyła szczegółowo różnice między seksem hetero i homo.

Dla Anki nie było tematów tabu, a przynajmniej seks nim nie był. Potrafiła zwierzać się z najbardziej intymnych doznań, z wielokrotnymi orgazmami na czele. Jeśli jakiś gość nie dał jej jednorazowo przynajmniej trzech — był spalony. Równie chętnie chwaliła się własnymi umiejętnościami. Uważała, że jest świetna w łóżku, a na pewno robi najlepszego na świecie loda.

— Tak przynajmniej twierdzą moi kochankowie — dodawała skromnie na koniec.

Małgorzata miała inne doświadczenia z mężczyznami, nie próbowała jednak dyskutować z przyjaciółką. W końcu nie miała jak ona kilkuset facetów, a zaledwie czterech. Anka i tak nie wzięłaby jej argumentów na poważnie.

Kiedyś spytała Ankę, dlaczego sypia głównie z facetami, skoro seks z babkami jest taki fajny.

— Bo spotkać wolnego faceta hetero jest znacznie łatwiej niż lesbijkę. Poza tym kobiety od razu chcą się wiązać, częściej zależy im na tym, żeby mieć kogoś na wyłączność, a ja nie wytrzymałabym w złotej klatce, przecież wiesz — usłyszała w odpowiedzi.

— A ja? Podobam ci się? — Małgorzata musiała wypić parę drinków, żeby zadać przyjaciółce pytanie, na które od zawsze chciała znać odpowiedź. Nie była homoseksualna, kobiety jej nie pociągały, chodziło raczej o zaspokojenie ciekawości.

— Masz za duże cycki — odpowiedziała Anka ze śmiechem. Potem wytłumaczyła, że lesbijki dzielą się na te bardziej kobiece i te bardziej męskie. Jej bardziej podobały się męskie. Może na zasadzie kontrastu, sama była kwintesencją kobiecości.

Anka miała sporo znajomych wśród osób homoseksualnych. Kiedyś wzięła udział w paradzie równości, od czasu do czasu bywała także w branżowych klubach.

— Wiesz, to często jedyne miejsca, w których ci ludzie mogą być naprawdę sobą — opowiadała, próbując przekonać Małgorzatę do wizyty w jednej z katowickich knajpek. — Zobacz, jak by to było cudownie, gdyby mogli przytulać się i całować na ulicy czy w kawiarniach jak pary hetero — ekscytowała się.

Dzięki Ance Małgorzata dowiedziała się, jak trudno jest być osobą homoseksualną w takim kraju jak Polska. I nie chodziło wyłącznie o komplikacje prawne, ale przede wszystkim o mentalność zdecydowanej większości ludzi. Nawet ci, którzy w głębi duszy nie widzieli niczego złego w kochaniu się dwóch osób tej samej płci, często spuszczaali na swoje poglądy zasłonę milczenia, żeby nie drażnić bardziej zacofanych znajomych czy rodziny.

— Mam taką koleżankę. O tym, że jest les, powiedziała rodzinie już w klasie maturalnej. Na studiach znalazła sobie dziewczynę, zamieszkała z nią. Są ze sobą od kilkanastu lat, żyją jak normalne małżeństwo, tyle że nie mają dzieci. I wiesz co? Ciągłe jest na językach. Ciągłe jest „tą dziwną”. A jak jej kuzynka wyprawiała ostatnio komunię swojej córce, to nie zaprosiła jej na nią, bo musiałyby zaprosić także jej partnerkę, a nie chciała nikogo zgorszyć. Rozumiesz? Zgorszyć! Jakby fakt, że ktoś jest lesbijką, oznaczał,

że za chwilę zaczniesz kopulować na stole! — Kwestia gejów zawsze budziła w Ance żywe emocje.

Ona sama nie kryła się ze swoją orientacją. Powiedziała matce, powiedziała Małgorzacie, znajomym, nawet w pracy nie ukrywała, że jest biseksualna.

— Uwielbiam obserwować ich miny, kiedy o tym mówię. Jeden kolega zakrztusił się herbatą. Myślałam, że będę musiała robić mu sztuczne oddychanie.

Małgorzata rozumiała dylematy Anki, sama nie miała żadnych uprzedzeń, ale i tak najchętniej widziałaby ją jako ułożoną żonę jakiegoś miłego pana. No dobrze, mogłaby być i pani, byleby przyjaciółka w końcu znalazła przy kimś bezpieczną przystań.

W głębi duszy Małgorzata obawiała się, że przyjaciółka nie jest całkiem szczęśliwa, a to, jak żyje, nie jest jej świadomym wyborem, lecz raczej reakcją lękową. Ucieczką. Do teraz pamiętała jedyną rozmowę, podczas której przyjaciółka napomknęła o swoim dzieciństwie. Wracały nad ranem do domu po tym, jak wraz z kilkoma innymi dziewczynami świętowały na mieście wieczór panieński Małgorzaty. Rozmawiały o ślubie, o nowym życiu, jakie zaczyna się wraz z założeniem na palec obrączki. Na pytanie Małgorzaty, czy Anka w ogóle rozważa zamążpójście, przyjaciółka zniecka wybuchnęła płaczem.

— Nie chcę prowadzić życia mojej matki, obiadek o trzynastej i ani minuty później, codzienne odkurzanie całego mieszkania, pijaństwo, wrzaski. — Z emocji aż usiadła na ławce.

— Przecież nie musisz powielać jej losu — zaproponowała Małgorzata zszokowana tym wyznaniem.

— Zobacz, jakich gości przyciągam. Sami skurwiele! I niestety tylko tacy mnie kręcą — odpowiedziała Anka z goryczą.

To prawda. Anka miała dziwnych partnerów. Na pozór ułożonych, inteligentnych, często bardzo atrakcyjnych, zajmujących eksponowane stanowiska, a faktycznie niestabilnych emocjonalnie chamów, fundujących jej zamiast związku totalną huśtawkę. Jednego z tych najmniej sympatycznych Małgorzata miała nieprzyjemność poznać osobiście, kiedy któregoś sobotniego wieczoru wpadły na siebie z Anką przed kinem. Zdumiało ją, że nawet fizycznie przypominał ojca przyjaciółki. O dziwo, Anka w ogóle tego podobieństwa nie dostrzegła.

— Może jakaś terapia? Przecież takie rzeczy można leczyć — zaproponowała Małgorzata tamtej nocy po wieczorze panieńskim.

— Myślisz, że nie pieprzyłam się z psychologami?! — usłyszała. — Cała ta psychologia to jedno wielkie gówno!

Nigdy więcej nie wróciły do tego tematu. Przyjaciółka swoim zwyczajem skarżyła się na byłych i obecnych kochanków, opowiadała ze szczegółami o swoich podbojach, problemy z ojcem na powrót stały się jednak tematem tabu.

Jedynym członkiem rodziny, o którym Anka chętnie opowiadała, był jej ukochany młodszy brat. Kiedy Michaś się urodził, Anka miała dziesięć lat. Wbrew obawom matki nie czuła zazdrości o młodszego braciszka, przeciwnie — oszalała na jego punkcie. To szaleństwo zresztą nigdy się nie skończyło. Z każdej podróży przywoziła Michałowi drogie prezenty, dzwoniła do niego po kilka razy dziennie, nawet częściej niż do matki,

a w stosunku do jego dziewczyn zachowywała się niczym teściowa z dowcipów — żadna nie była dość dobra. I nic nie pomagało tłumaczenie Małgorzaty, że mały Michaś to już dwudziestodwuletni facet i to niańczenie go psuje. Anka nie chciała zrezygnować ze swojej roli, a jej bratu też chyba ta siostrzana nadopiekuńczość niespecjalnie przeszkadzała.

Stosunek Anki do matki także wydawał się Małgorzacie dziwny. Obie kobiety łączyła wyjątkowo bliska więź. Nie była to jednak relacja matka — córka, w której matka wyraźnie góruje nad swoim dzieckiem, ale raczej bliskość dwóch przyjaciółek. Chwilami Małgorzata miała nawet wrażenie, że to Anka jest w tym związku rodzicem. Kiedy jednak próbowała uświadomić przyjaciółce to swoiste wymieszanie ról, usłyszała, że jest zazdrosna, bo sama nie ma matki. Anka taka już była, najpierw mówiła, potem myślała. Małgorzata знаła ją i zwykle akceptowała jej bezpośredniość, ale w tamtym momencie poczuła się urażona. Czy naprawdę nie mogła już mieć własnego zdania na temat relacji córki z matką tylko dlatego, że sama straciła mamę w wieku dwunastu lat?

Alicja była bardziej wyrozumiała i często pytała Małgorzatę, co sądzi na temat jej rodziny. Matematyczka mieszkała ze swoją matką w tej samej dzielnicy, ale — nie licząc przypadkowych spotkań w osiedlowym warzywniaku — widywała się z nią wyłącznie z okazji świąt i urodzin. Zdaniem Małgorzaty matka Alicji była normalną kobietą, próbującą zapewnić swoim dzieciom dobre życie. Problem polegał na tym, że każde z nich w dzieciństwie potrzebowało innej dozy uwagi. Siostra Ali — krnąbrna, z licznymi problemami, towarzyskimi i szkolnymi — wymagała, żeby poświęcać jej więcej czasu. Rozgoryczona Alicja nie potrafiła tego zrozumieć. Wbiła sobie do głowy, że mama kocha ją mniej niż siostrę.

— Wiesz, ja do matury byłam jak ten posłuszny syn z Biblii. Grzeczna, łatwa w obsłudze i chyba właśnie dlatego kompletnie ignorowana. Martyna przeciwnie, wciąż wpadała w kłopoty, a kiedy rodzicom udawało się ją z nich wyciągnąć, dostawali kociokwiku ze szczęścia. Zresztą tak jest do dzisiaj, jej Adaś też jest tym bardziej kochanym wnukiem — skarżyła się Małgorzacie.

Minęło kilka dekad obie z siostrą były już dorosłe, rodzice dobiegali siedemdziesiątki, a słuchając zwierzeń Alicji, Małgorzata miała wrażenie, że rozmawia z nastolatką. Rozumiała gorycz przyjaciółki, ale z drugiej strony coś się w niej buntowało przeciwko temu ciąglemu rozpamiętywaniu przeszłości. Miała wrażenie, że zbuntowana Alicja, podobnie jak Anka, nie zdołała przeciąć pępowiny łączącej ją z rodzicami. Wektor tego przywiązania odwrócony był jedynie w inną stronę.

Małgorzata szczerze mówiła Alicji, co sądzi na temat jej relacji z rodziną. Koleżanka jej potakiwała, aby za chwilę oświadczyć, że nie jest w stanie nic z tym zrobić.

— Nie cierpię matki, nie cierpię Martyny i szczęśliwa czuję się tylko wtedy, kiedy nie mam z nimi kontaktu. — Każda rozmowa na ten temat kończyła się w taki sam sposób.

— Co słyhać u Roberta? — spytała Małgorzata Ankę, gdy wracały do stolika z piwem.

— Daj spokój — zachnęła się przyjaciółka.

— Co się znowu stało? — Małgorzata usiadła za stołem. — Napisał?

— Bez przerwy pisze, ale wczoraj przeszedł samego siebie. Wysłał mi nawet kwiaty, wyobrażasz sobie? Siedzę w biurze z nosem w komputerze, a tu nagle wchodzi posłaniec z bukietem czerwonych róż. Piętnastu! Szkoda, że nie widziałas min chłopaków. Do samego wieczora robili sobie ze mnie jaja.

— Przejmujesz się jakimiś durnymi facetami?

— Nie, nie facetami. Robertem. Mam go już po dziurki w nosie.

Dobiegający sześćdziesiątki były kochanek Anki był, zdaniem Małgorzaty, jedynym sympatycznym facetem w szerokim wachlarzu jej amantów. Rozwiedziony ojciec dwójki dorosłych dzieci, od niedawna dziadek. Pracował jako dentysta w sandomierskiej przychodni. Anka spotkała go cztery lata temu podczas podróży do Egiptu. Po powrocie z wycieczki dosłownie promieniała. Jeździła do kochanka w każdą sobotę, w tygodniu bez przerwy gadali przez telefon. Zachowywała się jak zakochana nastolatka, Małgorzata nie pamiętała jej takiej nawet z czasów studenckich.

Sprawa musiała być już poważna, skoro Anka posunęła się do przedstawienia Roberta matce i bratu. Małgorzata także dostała zaszczytu poznania pana doktora. Kulturalny, elokwentny, a przy tym niezwykle ciepły i dowcipny, zrobił na niej bardzo pozytywne wrażenie. Mimo niewielkiego brzuszka i łysiny na czubku głowy był w jakiś magiczny sposób męski i pociągający.

— Gdybym miała zrobić konkurs dla wszystkich moich kochanków, Robert na pewno znalazłby się na podium — pochwaliła pana doktora Anka. Zważywszy na liczbę facetów, którzy przewinęli się przez łóżko przyjaciółki, zdolności erotyczne sandomierskiego dentysty musiały być naprawdę imponujące.

Po trzech miesiącach intensywnej znajomości, kiedy Anka zaczęła już przebąkiwać o przeprowadzce do Sandomierza, wyjechała ze swoim dentystą na kolejną wycieczkę — tym razem do Londynu. Wrócili już osobno. Małgorzata nie wiedziała, co się wydarzyło, Anka powiedziała jej tylko, że to ona postanowiła z nim skończyć. Znowu zaczęła się rzucać w ramiona jakichś lowelasów, a na pytania o Roberta reagowała wyłącznie zniecierpliwieniem.

Początkowo Małgorzata próbowała przekonać Ankę, żeby dała doktorowi jeszcze jedną szansę. Tłumaczyła, że facet jest naprawdę sympatyczny i najwyraźniej ją kocha, ale po paru miesiącach takich nagabywań w końcu wycofała się na pozycję słuchaczki.

— Słuchaj, czy nie uważasz, że to, co on wyprawia, zaczyna się już ocierać o stalking? — Anka wychyliła szklankę z piwem.

— Nie mam pojęcia. Mnie niestety nikt tak nie dręczy. — Małgorzata się roześmiała. Zakochany dentysta zupełnie nie wydawał jej się groźny. — Może po prostu zmienisz numer?

— I co jeszcze? — Anka spurpurowiała na twarzy. — Mam sobie zrobić operację plastyczną? Wyprowadzić się do cholernego Meksyku?

— No tak. To bez sensu. Może z nim po prostu szczerze porozmawiasz?

— Nigdy w życiu! — Anka zaperzyła się jeszcze bardziej. Odgarnęła z czoła ciemne loki i wypuła kolejny łyk. Potem zlizwała z warg białą pianę. — No dobrze, dajmy już temu spokój. Nie chcę poświęcać mu kolejnego wieczoru. Wystarczy, że wczoraj spieprzył mi humor. Powiedz mi lepiej, co z twoim testem? Zrobiłaś? — Nachyliła się

nad stołem.

Małgorzata poczuła lód w żołądku. No tak, tydzień temu napisała Ance w esemesie, że spóźnia się jej okres i zamierza kupić test.

— Zrobiłam — odpowiedziała.

— I?

— Skończyło się jak zawsze. — Uśmiechnęła się krzywo. Piątkowy wieczór to nie był wymarzony czas na roztrząsanie takich spraw. — Jak będę w ciąży, dowiesz się pierwsza, obiecuję — próbowała obrócić całą sprawę w żart.

— No, ostatecznie Marcinowi możesz powiedzieć wcześniej — zaproponowała łaskawie Anka, wybuchając gromkim śmiechem.

— Uff. — Małgorzata dołączyła do niej.

— I pamiętaj, że mam zostać matką chrzestną.

— Nie ma siły, żebym zapomniała. Przypominasz mi o tym przy każdej okazji.

Anka rozsiała się wygodnie na sofie i zaplotła ręce na piersiach.

— A swoją drogą ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak cię ciągnie do pieluch. Dziecko to ogromny obowiązek. Nie masz pojęcia, jak duży.

— A ty masz? — Małgorzata spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— No, na pewno większe niż ty. Trochę praktyki zaliczyłam, jak mały się urodził.

— I to cię tak zniechęciło do macierzyństwa?

— A żebyś wiedziała. — Anka zamyśliła się, jakby rzeczywiście rozważała taki scenariusz. — Tak czy siak — wyszczerzyła zęby w uśmiechu — przed tobą jeszcze góra obsranych pieluch, gwarantuję ci to!

— Taaa... — Małgorzata znów posmutniała.

Nie lubiła rozmawiać o swoich problemach. Opowiadanie o kłopotach dołowało ją, zamiast przynosić ulgę. Zresztą o trudnościach Małgorzaty z zajściem w ciążę wiedziały poza Marcinem i nią tylko dwie osoby — Anka i Alicja. Przed koleżankami z pracy Małgorzata udawała, że jest zbyt wygodna, aby zdecydować się na potomstwo.

— Żadnego kina, teatru, wylegiwania się w łóżku z książką? — tłumaczyła z fałszywym uśmiechem, kiedy któraś zagadnęła ją w tej sprawie. — To po co w ogóle żyć?

Wolała, żeby ludzie mieli ją za wygodnicką królową, niż żeby się nad nią litowali.

— Ten z boku, widzisz go? Fajny, nie? — spytała Anka, kiedy zbierały się już do wyjścia.

— Który?

— No, ten. — Anka zrobiła dyskretny ruch głową w stronę samotnego dwudziestolatka, bawiącego się swoim smartfonem.

— Rzeczywiście, niezły — odpowiedziała Małgorzata mechanicznie. Faceci w tym wieku zupełnie jej nie interesowali. Lubiała dojrzałych ludzi — zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Gładkie twarze bez zmarszczek kojarzyły jej się z wydmuszkami albo porcelanowymi filiżankami. Piękna skrupa bez zawartości.

— Poczekaj chwilę. — Anka machnęła ręką, jakby odganiała się od natrętnej muchy, i kołysząc się seksownie na wysokich obcasach, popłynęła w kierunku młodziaka.

Małgorzata przyglądała się beznamiętnym wzrokiem, jak przyjaciółka się do niego

wdzięczy, jak zaśmiewa się niczym nastolatka i potrząsa lokami. Ile już razy była świadkiem podobnej sceny? Na studiach takie zachowanie Anki było normą. Sypiała z każdym, kto wpadł jej w oko i kto, oczywiście, miał ochotę z nią pójść, co w zasadzie wychodziło na to samo. Małgorzata nie знаła faceta, który oparłby się urokowi jej przyjaciółki. Z mięśniakiem spod baru też pewnie jeszcze w ten weekend wyląduje w łóżku.

Nie miała ochoty na to patrzeć. Postanowiła, że poczeka przed wejściem.

Przestało padać, ale stoły i krzesła lśniły w deszczu. Przykucnęła przy schodach i wyjęła papierosa. Rzadko paliła — jeden, dwa razy w tygodniu — ale paczkę papierosów zawsze nosiła przy sobie. Nikotyna rozjaśniała jej umysł, była też doskonałym lekiem na stres. Bardziej skutecznym od pigułek, bo działającym natychmiast. Rodzice Małgorzaty nie palili, ale siostra matki, ciotka Lena, była nałogową palaczką. Małgorzata była z nią bardzo związana i chyba z tego wynikał jej sentyment do tego nałogu. Zapach papierosów zmieszany z letnim powietrzem zawsze kojarzył się jej z dzieciństwem.

Przyjaciółka wyszła na zewnątrz po kwadransie, kiedy nogi Małgorzaty zdążyły już zdrętwieć od kucania.

— I co? Łowy się udały? Umówiłaś się z nim? — zapytała z przekąsem, choć prawdę mówiąc, już dawno przestała się ekscytować romansami Anki. Nawet kiedy przyjaciółka chwaliła się kolejnym zaliczonym na dyskotecę czy koncercie chłoptasiem, ograniczała się wyłącznie do pełnego dezaprobaty uniesienia brwi. Żadne tłumaczenia nie przyniosłyby skutku.

Kiedyś spytała ją, czy po takim szybkim numerku w dyskotekowej toalecie nie czuje się wykorzystana.

— Wykorzystana? — Anka zaśmiała się jak z najlepszego dowcipu. — Z ciebie to jest jednak okropna filisterka. Od razu zakładasz, że to facet wykorzystał kobietę. A jeśli było odwrotnie?

Mimo wszystkich swoich obiekcji Małgorzata nie mogła nie przyznać jej racji.

— Na jutro. Ma przyjść do mnie wieczorem.

— Aha — w głosie Małgorzaty nie było entuzjazmu. Kolejny chłopaczek z gatunku „urocza kopia tatusia”. Już na pierwszy rzut oka było widać, że facet do niczego się nie nadaje. Do niczego poza... No tak, a Ance chodziło przecież głównie o to „poza”.

— Jest młodszy o jakieś... piętnaście lat — w głosie Anki pobrzmiwała duma.

— To już ten wiek, że takie rzeczy cię kręcą?

— A wiesz, chyba rzeczywiście. Im jestem starsza, tym bardziej podobają mi się młodszy faceci. — Anka roześmiała się perliście.

Wyszły na ulicę i ruszyły w stronę centrum. Zza drzew wylaniała się podświetlona wieża bazyliki.

— Zobacz, jaki ładny widok, jak z pocztówki — Małgorzata podzieliła się swoim zachwytem. Lubiła stare budynki — kamienice, kościoły, muzea. Uważała, że takie miejsca mają duszę, jakby w powietrzu zostały jeszcze myśli i emocje ludzi, którzy żyli w nich przed laty. W nowoczesnych domach zupełnie tego nie czuła. Cieszyła się, że mieszka w wiekowym budynku, który ma swoją historię. Nigdy nie zamieniłaby go na nowy segment. Nawet w tak pięknej i czystej okolicy jak ta, w której mieszkała Anka.



— Faktycznie. Ładnie — odparła przyjaciółka nieuważnie. — Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak było na wakacjach — zmieniała temat, stukając energicznie obcasami. Wzięła Małgorzatę pod ramię i przyciągnęła do siebie.

— Było super, jak zawsze.

— Podziwiam was.

— Za co?

— Ciągłe jeździcie w to samo miejsce. Nie znudziło się wam?

— Znudziło? — Małgorzata spojrzała na przyjaciółkę zdziwiona. — No coś ty, czekam na ten wyjazd przez cały rok.

— Sentymentalna wariatka! — skwitowała Anka. Była typem, który nigdy się nie wzrusza. Nawet kiedy oglądały razem jakiś melodramat, zawsze trzymała fason i naigrawała się z Małgorzaty, która tonęła we łzach.

— Może — zgodziła się.

— Gdybyś raz wyściubiła nos z Polski. O, pojechała na przykład do Chorwacji...

— Wiem, wiem, nigdy więcej nie wróciłabym nad Bałtyk — przerwała jej Małgorzata. — Wyobraź sobie, że są ludzie, którzy lubią zwiedzać własny kraj i dobrze się czują w takich zimno-wietrznych klimatach.

— Jeśli tak dobrze się czujesz w zimno-wietrznych klimatach, to jedź do Szwecji.

Wyszły już na główną ulicę i przechodziły obok supermarketu, którego parking zamieniono na tymczasowy dworzec autobusowy.

— To już lepiej niż do Chorwacji. Wiesz, że nie lubię owczego pędu.

— To nie owczy pęd, a rozsądek.

— Niech ci będzie — Małgorzata ucięła dyskusję. Takie przekomarzanie się do niczego nie prowadziło. Lubiła podróżniczą pasję Anki, nawet przyjaciółkę za nią podziwiała, jak podziwiała wszystkich ludzi, którzy oddają się czemuś bez reszty, ale sama nie podzielała tych zainteresowań nawet w jednym procencie. I żadne argumenty przyjaciółki nie zdołałyby tego zmienić.

Może przywiązanie do miejsc zostało jej z dzieciństwa? Jako dziecko też wszystkie wakacje spędzała w jednym miejscu. W oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów od Piekar wsi, w której urodziła się jej mama. W przeciwieństwie do taty, mama nie była rdzenną Ślązaczka. Przybyła do Piekar z maleńkiego Giebla, jak większość ówczesnej młodzieży — za chlebem. Kiedy skończyła studium nauczycielskie w Częstochowie, dostała trzy propozycje pracy. Najbardziej przypadła jej do gustu posada nauczycielki w piekarskiej podstawówce. Podobno nigdy nie żałowała swojego wyboru. W czasie wakacji mieszkali w rodzinnym domu mamy — małej chatce z jedną izbą i kamienną sienią. Małgorzata dobrze pamiętała widok, jaki rozciągał się z okien domku. Pola, lasy i górujące nad nimi białe ruiny ogrodzienieckiego zamku.

Po śmierci mamy rzadko odwiedzali z tatą Gieblo. Chatka niszczała, podwórko zarosło wysoką trawą. Ojciec, choć niechętnie przyjeżdżał na wieś, bronił się przed sprzedażą domu rękami i nogami. Może wydawało mu się, że pozbywając się dziedzictwa mamy, dopuściłby się wobec niej zdrady? Małgorzata podejrzewała, że z tego samego powodu po odejściu żony z nikim się nie związał.

Sprzedaż chatki Małgorzata zajęła się dopiero po jego śmierci. To nie była łatwa

decyzja, ale nie miała wyjścia. Oszczędności, które zostawił jej tata, topniały w zastraszającym tempie, renta po rodzicach nie była oszałamiająco wysoka, a przed śmiercią ojca obiecała mu, że nie będzie studiować zaocznie. Tacie bardzo zależało na tym, żeby miała porządne wykształcenie.

Od sprzedaży rodzinnego domu mamy Małgorzata była w Gieble zaledwie kilka razy. Ostatni raz jeszcze przed ślubem z Marcinem. Czasem dopadało ją poczucie winy, że nie dba o rodzinny grób, ale opór przed odwiedzeniem miejsca, w którym spędziła najpiękniejsze chwile z rodzicami, przewyższał wszystkie inne uczucia.

Ze zdjęciami było łatwiej. Małgorzata często przeglądała pożółkłe fotografie zgromadzone przez mamę w rzeźbionym pudełku. Największe wrażenie robiło na niej zdjęcie braciszka mamy. Mały chłopiec z zapadniętymi policzkami, leżący w wąskiej skrzyneczce udającej trumnę, był jej od wczesnego dzieciństwa niezwykle bliski. Historia Stasia była dramatyczna. Zmarł na czerwonkę w trzecim roku wojny. Na fotografii z pogrzebu trumna leży na trawniku przed domem. Obok, na krześle, siedzi owinięta czarną wełnianą chustą kobieta — babcia Stacha, obejmująca ramieniem pięcioletnią dziewczynkę w białej chusteczce na głowie. Babcia Małgorzaty urodziła w sumie pięcioro dzieci. Lenkę — tę dziewczynkę z fotografii, Stasia, mamę Małgorzaty i dwie dziewczynki — Marysię i Helenkę, które zmarły w niemowlęctwie, jeszcze przed wojną. Mama Małgorzaty, najmłodsza z rodzeństwa, przyszła na świat krótko po czterdziestych czwartych urodzinach babci. Podobno na wyraźne życzenie starszej siostry, która tęskniła za braciszkiem. Małgorzata nie próbowała sobie nawet wyobrazić, co musiała czuć, kiedy umarł. Siostry były ze sobą bardzo związane. Nie tylko w dzieciństwie, w dorosłym życiu także. Nawet odeszły w tym samym czasie. Najpierw mama, w wypadku, a pół roku później ciocia. Zdrowa czterdziestoletnia kobieta zmarła nagle na zawał. Według ojca Małgorzaty nie potrafiła pogodzić się z odejściem ukochanej siostrzyczki. Możliwe, że tak właśnie było. W końcu ile dramatycznych pożegnań może wytrzymać jedno serce?

— Musisz mnie kiedyś zabrać do tego swojego raj — rozmyślania Małgorzaty przerwał głos Anki.

— Muszę — potaknęła, dopiero po chwili reflektując się, że przyjaciółka mówi o Łebie, nie o Gieble, o którego istnieniu chyba nawet nie wiedziała. Małgorzata sprzedała dom mamy, jeszcze zanim się poznały. — A wiesz — ożywiła się — mieszkaliśmy w Retro drzwi w drzwi z taką fajną rodzinką. Adopcijną. — Uśmiechnęła się na wspomnienie Gabrysi i Grześka oraz uroczych pięcioletnich dziewczynek — bliźniaczek. — Przesympatyczni ludzie — dodała. — Tylko wiesz... oni tym swoim dziewczynkom nie powiedzieli, że są adoptowane.

— Może tak jest lepiej?

— Lepiej? — Małgorzatę zaskoczyła ta uwaga. — Naprawdę myślisz, że to się może udać? Że dziewczynki nie wyczują, że coś jest nie tak? Że coś się przed nimi ukrywa? Dzieciaki, nawet te małe, mają ogromną intuicję. Mogą nie wiedzieć, o co chodzi, ale czują, że w domu jest jakaś tajemnica.

— Albo dowiedzą się od życzliwych znajomych, skoro rodzice tak chętnie dzielą się informacją o ich pochodzeniu z obcymi ludźmi.

— Nie, nie, to była wyjątkowa sytuacja — Małgorzata wystąpiła w obronie

zaprzyjaźnionej pary. — Grillowaliśmy, piliśmy piwo i ja im powiedziałam o naszych problemach z zajściem w ciążę, tak jakoś wyszło. A oni podchwycili temat. Zaczęli opowiadać o swojej piętnastoletniej walce o ciążę. Wiesz, to jest chyba takie doświadczenie, którego nie da się wymazać z pamięci, nawet jeśli zostało się już rodzicem. No a potem powiedzieli, że swoje córki adoptowali.

— I co? Przekonałaś ich do szczerzej rozmowy z dziećmi?

— Chyba tak.

— Adopcja to wciąż jeszcze sensacja — zamyśliła się Anka.

— Czy ja wiem? Chyba zaczyna już być normą — nie zgodziła się z nią Małgorzata. W szkole miała dwie koleżanki, które przysposobiły dziecko.

— Może ty też...? — Anka rzuciła Małgorzacie znaczące spojrzenie.

— Może — ucieła. Nie czuła się gotowa do takiej rozmowy. Podobnie zresztą jak nie czuła się gotowa do adopcji. Nie, nie miała żadnych uprzedzeń. Po prostu wciąż bardzo chciała być w ciąży.

— Moim zdaniem ciąża jest przereklamowana — stwierdziła Anka, jakby czytała przyjaciółce w myślach. — Wielki brzuch, gigantyczne cycki, rozstępy. A finał? Coś obrzydliwego!

Temat rozmowy nie nastrojał Małgorzaty pozytywnie, ale przyjaciółka skrzywiła się tak sugestywnie, że zaczęła się śmiać.

— Masz kompletnego bzika na punkcie wyglądu — skwitowała.

Ona sama nie przywiązywała zbyt dużej wagi do urody. Owszem, pewnie źle by się czuła, gdyby nagle mocno przytyła albo wyskoczyły jej na twarzy brodawki, jednak fizyczność nigdy nie była w jej życiu sprawą numer jeden. Dla Anki przeciwnie. Już w wieku trzydziestu lat wstrzyknęła sobie botoks, regularnie odwiedzała kosmetyczkę, a na zakupy w butikach i perfumeriach wydawała połowę pensji. Jednak to, co najbardziej dziwiło Małgorzatę, to fakt, że Anka nowych znajomych oceniała zawsze przez pryzmat urody. Jej coś takiego nigdy nie przyszłoby do głowy.

Były już na Bytomskiej, kiedy Anka wyskoczyła ze swoją rewelacją.

— Słyszałaś o Jareckim? — spytała.

— O Jareckim? Nie. O co chodzi? — Małgorzata zatrzymała się w pół kroku.

— Gadałam wczoraj z Grzeskiem. Spotkaliśmy się przypadkiem na mieście. Wiesz, kręciłam materiał przy Urzędzie Wojewódzkim, on pracuje na naszej uczelni...

— Anka, bez dygresji — przerwała przyjaciółce niecierpliwie.

— No dobrze, bez dygresji sprawa wygląda tak, że... Jarecki umiera.

— Co takiego? — Małgorzata w jednej chwili zupełnie otrzeźwiała.

— Umiera. Ma raka. Ostatnie stadium. Grzesiek mówił, że od paru miesięcy nie pracuje, nie pisze, podobno jest z nim już bardzo źle.

— Co ty gadasz? Krzysztof ma raka? Umiera? — Małgorzata przełknęła głośno ślinę. Gardło w jednej chwili wyschło jej na wiór.

— Tak mówił Grzesiek.

— Nie wierzę. Przecież Jarecki ma pięćdziesiąt parę lat.

Anka uśmiechnęła się kpiąco.

— Dziwny argument w twoich ustach.

— To pewna wiadomość? — Małgorzata zlekceważyła tę uwagę. Myśl o chorobie Krzysztofa po prostu nie mieściła jej się w głowie. Kiedy widzieli się ostatnio, wyglądał jak okaz zdrowia. Co prawda to „ostatnio” to nie było tydzień temu, mimo wszystko trudno jej było wyobrazić sobie wykładowcę chorego.

— Pewna będę za kilka dni.

— To znaczy?

— Chcemy do niego pojechać — wyjaśniła Anka. — Ja, Grzesiek, może ktoś jeszcze. Właściwie dlatego ci o wszystkim mówię. Pomyślałam, że mogłabyś pojechać z nami. Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała... — dodała po chwili, rzucając Małgorzacie uważne spojrzenie.

— Pojadę. Dlaczego nie?

— Jesteś pewna? — Brwi Anki uniosły się wysoko do góry.

— Tak. — Małgorzata potaknęła gwałtownie. — Przecież od dawna nic nas już nie łączy — dodała szybko, czując, jak ciało napina jej się niczym struna w odpowiedzi na to wierutne kłamstwo.

Nie miała ochoty wracać do domu. Minęła bazylikę i usiadła na ławce. Zegar na kościelnej wieży wskazywał wpół do pierwszej. Spojrzała w górę, ponad dachy kamienic. Niebo było czarne jak smoła. Wyjęła papierosa i mocno się zaciągnęła. Czekwała kilka sekund, zanim poczuła w ciele charakterystyczną słabość. Dopiero teraz, znieczulona nikotyną, odważyła się na wspomnienia.

Krzysztof. Jarecki. Redford. Wysoki przystojniak z gęstą blond czupryną. Za wykładowcą literatury pozytywizmu i Młodej Polski szalały wszystkie studentki. Przydomek „Redford” wymyślony na długo przed tym, zanim Małgorzata z Anką zawitały w progach uczelni, idealnie do niego pasował. Jeśli nie liczyć wykładów profesora Wrześniowskiego — legendy katowickiej filologii — ćwiczenia doktora Krzysztofa były jedynymi zajęciami, na które studenci naprawdę lubili chodzić. Jarecki, podobnie jak profesor Wrześniowski — korpulentny staruszek, którego nikt chyba nigdy nie widział bez uśmiechu — miał prawdziwą charyzmę. Nie wywyższał się zwyczajem innych, zadufanych w sobie doktorków, nie sprowadzał studentów do parteru. Może dlatego, że wiedzę też miał imponującą? Nie musiał maskować ignorancji chamstwem.

Małgorzata należała do czołówki studenckiej braci. Miała jedną z najwyższych średnich i stypendium naukowe. Na zajęciach Jareckiego także się wyróżniała.

— Świetnie interpretuje pani teksty — chwalił ją często.

Po kilku miesiącach namówił dziewczynę do udziału w kole literackim. Rok później zaś z otwartymi ramionami przyjął w poczet swoich seminarzystów.

Pracę magisterską pisała z poezji Ewy Lipskiej. Sama także podejmowała już wtedy pierwsze próby poetyckie. Z nikim się jednak nimi nie dzieliła.

Jarecki imponował wszystkim dziewczynom w grupie, Małgorzata nie była wyjątkiem. Nikomu jednak nie zwierzała się ze swojego infantylnego zauroczenia czterdziestoletnim doktorem. Nawet Ance. Jej samej to zakochanie wydawało się śmieszne i pozbawione perspektyw. W Redfordzie kochało się przecież pół uczelni! Małgorzata nie wiedziała nawet, czy jest wolny. Może miał żonę i tuzin dzieciaków? Nie nosił obrączki, ale jej ojciec też jej nie nosił, choć był zakochany w mamie do szaleństwa.

Małgorzata od klasy maturalnej była sama. Z ostatnim chłopakiem zerwała tuż po pogrzebie taty. Nagle zaczął ją drażnić. Jego chłopczykowatość, niedojrzałość. Miała wrażenie, że emocjonalnie nie dorasta jej do pięt. Czym dziewczynie po przejściach, dorosłej tak bardzo, jak tylko można być dorosłym w wieku dziewiętnastu lat, mógłby zaimponować ktoś, komu mama wciąż prała skarpetki? W tamtym czasie Małgorzata widziała wokół siebie samych takich chłopaczków. Syneczków filisterskich rodziców trzęsących się nad nimi jak nad niemowlakami.

Jarecki to była zupełnie inna liga. Piętnaście lat starszy od Małgorzaty, elokwentny i dojrzały, stanowił uosobienie męskości, do której tęskniła, odkąd umarł tata. Trochę jej go nawet przypominał. Był podobnie jak ojciec bezkompromisowy i twardy. I podobnie jak on dokładnie wiedział, czego chce od życia.

Tamtego dnia przyjechała na seminarium jak co wtorek, z teczką wypełnioną pierwszymi rozdziałami pracy magisterskiej. Kiedy weszła do sali, okazało się, że nie ma

w niej nikogo poza prowadzącym zajęcia. Przypadek? Zrządzenie losu? Intryga Krzysztofa? Małgorzata nigdy nie poznała odpowiedzi na to pytanie. Usiadła za stołem, a Jarecki wyszedł z gabinetu, zapowiadając, że będzie za kwadrans. Kiedy wrócił, wciąż była tam tylko ona.

— Może pójdziemy do kawiarenki? — zaproponował. — Będzie przyjemniej.

Zamówił kawę dla siebie i dla Małgorzaty, a potem poprosił, żeby pokazała mu swoją pracę. Czytał ją z uwagą, robiąc ołówkiem notatki na marginesach. Analiza wierszy Lipskiej szybko przerodziła się w bardziej osobistą rozmowę. Jarecki zamówił jeszcze po jednej kawie i z właściwą sobie bezpośredniością zapytał Małgorzatę, czy kogoś ma.

— Taka piękna dziewczyna jest sama? Jak to możliwe? — zdziwił się, kiedy zaprzeczyła.

Opowiedziała mu o wszystkim. O mamie i jej wypadku, który ostrym cięciem raz na zawsze zakończył jej dzieciństwo. O tacie. I o swojej permanentnej samotności. Kiedy skończyła, mężczyzna po prostu złapał ją za rękę. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią tymi swoimi mądrymi oczami i uśmiechał się współczująco. To wtedy zakochała się w nim naprawdę.

On także się otworzył. Zwierzył się z problemów z matką chorującą na alzheimera i córką, która zaraz po narodzinach trafiła z zakażeniem krwi na oddział patologii noworodka.

— Wiesz, nigdzie nie nauczysz się tak cenić życia jak tam — stwierdził. — Zdaję sobie sprawę, że to dziwnie zabrzmiało, ale muszę ci powiedzieć, że przez jakiś czas po przywiezieniu Dareńki do domu brakowało mi szpitala. Cieszyłem się, oczywiście, że mała jest z nami, że wyszła cało z tego koszmaru, ale tęskniłem do tamtej atmosfery. W takich miejscach człowiek naprawdę czuje, że życie ma sens.

Małgorzatę ujęło, że Jarecki tak ciepło mówi o swojej córce, jednak zaniepokoił ją sam fakt jej istnienia. Skoro jest dziecko, musi być i matka. Czy Redford z nią jest? Czy są ze sobą szczęśliwi? W jej głowie zaroilo się od pytań. Tamtego pierwszego popołudnia nie miała jednak śmiałości ich zadać.

— Spotkamy się jeszcze? — zapytał, kiedy stali na opustoszałym korytarzu, czekając na windę.

— Jasne. Za tydzień, na seminarium — odpowiedziała z głupia frant.

— Mam na myśli spotkanie we dwoje — uściślił.

— Spotkamy — odpowiedziała cicho, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Widywali się co kilka dni. Od czasu do czasu Jarecki przyjeżdżał do Małgorzaty, częściej umawiali się jednak w hotelu nieopodal uczelni. Tak było wygodniej. Krzysztof nie musiał tracić czasu na podróż do Piekar. A miał go niewiele. Bo praca, córka i tysiąc różnych pasji. Teatr, koncerty pianistyczne, góry... Dopiero na trzeciej randce przyznał się, że ma żonę. Panią prokurator. Pozbawioną instynktu macierzyńskiego karierowiczkę. To zdanie Jareckiego. Małgorzata nigdy z nią nie rozmawiała.

Czy zabolą ją ta wiadomość? Nieszczególnie. Była w najsilniejszej fazie zakochania, a warstwa różu na okularach, przez które patrzyła na świat, miała taką grubość, że nie zdołałaby dostrzec przez nią nawet biegającego za ukochanym harem.

Jarecki był jej pierwszym mężczyzną. Nie dosłownie, bo kiedy go poznała, miała

za sobą kilka związków, ale pierwszym, do którego poczuła coś poważnego, w którym naprawdę się zakochała. Jakim cudem w tym stanie ducha udało jej się dokończyć magisterkę i zaliczyć specjalizację, nie rozumiała do dziś.

Była pod całkowitym wpływem kochanka. Zaczęła jak on wspinać się po górach, regularnie odwiedzała teatr i filharmonię. Czytała książki, które jej podsuwał, słuchała pożyczonych od niego płyt. Anka, która od początku krytykowała tę relację, była bezlitosna.

— Pigmalion i Galatea, na tym polega ten wasz pieprzony związek! Powiedz mi, dziewczyno, dlaczego to on nie czyta tego, co ty lubisz? Czy on w ogóle wie, jacy są twoi ulubieni autorzy? Czy on w ogóle cokolwiek o tobie wie? — denerwowała się.

Do Małgorzaty nie docierały argumenty przyjaciółki. Uważała, że Anka zazdrości jej szczęścia.

Czy myślała o przyszłości? Owszem.

— Jak tylko skończę studia, przestaniemy się ukrywać. Krzysztof odejdzie od rodziny i wreszcie będziemy razem — podzieliła się z przyjaciółką swoją wizją.

— Tak ci powiedział? — Oczy Anki zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Nie, ale tak będzie. Przecież mnie kocha.

— Wyznał ci miłość?

— Wiesz, to taki typ, który nie strzepi sobie języka wyznaniem. — Małgorzata na każde pytanie miała gotową odpowiedź.

Rzeczywistość okazała się boleśnie różna od jej naiwnych wyobrażeń. Nagle, po pół roku płomiennego romansu, Jarecki zaczął mieć dla młodej kochanki coraz mniej czasu. Z dwóch spotkań tygodniowo zeszli do jednego, w końcu do jednego na dwa tygodnie. W dniu, w którym obroniła pracę magisterską, nie miała już żadnych wątpliwości, że to koniec.

To był ostatni wspólny wieczór. Początek lipca, ciepłe powietrze, niebo pełne gwiazd. Poszli do kina na *Evitę*, potem do mieszkania Małgorzaty. Kochali się, nie było w tym jednak żaru. Jakby ktoś wszedł na scenę i zgasił nagle wszystkie światła. Po wszystkim siedzieli owinięci kołdrą, patrząc na siebie w milczeniu z dwóch stron łóżka.

— Nie chcesz mnie już? — Małgorzata pierwsza przerwała ciszę. Myślała o tym od miesiąca, jednak dopiero teraz znalazła w sobie odwagę, żeby zadać kochankowi trudne pytanie.

Krzysztof spojrział na nią, marszcząc brwi. Miała wrażenie, że widzi w oczach mężczyzny złość, a jednak kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał łagodnie.

— Jesteś mi bliska. — Sięgnął przez kołdrę do jej ręki.

Odsunęła się. Wiedziała, co zdarzy się za chwilę. Będą się kochać, a potem Krzysztof nagle zacznie się spieszyć. I znowu zostanie w pustym mieszkaniu z głową pełną pytań.

— Spotykamy się coraz rzadziej. To nie jest przypadek — powiedziała.

Jarecki podniósł się i podszedł do okna. W świetle latarni widziała jego nagą sylwetkę. Szerokie plecy, umięśnione pośladki i łydki. Podobało się jej, że nie wstydzi się swojej nagości. Ona, choć była szczupła, miała jędrny tyłek i ładne piersi, po seksie zawsze narzucała na siebie prześcieradło.

— Posłuchaj, Małgosiu. — Obrócił się w jej stronę. — Jest problem. Moja żona zaczyna coś podejrzewać.

— Więc ją zostaw — odpowiedziała bez chwili zastanowienia. Dla niej to było oczywiste — jeśli kogoś zdradzasz, to go nie kochasz, a skoro przestałeś kochać, odchodzisz. Tkwienie w związku bez miłości wydawało się jej potworną hipokryzją.

Jarecki usiadł obok. Poczula zapach drzewa sandałowego i spermy.

— Nie mogę jej zostawić — powiedział i dmuchnął jej we włosy. — Mamy dziecko.

— Przecież dzieckiem można się podzielić.

Odsunął się gwałtownie. Oczy mu pociemniały.

— Nigdy nie zostawię Darusi. Nie ma takiej opcji.

— Nie chcę być wieczną kochanką. To upokarzające... — wciąż protestowała, choć wiedziała już, że przegrała tę bitwę. Nie tylko bitwę zresztą — całą wojnę.

Krzysztof wstał i zaczął się ubierać.

— Gosiu, nic z tego. Nie zostawię córki — powtórzył z mocą, wsuwając dzinsy. — Jeśli myślałaś, że będzie inaczej, przykro mi. Niczego ci nie obiecywałem.

— To koniec? — spytała przez zaciśnięte gardło, z trudem powstrzymując łzy.

Nie odpowiedział. Włożył buty, zabrał swoją aktówkę i wyszedł z mieszkania bez słowa.

Najpierw czuła wściekłość, potem rozpacz. W końcu zaczęła sobie wmawiać, że Krzysztof wcale z nią nie zerwał, a fakt, że nie podnosi słuchawki, choć dzwoni do niego po kilkanaście razy dziennie, to przypadek. Wiedziała, że traci twarz, że robi z siebie kompletną idiotkę, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. Cały czas tliła się w niej nadzieja, że coś się jednak zmieni. Że Jarecki zrozumie, jak wielkim błędem było odrzucenie jej uczuć, i zapragnie do niej wrócić. Chciała, żeby wiedział, że ma dokąd, że ona wciąż na niego czeka.

Po okresie bombardowania Krzysztofa telefonami przyszedł czas na wystawanie pod jego domem. Jarecki mieszkał w zadbanej willi w centrum Katowic. Małgorzata przyjeżdżała tam codziennie. Stawała po drugiej stronie ulicy i schowana za wielkim dębem przez wiele godzin obserwowała mieszkanie kochanka.

Widowała ich niemal codziennie. Krzysztofa i jego harpiowatą żonę, która zresztą wcale nie wydawała się jej bezduszną karierowiczką, kiedy przyglądała się, jak wraca z pracy, trzymając za rękę córkę, albo jak przekomarza się z mężem, wbiegając po schodach do domu. Jaka była? Piękna. Szczupła brunetka z mocno pomalowanymi oczami i włosami uczesanymi w gładki kucyk. Zawsze elegancka, na obcasach. Choć starsza od Małgorzaty o co najmniej piętnaście lat, urodą i klasą biła ją na głowę. Czy to wtedy Małgorzata zrozumiała, że Jarecki nigdy nie miał wobec niej poważnych zamiarów? Że cały ten ich żaloszny związek był błagą. Trywialnym do bólu romansiem wykładowcy ze studentką. Chyba tak. Patrząc na jego żonę, nie miała wątpliwości — od takich kobiet się nie odchodzi.

Parę tygodni od rozstania z Krzysztofem Anka poznała w klubie studenckim jego byłą dziewczynę. Potem z innego źródła dotarła do niej informacja, że Jarecki romansował także z uczelnianą sekretarką i wykładowczynią literatury staropolskiej,



swoją drogą straszną „siekierą”.

— To pieprzony bawidamek, seksoholik. Nie jest cię wart — przekonywała przyjaciółkę.

— I kto to mówi — ripostowała Małgorzata, ale w głębi duszy była wdzięczna Ance za te słowa. Nie wierzyła do końca we wszystkie te historie, zwłaszcza w romans Jareckiego z Samojeźdzą Krzywoustą, jak nazywały na roku profesorkę od staropolskiej, wydawał jej się kompletną bzdurą, miała jednak świadomość, że w każdej plotce jest ziarno prawdy, co powoli otwierało jej oczy.

We wrześniu Małgorzata rozpoczęła pracę w szkole i to był pierwszy krok w kierunku zdrowienia. Drugim okazały się zamachy terrorystyczne w Nowym Jorku. Siedziały z Anką przed telewizorem jak sparaliżowane i z niedowierzaniem wpatrywały się w walące się wieżowce. Patrząc na ludzi wyskakujących z okien płonących budynków, Małgorzata pierwszy raz pomyślała, że na Krzysztofie świat się nie kończy.

Marcin pojawił się w jej życiu pół roku od rozstania z Jareckim. Pewnego mroźnego popołudnia, jadąc odziedziczonym po tacie maluchem, wpadła w poślizg i wbiła się z impetem w bagażnik niebieskiego seata toledo, należącego do pewnego przystojnego bruneta. Właściciel uszkodzonego wozu — jak się później okazało, lekarz — nie wezwał policji, za to jeszcze tego samego wieczoru zabrał sprawczynię wypadku do teatru, a kilka miesięcy później zostali parą.

Nie zastanawiała się nawet przez chwilę, czy powinna podzielić się z mężem informacją o chorobie Krzysztofa. Marcin nigdy nie robił problemu z jej znajomości z Jareckim. Przez kilkanaście lat wspólnego życia Małgorzata nie zauważyła w zachowaniu męża nawet cienia zazdrości o byłego kochanka.

On sam nie miał zbyt wielu doświadczeń. Przed Małgorzatą spotykał się tylko z jedną dziewczyną. Kiedy poznał przyszłą żonę, od roku był sam. Mimo że miał dwadzieścia siedem lat i świetnie płatną pracę, wciąż mieszkał z rodzicami. Zresztą ku uciechu swojej matki. Marcin był jedynakiem, takim wychuchanym, którego matka najchętniej nigdy nie wypuściłaby spod spódnicy. Oboje rodzice byli lekarzami. Matka przeszła na emeryturę w zeszłym roku, ojciec wciąż pracował jako anestezjolog w siemianowickiej oparzeniówce. Podobno przed urodzeniem syna matka Marcina kilka razy poroniła, jej nadopiekuńczość nie powinna więc być Małgorzaty dziwić. I nie dziwiła. Była tylko nieco uciążliwa. Zresztą teściowa chyba nigdy nie polubiła żony syna. Na pozór wszystko było w porządku, nazywała ją swoją „córeczką”, zostawiała dla niej najlepsze kąski. Pod skórą gazeli czaił się jednak groźny tygrys, który od czasu do czasu wyciągał ostry pazur i robił nim cięcie. Szybko i dla ludzi z zewnątrz niemal niedostrzegalnie, ale Małgorzata nosiła po tych niespodziewanych atakach głębokie rany.

Już na drugim spotkaniu z przyszłymi teściami usłyszała, że wiążąc się z nią, Marcin popełnia mezalians. Uwaga ta wypowiedziana była niby żartem, Małgorzata nie miała jednak wątpliwości, że matka Marcina naprawdę tak myśli. Niemal na każdym kroku porównywała synową do pierwszej miłości syna. Dziewczyny pięknej, z dobrego domu, a w dodatku lekarki. Edytka była wcieleniem wszelkich cnót, na domiar złego z charakteru bardzo podobna do teściowej. Nic dziwnego, że mamusia nie mogła przeżyć jej utraty. Marcin opowiadał, że matka długo próbowała przekonać go, żeby wrócił do pierwszej dziewczyny. Nawet wtedy, kiedy byli już z Małgorzatą narzeczeństwem.

Kiedy teściowa przełknęła w końcu jakoś fakt, że synek ożeni się ze skromną nauczycielką, sierotą, pojawiła się kolejna kwestia — ślub. Matka Marcina wyobrażała sobie, że wyprawi jedynakowi wesele w prawdziwie amerykańskim stylu. Limuzyny, ślub w ogrodzie, kwiatowe girlandy. Omal nie przypląciła zawałem wiadomości, że syn i jego narzeczona nie chcą żadnej fety i wystarczy im skromny ślub w górskim kościółku, do którego zachodzili często podczas pieszych wędrówek.

Teść był całkowicie podporządkowany żonie. Małgorzacie kojarzył się trochę z Felicjanem Dulskim, bohaterem sztuki Zapolskiej. Był jak on — spokojny i milczący. Nigdy nie angażował się w rodzinne spory. Małgorzata wyczuwała w tym jego milczeniu cień sympatii, sama zresztą też na swój sposób go lubiła.

Mimo nadopiekuńczości matki Marcin nie wyrósł na maminsynka. Owszem, troszczył się o rodziców. Kiedy mama miała operację tarczycy, codziennie jeździł do szpitala, przywoził jej zupki, chodził do lekarzy. Podobnie zachowywał się, gdy do szpitala trafił ojciec. Na co dzień jednak ograniczał się do telefonów i krótkich odwiedzin parę razy w miesiącu.

Do domu Małgorzata dotarła przed pierwszą. Marcin jeszcze nie spał. Siedział

przed komputerem i słuchał muzyki.

— No i jak się udało spotkanie? — uśmiechnął się, zdejmując słuchawki. — Zabalowałaś.

Lubiła ten jego uśmiech. Równe, białe zęby, drobne zmarszczki, ciepłe spojrzenie brązowych oczu. Ostatnio wśród znajomych Małgorzaty pojawiła się moda na rozwody. Z rosnącym zdumieniem obserwowała, jak rozpadają się związki, które uważała za niezatapialne. Jak ludzie bez mrugnięcia okiem obracają w pył dwadzieścia lat swojego życia. Z pięciu znajomych par, które brały ślub w tym samym roku co ona i Marcin, razem była już tylko jedna. Małgorzata zastanawiała się, dlaczego w ich małżeństwie temperatura nadal jest wysoka. Może wynikało to z faktu, że nie mieli dzieci i całą uwagę i czułość przelewali na siebie? Podobno bezdzietne małżeństwa często są szczęśliwsze od tych obdarzonych potomstwem. A może chodziło o wspólny cel?

Alicja twierdziła, że dobrali się z Marcinem jak w korcu maku. Małgorzata była innego zdania. Tak naprawdę bardzo się różnili. Zarówno temperamentem, jak i zainteresowaniami. Marcin uwielbiał sport, ona książki, on był introwertycznym, zamkniętym w sobie stoikiem, ona mogłaby z nim rozmawiać godzinami, a emocjonalnie była na wiecznej huśtawce. Równie łatwo wpadała w zachwyty, co w rozpacz. Choć tak bardzo się różnili, starali się spędzać dużo czasu razem. Oboje lubili ambitne filmy, więc często wychodzili razem do kina. Praktycznie w każdy piątek, jeśli Marcin nie miał akurat dyżuru w szpitalu, a Małgorzata nie spotykała się z Anką lub Alicją, fundowali sobie wyprawę do Cinema City albo Multikina. Te wyjścia to był ich rytuał. Podobnie jak wspólne picie kawy, weekendowe gotowanie czy wieczorne spacerowanie. Nawet porażki w staraniach o dziecko nie były w stanie niczego między nimi zepsuć. Nie kochali się pod dyktando testów owulacyjnych, nie traktowali seksu wyłącznie reprodukcyjnie. Ich zbliżenia nadal były spontaniczne i pełne żaru.

— Tak sobie — odpowiedziała, rozpinając bluzkę.

— A co się stało? — Marcin pocałował ją w nagie ramię. — Anka znowu ma problemy sercowe? — Na jego twarzy pojawił się lekceważący uśmiešek.

Zawsze tak o niej mówił. Z pobłażaniem. Małgorzata spytała go kiedyś, dlaczego nie lubi Anki. Odpowiedział, że to kwestia chemii, po prostu nie nadają na tych samych falach. Małgorzata uważała, że przyczyna chłodnych stosunków jest dużo mniej skomplikowana. Konserwatywny Marcin nie potrafił po prostu zaakceptować orientacji Anki i jej stylu życia.

— Krzysztof jest śmiertelnie chory.

— Jaki Krzysztof?

— Jarecki — odpowiedziała, wsuwając głowę w koszulę nocną. Brała prysznic przed spotkaniem z Anką, postanowiła więc podarować sobie wieczorny tusz. Jutro sobota, wykąpie się rano.

— Ten Jarecki? — zapytał Marcin, a kiedy potwierdziła, pokręcił z niedowierzaniem głową. — Przecież to młody facet — zareagował identycznie jak ona przed godziną.

— Rak nie wybiera.

Marcin nie wyglądał na szczególnie przejętego tą rozmową, postanowiła więc kuć

żelazo, póki gorące.

— Anka chce go odwiedzić. Co myślisz o tym, żebym z nią pojechała? Z nią i paroma innymi osobami z seminarium — doprecyzowała.

— Pewnie. Jeśli tego potrzebujesz — usłyszała spokojną odpowiedź.

— Nie jesteś zazdrosny?

— A o co miałbym być zazdrosny? Przecież to stare dzieje. — Marcin ziewnął i schował się pod kołdrą.

„Stare dzieje” — powtórzyła w myślach, po czym, ignorując nagły skurcz żołądka, mocno przytuliła się do pleców męża.

W poniedziałek pojechali z Marcinem do ginekologa. Lekarz kazał pojawić się w okolicach owulacji, żeby sprawdzić co i jak z jajeczkami i udzielić wskazówek, kiedy powinni się kochać.

Lubiła przyglądać się innym parom siedzącym w poczekalni. Próbowwała wyczytać z ich mimiki i rozmów, na jakim etapie leczenia się znajdują. Czy wciąż jeszcze walczą, czy może przyszli z radosną nowiną, że wreszcie się udało. Czasem pojawiały się kobiety w ciąży. Epatowały swoim szczęściem, jakby nigdy nie znajdowały się po przeciwnej stronie. Małgorzata często się zastanawiała nieraz, jak ona zachowywałaby się na ich miejscu. Czy obnosiłaby się ze swoim szczęściem, bezczelnie kłusa nim w oczy? Gugąła do brzucha, głaskała go, posyłała wszystkim wokół triumfujące spojrzenia? A może tylko ona tak to widziała. Może zachowanie tych kobiet było normalne? Trudno, żeby nagle zaczęły chować się pod krzesłami...

— Jajeczka są całkiem dorodne. Jeśli pokochacie się państwo w najbliższych dniach, powinno być okej — orzekł lekarz, szczupły blondyn z wąsikami, wpatrując się uważnie w monitor USG.

Małgorzata ubrała się i usiadła przy biurku. Nie zliczyłaby, ile razy zajmowała to krzesło w oczekiwaniu na receptę. Kontemplując plac zabaw znajdujący się za oknem, zawsze zadawała sobie w myślach to samo pytanie: Czy kiedyś i ja przyprowadzę tutaj swoje dziecko? Wyobrażała sobie, jak przychodzi na rutynową kontrolę, a Marcin z maleństwem czekają na nią przy huśtawce. Tak, wizyty u ginekologa sprawiały, iż znowu przez parę dni chciała dziecka tak bardzo, że aż brakowało jej tchu.

— A co z zabiegiem? Jaka decyzja? — zapytał lekarz, kiedy stała już przy drzwiach.

— Jeszcze nie wiemy — odpowiedziała.

— Czasu jest coraz mniej, proszę o tym pamiętać. — Uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

Pojechali z Marcinem do pubu w centrum Bytomia. Lubili to miejsce. Było klimatyczne, z ambitną muzyką, a przy tym tanie. Małgorzata zamówiła sałatkę z kurczakiem, Marcin zapiekankę ziemniaczaną z dużą ilością pora.

— Gin powiedział, że to ostatni dzwonek. Wiesz, w moim wieku jajeczka starzeją się w zaskakującym tempie — Małgorzata postanowiła poruszyć trudny temat, kiedy czekali już na rachunek. — Może faktycznie powinniśmy pomyśleć o in vitro... — Rzuciła mężowi pytające spojrzenie.

— Małgosiu, przecież wiesz, co ja o tym myślę. To twoja decyzja, ja się dostosuję. Chociaż... — zawahał się.

— Chociaż co? — Małgorzata nadstawiła uszu. To „chociaż” to było coś nowego.

— Wiesz, sporo ostatnio o tym wszystkim myślałem. Chyba chciałbym mieć dziecko. To znaczy naprawdę mi na tym zależy. Nie, nie mam na myśli biologicznego potomstwa — dodał szybko. — Może pomyślelibyśmy o adopcji?

— Co wy ostatnio z tą adopcją? — zachnęła się Małgorzata. Nie takich słów oczekiwała.

— Wy? — zdziwił się.

— No, ty i Anka. Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś. Ona także. A teraz nagle oboje wpadacie na ten sam pomysł.

Marcin poprawił się na krześle.

— Jeśli chodzi o mnie, to adopcja nie jest nowym pomysłem — odezwał się, kiedy kelnerka zostawiła na ich stoliku rachunek. — Myślę o niej od co najmniej roku. Ale odkąd poznaliśmy tę rodzinę w Łebie, wiesz, Gabrysię i Grześka, myślę o adopcji nieustannie. Te ich dziewczynki były fantastyczne. I oni — tacy szczęśliwi i spełnieni.

— Zaskoczyłeś mnie — powiedziała Małgorzata, szukając w portfelu pieniędzy. Śmiała się, że są nowoczesnym małżeństwem. W knajpach to zawsze ona regulowała rachunki.

— W kwestii in vitro podtrzymuję swoje zdanie — zapewnił. — Dostosuję się. Ale może czas pomyśleć o planie B?

— Nie, Marcin. To znaczy nie mówię „nie” tak w ogóle. „Nie” w tej chwili. Chciałabym spróbować z in vitro. Chociaż raz. Na plan B jeszcze przyjdzie pora.

— Dobrze, Małgosiu. — Pokiwał głową.

Uśmiechnęła się.

— To co, w przyszłym miesiącu zgłaszamy się do gina?

— Okej. — Pochylił się i położył rękę na dłoni Małgorzaty leżącej na blacie stołu. — Będzie dobrze. — Zmrużył oczy i uśmiechnął się. — Jak by nie było, kochanie, będzie dobrze. Najważniejsze, że mamy siebie.

— Jezu! Wyglądasz jak z krzyża zdjęta! — Anka nie zwykła bawić się w konwenanse.

— Też byś tak wyglądała, gdybyś nie spała do czwartej nad ranem — burknęła Małgorzata, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po przesuwających się za oknem szarościach. Od rana lało jak z cebra.

Jechały do Katowic wypasioną terenówką przyjaciółki. Same, z resztą grupy miały spotkać się przed willą Jareckiego. „Reszta grupy” to jednak określenie bardzo na wyrost. Z tego, co mówiła Anka, wynikało, że poza nimi dwiema w odwiedziny do Redforda wybierali się tylko Grzesiek i Mirek. Anka zaczęła na fejsbuku chyba z dziesięć osób, ale nikt nie miał ochoty na udział w „imprezie” tego rodzaju. Anka się wściekła, Małgorzacie rejterada koleżanek nie wydała się jednak niczym zaskakującym. Odwiedziny u umierającego to nie kawka w galerii. Ludzie nie lubią, kiedy się im przypomina, że są śmiertelni.

Przyjaciółka skrzywiła się nieznaczenie i dodała gazu. Małgorzata wolałaby, żeby jeździła wolniej w takich warunkach, ale nie chciała się wtrącać. Anka lubiła szybką jazdę. Zresztą Małgorzata musiała przyznać, że była świetnym kierowcą.

— Wiesz, choroba to nic przyjemnego, ale akurat jeśli chodzi o Jareckiego, jesteś ostatnią osobą, która powinna się tym przejąć. Zachował się wobec ciebie jak ostatni chujek.

— Nie mów tak — zaoponowała Małgorzata. — W jego sytuacji...

Anka dopiła napój energetyczny, a potem zgmiotła puszkę i rzuciła ją na tylne siedzenie. Rano wróciła z Gdańska, gdzie robiła wywiad z jakimś starszym gościem — rekordzistą Guinnessa. Wspomniała, że po powrocie zdrzemnęła się tylko dwie godziny i popędziła na zebranie w gazecie. Małgorzata szczerze ją podziwiała. Ona po kilkudziesięciu minutach snu byłaby zdolna tylko do jednego — przewrócenia się na drugi bok.

— Jeszcze żyje — odparła Anka zdecydowanym głosem. — Mogę o nim mówić, co chcę.

Jechały w milczeniu, wsłuchane w piosenkę zespołu Hey dobiegającą z głośników. Małgorzata miała sentyment do Nosowskiej. Przed laty byli z Marcinem na jej koncercie w Olsztynie. To był początek ich miłości, Małgorzata fruwała ze szczęścia. Do tej pory pamiętała, jak po koncercie całowali się w samochodzie. Czasem trudno jej było uwierzyć, że od tamtej chwili minęło już tyle lat. Przecież w środku wciąż była młodą dziewczyną. Zakochaną, radosną, z głową pełną marzeń.

— A Marcin co na to?

— Na co?

— Na to, że jedziesz do Jareckiego. Nie ma z tym problemu?

— Marcin? No coś ty. Uważa, że powinnam pogodzić się z Krzysztofem. Wybaczyć mu. Zwłaszcza w tej sytuacji. — Na usta Małgorzaty wypełził krzywy uśmiech.

— Wiąta wio, łatwo powiedzieć. — Anka pokręciła głową. — Mężczyźni są tak cholernie nieskomplikowani.

Małgorzata tylko mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi. To nie była kwestia, którą miałyby ochotę roztrząsać z przyjaciółką. Anka, podobnie jak Marcin, nie znała całej historii.

— Jak było w Gdańsku? Poderwałaś jakiegoś przystojnego Kaszuba? — szybko zmieniła temat.

— Nie, ale i tak się nie nudziłam — Anka zrobiła kwaśną minę. Dojechały już do centrum Katowic i teraz kluczyły między wąskimi uliczkami.

— Kobietka? — Małgorzata rzuciła przyjaciółce porozumiewawcze spojrzenie.

Epizody Anki z przedstawicielkami płci pięknej były tak rzadkie, że wciąż wydawały się Małgorzacie nieco egzotyczne. Ostatni raz przyjaciółka zakochała się w kobiecie jakieś trzy lata temu. Kobieta to zresztą za dużo powiedziane. To była dziewczyna. Studentka czwartego roku filozofii. Wąskie biodra, mały biust — Anka oszalała. Niestety, po kilku randkach dostała kosza. Filozofka nie potrafiła zaakceptować jej poglądów na wierność. Przyjaciółka nie rozpaczała długo. „Idealistka” — skwitowała i jeszcze w tym samym tygodniu umówiła się z żonatym czterdziestolatkiem.

— Nie kobietka, Roberto. Upił się i wydzwaniał do mnie przez pół nocy.

— Może po prostu cię kocha?

— Kocha, kocha — prychnęła Anka. — To zwykła idealizacja.

Małgorzata pominęła uwagę Anki milczeniem.

— I jak? Udało ci się go spławić? — spytała.

— Podałam telefon barmanowi. Powiedział mu, że ma się odpieprzyć — odpowiedziała Anka, wzruszając ramionami.

— Czarno-białe w komplecie! — wykrzyknął Grzesiek, kiedy wyszły z samochodu. Kiedyś tak je z Mirkiem nazywali. Małgorzata była jasną blondynką, Anka miała włosy czarne jak heban, trudno o bardziej kontrastowe zestawienie. Twarze też miały zupełnie różne. Rysy Anki były zdecydowane, ktoś złośliwy mógłby nawet dodać — wulgarne, Małgorzata zaś miała eteryczną, delikatną urodę.

Anka wycalowała się z chłopakami z dubeltówki, Małgorzata ograniczyła się do mocnego uścisku dłoni. Mirek jednak nie ustąpił. Przyciągnął ją do siebie i złożył na policzku soczystego całusa. Na drugim roku trochę się w niej podkochiwał, ona jednak nie była nim zainteresowana. Zresztą w tamtym czasie w ogóle nie była zainteresowana facetami.

Wymianę serdeczności przerwała im Anka, dzwoniąc bransoletkami. To był od lat niezawodny sposób przyjaciółki na zwracanie na siebie uwagi. Małgorzata miała wrażenie, że Anka nosi biżuterię tylko w tym celu. Zresztą bransoletki stanowiły jej obsesję. Miała kolekcję liczącą ponad dwieście egzemplarzy. Srebrne, złote, z kamieniami, z rzemieni, ze skóry, ze szkła, z lnu... Drugą pasją Anki były buty. Żeby upchnąć gdzieś ponad setkę par, zamontowała sobie w przedpokoju specjalną przesuwaną szafę.

— Idziemy. — Grzesiek otworzył furtkę na oścież, wpuszczając resztę grupy przed sobą.

Małgorzata zawsze go lubiła. Miał duszę artysty — jak ona. Na nudnych wykładach Małgorzata skrobała wiersze, Grzesiek zaś szkicował co ponętniejsze koleżanki. Nosił

szarobure swetry, przeguby dłoni ozdabiał pociemniałymi ze starości rzemieniami, a na głowie miał związane w wysoki kucyk dredy, które ściał na miesiąc przed obroną. Anka wspominała, że ostatnio został doceniony w kilku ogólnopolskich konkursach, a jesienią jakaś krakowska galeria miała zorganizować mu wernisaż. Malarstwo pozostało jego pasją, zawodowo zajmował się literaturą.

Mimo że w czasie studiów dużo czasu spędzali razem, Małgorzata nie wtajemniczyła kolegi w swój romans z Krzysztofem. Grzesiek przy całym swoim artystycznym zakręceniu był wyjątkowo konserwatywny. O niemoralnym związku studentki z wykładowcą wiedziała tylko Anka.

Drzwi otworzyła im dziewczyna. Niebieskooka wysoka blondynka w obcisłej koszulce z numerem „69” i dżinsowych spodenkach odsłaniających opalone uda. Podobieństwo do Krzysztofa było uderzające.

— Państwo do taty? — spytała niskim głosem.

— Tak, rozmawialiśmy parę dni temu. — Anka bezceremonialnie wpakowała się do środka.

Dom Krzysztofa zaskakiwał przepychem. Kiedy Małgorzata spotykała się z Jareckim, wykładowca nie wyglądał na kogoś, kto przywiązuje wagę do gadżetów. Jeździł starą wiśniową skodą. Nosił wytarte dżinsy i trampki. Przy zrobionej od stóp do głów żonie wyglądał jak ubogi krewny. Jeśli chodzi o poglądy, również nie miał w sobie nic z materialisty. No cóż, może po prostu zamiast złotych zegarków kolekcjonował kobiety? Teraz, po latach, Małgorzata nie była już pewna, jak wyglądała sprawa jego romansów. Czy rzeczywiście sypiał z innymi studentkami, czy miał przygody z koleżankami z pracy? Lubił kobiety, a one za nim szalały, to fakt, ale czy faktycznie był bezdusznym bawidamkiem, jak próbowała przedstawić go Anka?

Spotkania z żoną Krzysztofa Małgorzata obawiała się chyba bardziej niż zobaczenia się z nim samym. Sypiając z zajęтым facetem, nie miała poczucia winy. Zakochani często bywają bezwzględni wobec tych, którzy stają im na drodze do szczęścia. Małgorzata niespecjalnie odbiegała od tego schematu. Uważała Jarecką za głupią, zaniedbującą męża babę, która sama zapracowała sobie na swój los. Po latach jej podejście do tematu bardzo się zmieniło. Może dlatego, że sama została żoną? A może chodziło o to, że z upływem czasu miała coraz większą pewność, iż to nie Krzysztof, a na pewno nie tylko on, był w tym związku ofiarą? Zresztą daleka już była od oceniania kogokolwiek. Zbyt dobrze wiedziała, że czarno-biało widzi rzeczywistość tylko młódzież, świat dorosłych jest zaś pełen szarości.

Córka Krzysztofa przeprosiła ich i zniknęła w pokoju na końcu korytarza. Upłynęła dłuższa chwila, zanim wróciła po gości. W drzwiach minęli się z otyłą pielęgniarką. Małgorzata z niepokojem wypatrywała Jareckiej, z pomieszczenia nie wyszedł jednak nikt więcej.

W pokoju panował półmrok. Ciemna roleta zasłaniała okno niemal w całości. Powietrze wypełniał zapach kurzu i lekarstw, przywodzący na myśl gabinet szkolnej higienistki. Początkowo Małgorzata miała wrażenie, że są tam sami. Dopiero po chwili dostrzegła cień pod ścianą. W fotelu, obłożony poduszkami siedział jakiś starzec. Minęła dobra minuta, zanim dotarło do niej, że ten mężczyzna to Krzysztof.



— Dzień dobry, panie profesorze. — Anka podała mu rękę.

Małgorzata nie miała odwagi pójść w jej ślady. Razem z chłopakami ukłonili się Jareckiemu z daleka i usiedli w rzędzie na tapczanie.

— Witajcie — spod pledu wydobył się cichy głos. — O, i Małgosia przyszła. — Głęboko osadzone w zmizerniałej twarzy oczy znieruchomiały na moment.

— Dzień dobry — wydukała, próbując się uśmiechnąć. Nic z tego. Jej policzki przypominały gipsową skorupę. Zerknęła na kolegów w nadziei, że dodadzą jej otuchy, ale nawet nie zauważyli jej błagalnego spojrzenia. Siedzieli osłupiali jak ona i z napiętymi twarzami wpatrywali się w wykładowcę.

Przez kilka minut panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie miarowym tykaniem zegara.

— Nie panikujcie. To tylko życie — Krzysztof pierwszy przerwał milczenie. — Starzy, a tchórzliwi jak dzieci — zaśmiał się chrapliwie. Klatka piersiowa kilka razy rytmicznie uniosła się do góry.

Zawsze był hardy, dla Małgorzaty nie było zatem żadnym zaskoczeniem, że w obliczu śmierci, sam wyglądając jak jej najtrafniejsze wcielenie, wciąż jest pełen tupetu, a może nawet buty.

— No, opowiadajcie, co tam u was słychać. Co robicie? — Poprawił się w fotelu. Góra koszuli na chwilę rozchyliła mu się przy szyi, ukazując kilka łuszczących się czerwonych placków.

Spojrzeni po sobie. Nawet Anka, zwykle taka wygadana, teraz miała niepewną minę.

— Tak, jestem o krok od mety, ale, owszem, chcę posłuchać o waszym życiu — dodał, jakby czytał im w myślach.

Anka roześmiała się krótko, niczym z najlepszego dowcipu. Rozparła się wygodnie na kanapie, po czym pozornie beztroskim tonem zaczęła swoją opowieść. Sukcesy, imprezy, podróże. Przyjaciółka potrafiła dobrze się zareklamować. Po kilku zdaniach wyraźnie się ośmieliła, bo potrząsnęła nawet parę razy swoimi niezniszczalnymi bransoletkami.

Po Ance przyszła kolej na Mirka. Okazało się, że pracuje jako polonista w podstawówce, ale zastanawia się nad założeniem własnej firmy.

— Z pracy nauczyciela trudno utrzymać pięcioosobową rodzinę — ubolewał.

Małgorzata ze zdumieniem przyjęła wiadomość, że Mirek jest ojcem trójki dzieci, z których najmłodsze liczy zaledwie rok. A przecież zawsze chciał być wolnym ptakiem. Zaczytywał się dziełami Sartre'a i de Beauvoir, uważając ich otwarty związek za wzorcowy. W tym temacie zresztą doskonale dogadywali się z Anką. Żadnych dzieci, żadnych zobowiązań, żadnej filisterskiej niewoli!

— A ty, Gosiu? — Krzysztof spojrzał na Małgorzatę.

— Wyszłam za mąż, pracuję w liceum... — wyrecytowała niczym grzeczna dziewczynka.

— A wiersze? Nadal piszesz? Wygrywasz konkursy?

— Rzadko — odpowiedziała zimno. Musiał? Naprawdę musiał?

— Masz talent, dzieciaku, nie zmarnuj go. — Krzysztof rozsunął usta w uśmiechu,

ukazującym jakby za dużo zębów. Chwilę później ponownie zaniósł się mokrym kaszlem. — Mieliliśmy zorganizować ci spotkanie. Szkoda, że nic z tego nie wyszło... — dodał po dłuższej chwili.

— Wyszło, jak wyszło — rzuciła szybko, spoglądając w panice na Ankę, która, zagadana z Mirkiem, nie wsłuchiwała się na szczęście w toczącą się między nimi rozmowę.

Grzesiek opowiadał o uczelni. Kogo zwolnili, kogo przyjęli, kto wydał nową książkę. Ze sposobu, w jaki rozmawiał z Krzysztofem, Małgorzata wywnioskowała, że są ze sobą blisko. Nawet zwracali się do siebie po imieniu.

Na koniec pałeczkę znowu przejęła Anka. Trajkotała jak nakrecona, posunęła się nawet do opowiadania pieprznych dowcipów. Chłopaki też żywo włączyli się do rozmowy. Tylko Małgorzata wciąż siedziała jak wmurowana. Ledwo udało jej się przełknąć parę łyków herbaty przyniesionej przez córkę Jareckiego.

Żegnając się z Małgorzatą, Krzysztof wziął jej ręce w swoje i długo je w nich trzymał. Anka z chłopakami wyszli już na korytarz. Zostali w pokoju zupełnie sami. Pod uważnym spojrzeniem niebieskich oczu Małgorzata poczuła, jak coś w niej topnieje. Nie chciała się wzruszać, ale nie potrafiła powstrzymać łez, które nagle napłynęły jej do oczu. Twarz Krzysztofa, pozbawiona sztucznego uśmiechu, wydała się jej nagle przerażająco smutna. Tak patrzył ojciec, kiedy w ostatnim stadium choroby budził się na chwilę ze śpiączki.

— Trzymaj się — odezwała się przez zaciśnięte gardło.

— Przyjedź jeszcze, Małgosiu.

— Słucham? — Spojrzała na niego zdziwiona.

Jarecki podciągnął się na poduszkach. Patrzył na nią, ściągając brwi. W niczym nie przypominał już pewnego siebie mężczyzny sprzed godziny.

— Jutro? Dasz radę?

— Nie, raczej nie. — Zamrugła nerwowo.

— W poniedziałek? — nie ustępował.

— Nie — powtórzyła, jednak z mniejszym przekonaniem.

— Powinnaś przyjechać — głos Jareckiego zabrzmiał poważnie, a jego twarz jeszcze bardziej się zmarszczyła.

— Dobrze, przyjadę w poniedziałek. O piętnastej. Pasuje ci? — skapitulowała. W towarzystwie Krzysztofa nigdy nie była szczególnie asertywna.

Przez ptasią twarz Jareckiego przemknął cień uśmiechu.

— Jasne, dzieciaku, nigdzie się stąd nie ruszam.

— Ciekawe czego od ciebie chce — zastanawiała się Anka, kiedy Małgorzata opowiedziała jej o zaproszeniu Jareckiego. Stały oparte o samochód, jakby po wizycie w warowni Krzysztofa wciąż cierpiały na niedobór tlenu. Już nie padało. Przez ołowiane niebo z wolna przedzierało się słońce.

Chłopaki rozjechali się do domów. Nikt jakoś nie miał ochoty na kontynuowanie spotkania w pobliskim barze. Nawet Grzesiek, który dzień wcześniej zrobił tam rezerwację. Oczywiście, obiecali sobie, że wkrótce znowu się zobaczą, że zorganizują jakąś bibę w większym gronie, Małgorzata była jednak pewna, że nigdy do tego nie

dojdzie. Po co mieliby się spotykać? Żeby obalić kilka flaszek, wywlec na światło dzienne swoje najskrytsze tajemnice i lęki, a potem i tak o niczym nie pamiętać? Nie wierzyła w pijackie katharsis, podobnie jak nie wierzyła w powroty przyjaźni. Kilka razy zdarzyły jej się takie odgrzewane kotlety i zawsze kiepsko na tym wychodziła.

— No właśnie nie wiem. — Małgorzata była kompletnie rozbita spotkaniem z Jareckim. Do ostatniej chwili łudziła się, że ta cała jego choroba to okrutna plotka, a Krzysztof nieźle się uśmieje z ich odwiedzin. To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Wygląd Jareckiego nie pozostawiał żadnych wątpliwości — jego śmierć to tylko kwestia czasu. Tygodni, a może nawet dni.

Zapaliła papierosa, ale tym razem nie zadziałał.

— Na twoim miejscu nie spotykałabym się z nim więcej — odezwała się Anka, opierając się o drzwiczki samochodu. Już nie potrzasała bransoletkami, nie wdzięczyła się. Przedstawienie się skończyło, publiczność w popłochu rozbiegła się do domów.

— Dlaczego?

Anka wzruszyła ramionami, wypuszczając z ust chmurę dymu. Małgorzacie przypomniało się zniecka wydarzenie sprzed lat. W wakacje po trzecim roku wyjechały obie na tydzień do Gdańska. Codziennie do późnego wieczora przesiadywały na Mariackiej, wsłuchane w przejmujący śpiew młodych Rosjan. Choć od tamtych wakacji minęło wiele lat, Małgorzata doskonale pamiętała rozmowy, które wówczas prowadziły. O szalonej miłości czekającej na nie tuż za rogiem, o karierze, podróżach. Z tamtego wyjazdu w głowie Małgorzaty został zabawny obrazek. Anka, w rozchełstany szlafroku i z petem w rękę, lekko oczywiście podchmielona, gotuje grzałką wodę w emaliowanym garnuszku. Śmiały się, że przypomina matkę z patologicznej rodziny. Brakowało tylko faceta w podkoszulku i pełzających u jego stóp umorusanych dzieciaków.

— Nigdy nie będę mieć dzieci — oświadczyła wówczas z przekonaniem.

— Dlaczego? — Małgorzacie deklaracja przyjaciółki nie mieściła się w głowie. Ona już będąc w klasie maturalnej, podczytywała pisma przeznaczone dla mam niemowlaków i wodziła tęsknym wzrokiem za wózkami.

— Nie nadaję się do tego. Zresztą jak większość ludzi. — Małgorzata pierwszy raz usłyszała kontrowersyjną tezę, którą Anka powtarzała aż do teraz.

— Być może — odparła. — Problem w tym, że gdyby wszyscy podchodzili do tej kwestii tak jak ty, nasz gatunek bardzo szybko by wymarł.

— I może tak właśnie powinno się stać — powiedziała Anka zaczepnie.

Małgorzata nie odpowiedziała. Nie chciała wdawać się z przyjaciółką w dalsze dyskusje. Na wiele spraw od zawsze patrzyły inaczej, szanowały jednak swoją odmienność, nie próbując zmieniać się na siłę. Może właśnie dzięki tym różnicom, mimo kilkunastoletniego stażu, ich przyjaźń wciąż wydawała im się atrakcyjna? Ciągłe były sobie ciekawe.

Małgorzata wyrzuciła papierosa i otworzyła drzwiczki samochodu.

— Gorzej już nie będzie.

Anka potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie chcę, żebyś wchodziła w to zbyt głęboko. Pamiętam...

— Masz na myśli nasze rozstanie? To, że nie potrafiłam sobie z tym poradzić? —

Małgorzata spojrzała na nią ponad dachem samochodu.

Anka potaknęła, mocno się zaciągając. Była jedną z tych kobiet, którym papieros dodaje seksapilu.

— Bardzo mi wtedy pomogłaś.

— Naprawdę się o ciebie martwiłam, miałaś klasyczną depresję.

— Chyba tak — przyznała Małgorzata.

— Cud, że z niej wyszłaś.

— Dzięki tobie, Aniu. — Małgorzata poczuła, jak wzruszenie zaciska jej gardło.

Przyjaciółka pokręciła głową.

— Nieprawda. Dzięki Marcinowi. I sobie samej. Nie chodź więcej do tego człowieka, olej go — dodała po chwili twardym głosem. Zgasiła papierosa na chodniku i zostawiając niedopałek na ziemi, otworzyła drzwiczki od swojej strony. — Naprawdę widzę, jak przeżyłaś to spotkanie — dodała, siadając obok Małgorzaty w samochodzie.

— A ty nie? — zdziwiła się Małgorzata.

Anka rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

— Ja go nie kochałam, Małgoś, a to duża różnica.

— Co się stało? — Małgorzata miała wrażenie, że się przesłyszała. Kuba w szpitalu? Wypadek? O czym Marcin, do cholery, mówi?

— Jechał motorem. Bez kasku. Frunął w powietrzu dobrych kilka minut.

Poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Znała męża zbyt dobrze, żeby nabrać się na jego spokojny ton.

— I co z nim? Ala jest z tobą?

— Tak, jest w szpitalu. Zadzwoiłem do niej, jak tylko zobaczyłem Kubę na izbie przyjęć. Jest połamany i ma podejrzenie wstrząsu mózgu. Przywieźli go nieprzytomnego, ale już się obudził.

— To najważniejsze. Zaraz tam będę. — Małgorzata dotknęła mokrych włosów. Przed chwilą wyszła z wanny, w której próbowała zrelaksować się po spotkaniu z Jareckim. Po kąpeli miała zamiar położyć się do łóżka z książką i kieliszkiem wina.

— To dobry pomysł. Ali przyda się twoje wsparcie.

— Będziesz u siebie? — spytała, próbując wydobyć z czeluści szuflady suszarkę do włosów.

— Tak.

— To do zobaczenia — pożegnała się szybko, wkładając wtyczkę do kontaktu.

W ekspresowym tempie wysuszyła włosy, założyła dzinsy i trochę niedoprasowaną bluzę od dresu. Nie chciała marnować czasu na makijaż, więc tylko oprószyła policzki pudrem. Zatrzasnęła drzwi i zbiegła do samochodu.

Na dziedzińcu szpitala, zwykle pełnym wszelkiego rodzaju połamaneńców, teraz panowała cisza. Tylko pani Marta, kobieta ze stróżówki, stała przed budką i paliła papierosa. Małgorzata ją znała, mieszkała w kamienicy obok od lat. Samotnie wychowywała trójkę dzieci. Teraz zresztą będących już studentami. Małgorzata pamiętała, że po śmierci taty to właśnie sąsiadka była dla niej największym wsparciem. Przez kilka dni przynosiła jej nawet obiady. Kiedyś Małgorzata miała za złe ludziom, że skupiają się na praktycznych stronach tragicznych wydarzeń. Że gdy ktoś umiera, zajmują się porządkami, pożyczają czarne ubrania, wieszają firanki. Teraz, jako prawie czterdziestoletnia kobieta, rozumiała, że ludzie, których nieszczęście nie dotknęło bezpośrednio, są równie bezradni jak ci znajdujący się w samym środku cyklonu. A ugotowanie przysłowiowego rosółu to czasem wyraz najwyższej empatii.

Zamachała do sąsiadki przyjaźnie i ruszyła do wejścia. Normalnie przystanąłaby obok na jednego papieroska, ale teraz nie było na to czasu. Miała nadzieję, że pani Marta się nie obrazi.

Pierwsze kroki skierowała do dyżurki. Zapukała trzy razy, po czym otworzyła drzwi.

— Ja do doktora Lubeckiego — zwróciła się do pielęgniarki Joanny, którą zastała w gabinecie zamiast Marcina. Stała z czajnikiem w ręku, najwyraźniej właśnie zalewała kawę. Małgorzata kątem oka dostrzegła dwie filiżanki.

Siostra Joanna — sobowtór Lindy Evangelisty — wyglądała jak zawsze obłudnie. Perfekcyjny makijaż, idealnie wymodelowane włosy. Małgorzata — nieumalowana

i w prostych ciuchach — poczuła się przy niej jak żebraczka.

— Lekarz wyszedł na obchód. Proszę poczekać na korytarzu.

— A nie orientuje się pani może, gdzie leży ten chłopak, którego przywieźli z wypadku? Kuba Marczak. — Małgorzata była wściekła na siebie, że tak łatwo można pozbawić ją poczucia własnej wartości. Przecież wcale nie uważała, że wygląd jest najważniejszy. Dlaczego w towarzystwie superlasek — w dodatku wysokich jak brzoza — zachowywała się, jakby tak właśnie było?

Pielęgniarka zrobiła dwa kroki do przodu, stukając obcasami. Małgorzata ze zdumieniem zauważyła, że zamiast tradycyjnych chodaków ma na nogach szpilki. Marcin wspominał, że ordynator ma do niej słabość. Czyżby w związku z tym cieszyła się w szpitalu specjalnymi względami?

— Pani Lubecka? — Na jej twarzy pojawił się lekceważący uśmiešek. — Przepraszam, nie poznałam. — Zmierzyła Małgorzatę od stóp do głów, a ta kolejny raz pożałowała, że nie poświęciła trzech minut na makijaż.

— Tak. To ja — przyznała niechętnie, czując, jak wzbiera w niej złość. Na seksowną Joannę, ale przede wszystkim na męża. Dlaczego, do cholery, pozwala się panoszyć w lekarskiej dyżurce pielęgniarkom? — Więc gdzie leży ten chłopak? — zapytała, zadzierając dumnie brodę.

— Ostatnia sala, na końcu korytarza.

Małgorzata ruszyła z impetem przed siebie, ledwie mruknawszy zwyczajowe pożegnanie. Sama nie wiedziała, czy czuje się bardziej zła, czy upokorzona. Wcześniej spotkała siostrę Joannę parokrotnie i za każdym razem szpitalna piękność podnosiła jej ciśnienie. Mizdrzyła się do Marcina, jakby nie zauważała, że przyszedł z żoną. Małgorzata miała okresowe napady zazdrości, gdy wypytywała męża o ładną współpracownicę, a wszystko, co powiedział, obracała przeciwko niemu. Kiedy złość jej mijała, przeproszała go, jednak po paru tygodniach znów zaczynały się jazdy. A właściwie „jazdk”. To nigdy nie były jakieś poważne kłótnie, raczej sprzeczki. Któregoś dnia Marcin przyniósł ze szpitala radosną wiadomość, że piękna Joanna zwalnia się z pracy. Niestety, po dwóch miesiącach pielęgniarka zmieniła zdanie. Jeśli chodziło o Małgorzatę, nie musiałyby się zwalniać. Wystarczyłoby, żeby znalazła sobie wreszcie męża!

— Oż ty niepoprawna idealistko — zrugła ją Anka, kiedy podzieliła się z nią tym marzeniem. — A w jaki to niby sposób obrączka miałaby ją powstrzymać przed zaliczaniem żonatych kolegów?

Z Alicją spotkały się na korytarzu. Przyjaciółka wyglądała jak z krzyża zdjęta, jednak sprawiała wrażenie opanowanej.

— Co ty tu robisz? — zdziwiła się na widok Małgorzaty, która mocno ją przytuliła. Rzadko pozwalały sobie na takie czułości. Ala była z gatunku „niedotykałskich”. Obwinała o to — jak o wszystkie swoje życiowe nieszczęścia — matkę, która przytulała ją od wielkiego dzwonu.

— Marcin do mnie zadzwonił. Co z Kubą?

— Jest przytomny. Ma złamane obie nogi i wstrząs mózgu.

— Wstrząs mózgu to nie koniec świata — pocieszyła ją Małgorzata nieporadnie.

Tak naprawdę miała o tym urazie raczej mętne pojęcie. Zresztą jak o całej medycynie. Marcin rzadko opowiadał jej o szczegółach swojej pracy. Wychodził z założenia, że dla kogoś z zewnątrz jego pasja może być zwyczajnie nudna. Jeśli na czymś się znała, to wyłącznie na guzie mózgu. Kilka lat po śmierci ojca namiętnie doszukiwała się u siebie wszystkich objawów tej groźnej choroby. Pewnego dnia zapisała się nawet prywatnie na rezonans. Na szczęście Anka w porę wybiła jej to z głowy. „To nieprzeżyta żałoba, nic więcej” — stwierdziła, a Małgorzacie teoria przyjaciółki wydała się na tyle sensowna, że właśnie w ten sposób zaczęła traktować kolejne napady hipochondrii, które zresztą po jakimś czasie niemal zupełnie ustały.

Ala nie odpowiedziała. Weszła do sali i spojrzała na syna. Małgorzata stanęła za nią. Kuba leżał na szpitalnym łóżku z nogą na wyciągu i obandażowaną głową. Twarz miał niewiele ciemniejszą od opatrunku. Chyba spał. W każdym razie miał zamknięte oczy.

— Co z jego tatą?

— Patryk jest w Chorwacji. Wraca pojutrze. Jeszcze do niego nie napisałam. Nie wiem, czy psuć mu urlop.

— Powinnaś mu powiedzieć. Chciałabyś, żeby ukrywał przed tobą podobne wiadomości?

Alicja westchnęła.

— Masz rację.

— A Wojtek?

— Próbowałam się do niego dodzwonić. Nie odbiera telefonu.

Zapadał zmierzch. Żółte światło ulicznej latarni wpadające do pomieszczenia wąską smugą zrobiło na Małgorzacie przygnębiające wrażenie. Podobnie jak szary mur za oknem, który miał zastąpić rekonwalescentom ładne widoki. Nie lubiła szpitali. Kojarzyły jej się z więzieniem, pułapką. Podczas nielicznych pobytów w takich miejscach Małgorzata przechodziła prawdziwe katusze. Brutalne budzenie o świcie, mierzenie temperatury na komendę, pobieranie krwi. Jedyнным ratunkiem w takich wypadkach były książki. Powieściowy parawan skutecznie oddzielał Małgorzatę od przerażającej szpitalnej rzeczywistości.

— I jak tam, dziewczynki? — z zamyślenia wyrwał ją głos męża.

Odwróciła się w jego kierunku. Rzadko widywała go w pracy. Musiała przyznać, że w fartuchu wygląda naprawdę dobrze. Nic dziwnego, że pani Joanna tak ochoczo parzyła mu kawki.

— Bez zmian — odparła Alicja martwym głosem.

— Chcesz jakieś proszki? Źle wyglądasz. — Marcin położył jej rękę na ramieniu.

Alicja zareagowała gwałtownie:

— Żadnych proszków. Chcę się z tym zmierzyć na trzeźwo.

— Okej. To może napijesz się kawy? Przynieść ci coś z automatu? Małgoś? Masz na coś ochotę? — pierwszy raz zwrócił się do żony.

— Może przyniesiesz kawkę ze swojego gabinetu? Pielęgniareczka już ci zaparzyła — zagaiła niby żartem, ale żołądek aż jej się skurczył z zazdrości.

— Daj spokój. — Marcin puścił jej uwagę mimo uszu, a Małgorzata poczuła się

jak skarcony dzieciak. Faktycznie, mogła sobie podarować podobne uwagi przy zrozpaczonej Alicji.

— Marcin. — Ala pociągnęła mężczyznę za ramię. — Czy myślisz, że powinnam, no, wiesz... — ściszyła głos.

— Nie. Nie ma takiej potrzeby — odpowiedział zdecydowanie. — Nogi już mu zapakowali w gips, a jeśli chodzi o wstrząs mózgu, trzeba po prostu czekać.

— Na co?

— Czy nie zrobi się krwiak. Nic na to jednak nie wskazuje.

— Krwiak? — Biała twarz Alicji zrobiła się jeszcze bledsza.

Marcin dotknął delikatnie jej ramienia.

— Alu, naprawdę nie ma sensu martwić się na zapas. Powinnaś jechać do domu, odpocząć. Kuba jest pod dobrą opieką. Doktor Piotrowski to świetny specjalista.

— Dobrze, spróbuję się nie martwić. — Opadła na ławkę, ukrywając twarz w dłoniach.

Wracali we trójkę. Dochodziła jedenasta. Alicja w końcu dała się przekonać Marcinowi, że Kuba jest bezpieczny.

— Dasz sobie radę sama? — zatroszczyła się Małgorzata, odprowadzając przyjaciółkę do bloku.

— Prześpię się parę godzin i wracam do szpitala.

Alicja zacisnęła mocno zęby. Przez chwilę Małgorzata miała wrażenie, że przyjaciółka się rozplacze, ale nie, szybko wzięła się w garść.

— Jakby coś, dzwoń. Przyjadę.

— Wiem. Dzięki za wszystko. — Ala, zgarbiona, otworzyła drzwi do klatki.

— Wszystko się ułoży, zobaczysz — rzuciła Małgorzata, walcząc z poczuciem bezradności.

— Myślisz, że Kuba wyjdzie z tego wypadku bez szwanku? — zapytała męża, gdy wysiedli z samochodu. Po deszczu nie było już ani śladu. Niebo tonęło w gwiazdach. W radiu zapowiadali, że weekend będzie słoneczny, więc parę dni temu zaplanowali z Marcinem wyjazd do Wisły. Teraz jednak nie było już o tym mowy. Małgorzata nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostawić Alicję bez wsparcia.

— Raczej tak. Wiesz, powikłania po wstrząsie mózgu nie są wcale takie częste i myślę, że coś by się już działo. Kuba miał dużo szczęścia.

— Z kim on w ogóle jechał tym motorem? — Małgorzata wzięła męża za rękę i mocno przywarła do jego ramienia. Odwiedziny u Jareckiego i wypadek Kuby zburzyły jej poczucie bezpieczeństwa. Przez ostatnią godzinę jej uwaga koncentrowała się głównie na synu przyjaciółki, teraz znów wróciła myślami do Jareckiego. Żałowała, że zgodziła się na ponowne odwiedziny, ale co miała zrobić? Przecież nie mogła mu odmówić.

— Z kolegą. Tyle że kolega miał kask. Wyszedł z wypadku bez szwanku.

— Żal mi Ali. Jest z tym wszystkim zupełnie sama. — Małgorzata jeszcze mocniej wtuliła się w drapiący sweter męża. — Dzwoniła do Wojtka, ja też do niego dzwoniłam, ale nie odbiera telefonów. Nie wiem, co się dzieje. — Małgorzata pokręciła głową i sięgnęła do torebki po klucze. Byli już w kamienicy.

— Może rozładowała mu się komórka. Albo zapił. W końcu to piątek.



— Wojtek nie pije. To znaczy nie upija się. — Małgorzata przekręciła klucz i weszła do mieszkania.

— Mogła zadzwonić po matkę albo siostrę.

— Przecież ona z nimi gada od wielkiego dzwonu. Wiesz, Ala to nie typ z gatunku „jak trwoga, to do Boga”.

— Zauważyłem. Twarda sztuka.

— À propos twardych sztuk... — Małgorzata zdjęła buty i weszła do kuchni. — Codziennie tak sobie pijecie kawki z panią Joasią? — Obróciła się, zaplatając ręce na piersiach. Złość na męża dawno jej już przeszła, ale nie byłaby sobą, gdyby nie nawiązała jeszcze do tej sytuacji.

— Jesteś zazdrosna? — Marcin usiadł przy stole i wyciągnął ręce do żony, próbując zwabić ją na swoje kolana.

— Owszem. — Zrobiła obrażoną minę. — Jak byś się czuł, gdyby koledzy w pracy parzyli mi kawki?

— A nie parzą? Taki na przykład Wojtek... Ile razy parzył tobie i Ali kawkę, co? Przecież nawet parę dni temu go za to chwaliłaś. Też mam się wściekać? A w ogóle co ty się tak ostatnio czepiasz? Hm? Bo jeszcze pomyślę, że masz coś na sumieniu... — Roześmiał się, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z dąsów żony.

Małgorzata miała nadzieję, że przy delikatnym świetle bocznej lampki nie wypatrzy rumieńców, które zakwitły na jej policzkach po tym pytaniu.

— Dobrze, dobrze, już ty się tak nie wymądrzaj. — Usiadła Marcinowi na kolanach, nie patrząc mu w oczy. — A poza tym — powiedziała, wtulając twarz w jego włosy — Wojtek nie wygląda tak jak pani Joanna. No i mnie nie podrywa.

— A skąd ja to mogę wiedzieć? Gdybyś była moją koleżanką z pracy, na pewno próbowałbym cię poderwać. — Marcin roześmiał się, przebiegając palcami po jej kręgosłupie.

— Tego jeszcze nie było! — Makiela stała przed Małgorzatą z rękami opartymi na biodrach, w swojej niezniszczalnej tunice bez fasonu i z właściwym sobie grymasem dezaprobaty na twarzy. W poniedziałki dyżurowały razem na długiej przerwie, co Małgorzata uważała za swoje największe przekleństwo. Piętnaście minut trucia dupy, jak elegancko nazywała konieczność rozmowy z biologią, skarżąc się na swój los Alicji.

— Co się stało? — spytała od niechcienia, wodząc wzrokiem po dzieciakach podpierających ściany. Większość z nich ćwiczyła palce na ekranie smartfona. W zeszłym roku Baryła wpadła na pomysł, żeby wprowadzić zakaz korzystania z telefonów na terenie szkoły, ale reszta nauczycieli solidarnie go zbojkotowała. W końcu liceum to nie podstawówka. Małgorzata czasem miała wrażenie, że dyrektorka żyje w czasach Ani z Zielonego Wzgórza. Że nie słyszała o narkotykach, dopalaczach, samookaleczaniu się, „słoneczkach”. Największym problemem było dla niej korzystanie z telefonów i zapominanie o mówieniu „dzień dobry” paniom sprzątaczkom stojącym przy drzwiach wejściowych. Fakt, Małgorzatę też złościli ludzie, którzy w sklepie czy w przychodni witali się wyłącznie z osobami, które tam pracowały, ale żeby robić z tego aż taki problem?

— Młoda jest w ciąży! — Makiela aż pokraśniała z emocji.

— Tak? To chyba dobrze, prawda? — Małgorzata wygięła usta w sztucznym uśmiechu, starając się zignorować charakterystyczny skurcz żołądka. Następna w ciąży... I w dodatku o prawie dwadzieścia lat młodsza.

Ksywką „Młoda” określali w gronie chemiczkę Marlenę. Rudowłosą dwudziestopięciolatkę, która trafiła do szkoły rok temu, tuż po studiach. Wszyscy ją tu znali. Ukończyła tutejsze liceum, zresztą nie bez problemów. Kiedy była w drugiej klasie, jej rodzice postanowili się rozwieść. Młoda zaczęła wagarować, miała nawet epizod z kokainą. W trzeciej klasie jednak jakoś się pozbierała. Maturę zdała na piątki i bez problemu dostała się na wymarzoną chemię. Małgorzata ją lubiła. Była wesola i bezpośrednia. Gdyby nie fakt, że dzieliła ich tak duża różnica wieku, pewnie wciągnęliby ją z Alicją i Wojtkiem do swojej paczki.

— No, nie wiem. — Na twarz Makieli wypłynął zły uśmiech. — Nie zapytasz, kto jest tatusiem? — ściszyła głos, strzelając oczami dookoła.

Małgorzata wzruszyła ramionami. Skąd mogła wiedzieć, kogo Młoda wpuszcza do łóżka?

— To sprawa Marleny. Przepraszam, muszę sprawdzić, czy dziewczyny nie szaleją w toalecie. — Ruszyła przed siebie. Zanim skończyła kontrolę, zadzwonił dzwonek.

Nie lubiła poniedziałków, ale dzisiaj była w wyjątkowo dobrym nastroju. Kuba wracał do zdrowia i gdyby nie złamane nogi, pewnie w najbliższych dniach wypisałiby go do domu. Alicja wzięła parę dni bezpłatnego urlopu i cały ten czas spędzała w szpitalu, ale także odetchnęła z ulgą. Mając głowę zajętą Kubą, Małgorzata przez cały weekend nawet nie pomyślała o planowanym spotkaniu z Jareckim. W całym tym zamieszaniu zapomniała powiedzieć o wszystkim Marcinowi, a w końcu machnęła na to ręką. Zresztą może lepiej, żeby nie wiedział? Może byłby niezadowolony, że kolejny raz spotyka się

z Krzysztofem? Pożegnanie — okej, ale dwa pożegnania z rzędu? Gdyby chociaż wiedziała, po co Krzysztof ją do siebie zaprosił...

Piątkową wizytę u Jareckiego streściła mężowi w dwóch zdaniach, bardziej skupiając się na kolegach ze studiów niż na umierającym wykładowcy. Marcin na szczęście nie drażył tematu. Może dlatego, że podobnie jak Małgorzata nie miał do tego głowy? Naprawdę przejmował się Kubą. Zaprzyjaźnił się z chłopakiem, kiedy dwa lata wcześniej spędzili z nim i Alą weekend majowy na Mazurach. Od tamtej pory darzył go niemal ojcowskimi uczuciami. O Ali też miał bardzo dobre zdanie. „Przynajmniej jedna twoja przyjaciółka ma poukładane w głowie” — stwierdził, gdy wracali ze wspólnego wypoczynku.

— Już do domku? — Makiela wyrosła przed podchodzącą do samochodu Małgorzatą jak duch.

— Tak — odburknęła. Nie była zaskoczona, że Biologica na nią czatowała. Żartowały z Alą, że zdradzanie cudzych sekretów sprawia Makiele większą rozkosz niż orgazm. Zakładając oczywiście, że świątobliwa Makiela w ogóle miewała orgazmy.

— Ja też. Możesz mnie podrzucić?

— Nie, niestety, jadę w innym kierunku — Małgorzata cieszyła się, że nie musi kłamać. Biologica mieszkała w Świerkłańcu, Katowice znajdują się z drugiej strony Piekar.

— Rozmawialiśmy o Młodej... — zagaiła koleżanka, podpierając się pod boki.

— Aha. — Małgorzata oparła się o samochód. Czekwała na rewelacje Makieli jak skazaniec na szafot.

— No więc wyobraź sobie, że Młoda ma mieć dziecko z Wojtkiem! — Makiela uśmiechnęła się od ucha do ucha, ukazując garnitur żółtawych zębów.

— Pieprzysz — wymsknęło się Małgorzacie. W pracy starała się nie przeklinać, w mniej formalnych sytuacjach od czasu do czasu rzucała mięsem. Niektóre historie wręcz nie mogły się bez tego obejść. Unikanie przekleństw, podobnie jak stronienie od alkoholu czy kawy, było cechą, która sprawiała, że Małgorzata stawała się podejrzliwa. Miała wrażenie, że za taką świętoszkowatą ascezą zawsze kryje się zło. Może zresztą tak właśnie było? Przecież według Junga wszyscy nosimy w sobie cień — dokładną odwrotność samych siebie. Im większa dewota, tym gorszy człowiek w środku.

— No wiesz! Sama mi powiedziała. — Biologica chyba poczuła się urażona. — Muszę już iść, skoro chcę zdążyć na autobus. — Poprawiła torebkę na ramieniu, chrząknęła znacząco, po czym, bujając się na boki, odmaszerowała w kierunku skrzyżowania.

Młoda i Wojtek? W pierwszej chwili takie zestawienie wydało się Małgorzacie nieprawdopodobne. Im dłużej jednak o tym myślała, tym większą miała pewność, że historyjka Makieli jest prawdziwa. Nagle przypomniała sobie te wszystkie komplementy, które historyk rzucał pod kierunkiem chemiczki. Te wszystkie niby niewinne komentarze, jaka to jest sympatyczna, jaka zgrabna. Dziewczyna też lubiła wdawać się ze starszym kolegą w dłuższe pogawędki. Małgorzata nie zwróciła na to uwagi, bo nawet przez myśl jej nie przeszło, że Wojtek mógłby poczuć coś do Młodej. Przecież była z piętnaście lat od niego młodsza, poza tym świata nie widział poza Alicją.

Przez całą drogę do Katowic biła się z myślami, czy powinna powiedzieć o wszystkim przyjaciółce. W końcu doszła do wniosku, że nie będzie posyłać dalej niesprawdzonych informacji. Poza tym Ala miała w tej chwili wystarczająco dużo problemów. Choroba syna i zdrada kochanka w tym samym czasie to byłoby zbyt wiele. Zresztą skoro Wojtek zrobił coś takiego, powinien sam się wytłumaczyć. Dlaczego miałyby mu cokolwiek ułatwiać?

Zaparkowała przy Sokolskiej, kilkadziesiąt metrów od domu Jareckiego. Pogoda była spacerowa. Dwadzieścia stopni, przyjemny ciepły wietrzyk. Małgorzata zdjęła cienki sweterek i przewiesiła go przez torebkę. Lubiła Katowice. Sokolska z zabytkowymi kamienicami, dworzec kolejowy, Stawowa z restauracją McDonald's, w której na studiach jadały z Anką pospieszne obiady, plac Sejmu Śląskiego z postkomunistycznym molochem uniwersytetu, który w czasie wojny zajmowało gestapo. Wszystkie te miejsca, choć nieszczęśliwie piękne, wywoływały żywsze bicie jej serca. Równie dużym sentymentem darzyła Tarnowskie Góry, w których chodziła do szkoły średniej. Mijając budynek swojego dawnego liceum, zawsze zastanawiała się, czy stojąca przy nim armata wreszcie wystrzeliła. Według uczniowskich wierzeń miało się tak stać, kiedy Sempę ukończy wreszcie jakaś dziewczina.

Było dość wcześnie, mimo to miasto tętniło życiem. Szum autobusów, tłumy ludzi przemierzających chodniki z telefonami przy uchu, wwiercający się w uszy pisk hamulców. Wejście w miejski gwar sprawiało Małgorzacie niemal fizyczną przyjemność. Nie mogłaby mieszkać w centrum dużego miasta, ale jeśli długo nie odwiedzała takich miejsc, zaczynało jej ich brakować.

Tym razem drzwi otworzyła pielęgniarka. Nalana, czerwona twarz kobiety robiła jeszcze mniej sympatyczne wrażenie niż ostatnio.

— Pani do kogo? — zapytała nieufnie, ściągając usta w dzióbek.

— Do pana Jareckiego. — Małgorzata próbowała obłaskawić ją nieśmiałym uśmiechem. Syzyfowa praca. Kobieta nadal gapiała się na nią z marsową miną. Przez dłuższą chwilę mierzyły się wzrokiem, jakby były bokserkami rozgrzewającymi się przed walką. Małgorzata nie rozumiała, dlaczego pielęgniarka odnosi się do niej z taką niechęcią. Skąd ten nieuzasadniony brak sympatii? A może nie chodziło o nią? Może po prostu kobieta taka już była. Nie lubiła ludzi, jak Baryła.

— Niech pani wejdzie. — Pielęgniarka w końcu z łaską odsunęła się od drzwi.

— Jest u siebie? — zwróciła się do niej Małgorzata, gdy kobieta sapiąc głośno, zaczęła wspinać się po schodach na pierwsze piętro.

Przewróciła oczami, wzdychając teatralnie.

— A gdzie miałby być?

Krzysztof siedział w fotelu, wsparty na poduszkach. Już wchodząc do pokoju, Małgorzata zauważyła plastikowy woreczek z żółtą cieczą, wystający spod koca. Nie pamiętała, żeby chory miał go przy sobie podczas poprzedniej wizyty. Pokój, choć ciemny, sprawiał wrażenie przytulnego. Stary zegar z kukułką, regał zapchany szczelnie grubymi tomami, reprodukcja *Judyty* Klimta. Wszystko na tle białej tapety w delikatny złoty wzorek. W piątek zestresowana nie zwróciła uwagi na wnętrze. Dziś potrafiła skupić się na szczegółach.

— Usiądź, Małgosiu. — Krzysztof wykonał zapraszający gest ręką.

Usiadła na tapczanie, w tym samym miejscu co ostatnio. Dziwne było to, że dzisiaj niemal zupełnie się nie denerwowała. Weekend wystarczył, aby oswoiła się z chorobą Krzysztofa.

— Dziękuję, że przyszłaś. — Jarecki wygładził kołdrę na brzuchu szczupłymi rękami. Uwagę Małgorzaty zwróciły paznokcie. Pożółkłe i pokryte białym nalotem.

— Nie ma sprawy — odpowiedziała, unikając jego wzroku.

— Świetnie wyglądasz. To prawda, co mówią o kobietach, że są jak wino... — Jarecki się uśmiechnął, a ona nagle, na kilka krótkich sekund, przeniosła się w zupełnie inne miejsce... W hotelowym pokoju panował półmrok, mimo to dokładnie widziała twarz mężczyzny, z którym tańczyła. Czuła ciepło Krzysztofa, łagodne falowanie bioder przylegających do jej brzucha. Wspomnienie sandomierskiej nocy sprawiło jej nagłą przykrość. I nie chodziło o poczucie winy czy strach, przez kilka ostatnich lat skutecznie odganiające jej myśli od tamtych wydarzeń. Nagle zrobiło jej się żal, że taka noc nigdy się już nie powtórzy.

— Posłuchaj, Małgosiu... — cichy głos wyrwał ją z zadumy.

— Słucham. — Podniosła wzrok na Krzysztofa. Mężczyzna wydał jej się nagle niepewny, kompletnie pozbawiony energii.

Proces osvajania choroby był zagadnieniem, które zawsze wzbudzało jej zainteresowanie. Dlaczego jedni ludzie znoszą ją z takim spokojem i wewnętrznym pogodzeniem, a inni do samego końca nie przestają się szarpać? Ojciec należał do tej pierwszej grupy. Na początku, owszem, trochę się buntował, szybko jednak poddał się losowi. Zaakceptował raka jako kolejne doświadczenie. „Nie mam wpływu na chorobę, ale mogę wybrać, w jakim stylu się z nią zmierzę” — oświadczył parę dni po usłyszeniu diagnozy i przez kolejne miesiące konsekwentnie wprowadzał swoje postanowienie w życie. Nawet kiedy stracił już nadzieję na wygraną z chorobą, był spokojny i pogodny.

— Krzysztof, chcę cię przeprosić — nagle poczuła, że musi to powiedzieć. Przecież zamilkła. Zostawiła go bez słowa. Początkowo miała tak silną blokadę, że nie była w stanie nawiązać z nim jakiegokolwiek kontaktu, a potem... Potem odezwanie się do Jareckiego stało się trudne z innego powodu. Co miała mu napisać po roku milczenia? „Cześć, co słychać?”

— Daj spokój! — przerwał jej ostrym tonem. — Nie masz mnie za co przepraszać. To ja... — Znów zaniósł się mokrym, nieprzyjemnym kaszlem.

Zaskrzypiały drzwi i do pokoju wtoczyła się gruba pielęgniarka. Wnętrze wypełniło się zapachem zastarzałego potu, maskowanego nieudolnie słodkim dezodorantem.

— Zrobić pani coś do picia? — Grzeczne pytanie zabrzmiało w ustach kobiety jak obelga.

Małgorzata chciała odpowiedzieć, ale Jarecki ją uprzedził.

— Nie, pani przyszła tylko na chwilę.

— Tak? — Małgorzata rzuciła mu zaskoczone spojrzenie. Przecież była tu zaledwie od kwadransa.

Pielęgniarka sprawiała wrażenie zadowolonej z takiego obrotu spraw.

— No dobrze, w takim razie idę przygotować kroplówkę — oświadczyła grobowym tonem, po czym zniknęła w drzwiach, zabierając ze sobą swoje wątpliwe aromaty.

— Dziwna kobieta. Kto to? — spytała Małgorzata, kiedy zostali z Krzysztofem sami. Jak to możliwe, że ktoś, kogo naczelną cechą powinna być empatia, zachowuje się tak obcesowo? Czy ludzie wybierają zawód z przypadku? Nie dostali się do szkoły, o której marzyli, a potem latami mszczą się za nietrafiony wybór? Jak polonistka Małgorzaty z liceum. Niespełniona malarka, która lekcje traktowała jak dopust boży. Ożywiała się tylko wtedy, kiedy mówiła o sztuce. Małgorzata pamiętała jej uduchowioną twarz, gdy w uniesieniu słuchała poezji Baczyńskiego w wykonaniu Ewy Demarczyk. Kiedy jeden z uczniów pomylił van Gogha z Gauguinem, wyrzuciła go za drzwi. Podobno na starość oszalała. Małgorzata słyszała, że od lat przebywa w szpitalu psychiatrycznym.

— Prywatna pielęgniarka. Co? Średnio sympatyczna? — Przez twarz Krzysztofa przemknął cień uśmiechu. — Wiesz, nie tak łatwo znaleźć kogoś do opieki nad umarlakiem.

— Trudno znaleźć pielęgniarkę? — zdziwiła się Małgorzata, „umarlaka” postanawiając zostawić bez komentarza. Nie chciała zaprzeczać faktom. Pamiętała, że tata tego nie znoślił. „Umieram, Małgosiu” — mówił, a kiedy próbowała go pocieszyć — jego i siebie, siebie może nawet bardziej, okropnie się denerwował.

— Dla takich chorych jak ja — trudno. — Odpowiedź Krzysztofa tym razem wydała się Małgorzacie zaprawiona goryczą.

Wstała i podeszła do okna. Niebo było niemal zupełnie niebieskie, jak latem. Przez uchylony lufcik wpadały do środka radosne krzyki dzieciaków. Dwie poszarzałe od brudu dziewczynki w klapkach japonkach rysowały kredą po chodniku. Między nimi na oko dwuletni chłopiec z kręconymi jasnymi włosami i okrągłą buzią cherubinka jeździł na trzykołowym rowerku. Widok bawiących się dzieci sprawił Małgorzacie ból. Ich radość i beztroska czyniły atmosferę umierania, jaką wypełniony był pokój Jareckiego, jeszcze mniej znośną. I nagle, jak bumerang, wróciło kolejne wspomnienie. Tamte dzieci, które widziała, idąc z hotelu na dworzec. Takie jak te stąd — rozbawione i głośne. A potem wskazówki zegara przesunęły się jeszcze bardziej do tyłu. Stali z Krzysztofem na balkonie, spoglądając na migocące w ciemności światła sandomierskiej Starówki.

— Ciii — powiedział, przykładając palec do ust. — Jest pięknie. Czujesz, jak jest pięknie?

Małgorzata nie знаła go takiego. Zamyślonego, refleksyjnego. Smutnego? Kiedy po wszystkim wracała wspomnieniami do tej chwili, wydawało jej się, że zachowanie Krzysztofa było tylko grą, manipulacją. Zresztą przez wszystkie te lata robiła wiele, żeby obrzydzić sobie tamtą noc. Jakby dzięki temu jej występki miał stać się mniej grzeszny. Teraz dotarło do niej, że bardzo się myliła. W tamtej chwili Jarecki był prawdziwy. Czy ją kochał? Nie, nie kochał, mężczyźni tacy jak on nie potrafią kochać nikogo, może z wyjątkiem swoich dzieci, jednak z całą pewnością tęsknił za miłością. I tę szczerą, dziecięcą tęsknotę Małgorzata usłyszała wtedy w jego głosie.

Długo stała z twarzą przy szybie. Jarecki też milczał. Może czuł, że musi dać jej czas? A może sam zatonął we wspomnieniach?

Odeszła od okna, kiedy zobaczyła, jak w stronę domu zmierza szybkim krokiem Daria. Miała na sobie zwiewną sukienkę i trampki. Zastanawiała się, czy wejdzie do ojca, żeby się przywitać, ale nie, od razu wbiegła na piętro.

— Masz wspaniałą córkę — odezwała się, wracając na kanapę. — Piękna młoda kobieta. — Pokręciła głową, wzdychając. — Jak ten czas leci. To nieprawdopodobne.

— To prawda. Daria to jedyne, co mi się w życiu udało — potwierdził skwapliwie.

Małgorzata szukała w jego twarzy odbicia swoich emocji sprzed chwili, ale dostrzegła tylko zniecierpliwienie i strach. Ona też powoli wracała już z tamtej podróży. Z miejsca, które przez lata przeklinała, a teraz wydało jej się nagle utraconym rajem. Nie wiedziała, czy to przedtem popełniła błąd w ocenie sytuacji, czy może teraz zaczynała idealizować przeszłość, do której nie było powrotu. Tak często przecież doceniamy ludzi, kiedy już ich nie ma. Jakby wraz z ich odejściem od razu zmieniała nam się perspektywa. Może więc żal, który zatykał jej gardło wielką kulą, był wyłącznie wynikiem tej odwróconej perspektywy?

— A praca? Pasja? Napisałeś tyle książek...

— Jakie to ma teraz znaczenie? — Wzruszył ramionami. — Pieprzona makulatura. — Przesunął wzrokiem po regale, na którym w równym rzędzie stały wszystkie jego dzieła.

— Jesteś zły, że umierasz? — zapytała.

— Zły? — z jego gardła wydobył się chrapliwy śmiech. — Jestem, Gosiaczu, wkurwiony na maksa! — Rysy mu się wyostrzyły.

— Twoja żona jest w pracy? — zapytała po dłuższej chwili. Nie wiedziała, jak skomentować jego wyznanie, wołała więc nic nie mówić.

Jarecki potrząsnął głową.

— Nie, nie mieszkamy już razem. Odeszła, kiedy dowiedziała się o chorobie. Pojechała do Irlandii, do siostry.

— Odeszła, kiedy się rozchorowałeś? — Zmarszczyła brwi.

— Tak. — Jarecki skrzywił się, jakby coś go zabolalo. — Jednak nie mam jej tego za złe. Nie byłem święty, dobrze wiesz... Poza tym...

Kolejny raz zaniósł się kaszlem. Tym razem atak trwał dłużej. Małgorzata zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie powinna zawołać pielęgniarki. Podniosła się i ruszyła do drzwi, ale zatrzymał ją ruchem ręki.

— Małgosiu, nie ma sensu dłużej owijać w bawełnę — odezwał się w końcu, a na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

Podeszła do niego i siadła obok, na niskim pufie.

— Chciałem się z tobą spotkać, bo... — znowu się rozkaszał. Z poczuciem bezradności obserwowała, jak chwyta łapczywie powietrze rybimi ustami. — Małgosiu, przepraszam — odezwał się, kiedy atak się skończył. Z bliska przypominał raczej bezbronne dziecko niż starca. Był kruchy i drobny. Musiał stracić kilkanaście kilogramów. Może więcej. Małgorzata pomyślała, że życie jest wyjątkowo okrutne, skoro funduje młodym ludziom takie cierpienie. Zresztą czy z tatą nie było podobnie? Wtedy jednak dla niej, młodej dziewczyny, pięćdziesięciolatek był już niemal staruszką. Teraz postrzegala osoby w wieku Krzysztofa jak rówieśników. Kilkanaście lat w tę czy tamtą

stronę...

— Tak?

— Mam AIDS.

— AIDS? — Zmarszczyła brwi. — Anka mówiła, że to rak.

— Owszem, mam raka, ale to konsekwencja AIDS. Wiesz, do tego choróbka wszystko może się przyplątać.

— Przykro mi. Naprawdę. — Na ułamek sekundy dotknęła jego dłoni. Czy o to chodziło Krzysztofowi? Zaprosił ją, żeby powiedzieć, na co choruje? Pewnie nie rozmawiał o tym ze wszystkimi. HIV to wciąż jeszcze temat tabu.

— Przepraszam, powinienem był powiedzieć ci wcześniej...

— Przecież nie masz takiego obowiązku. Za co mnie przepraszasz? — nie zrozumiała.

Krzysztof nachylił się ku niej. Poczwała zapach lekarstw i czegoś jeszcze. Jakby delikatny odór zgnilizny. Tak pachniały nogi prababki, którą odwiedzała jako mała dziewczynka. W ostatnich latach życia chorowała na żylaki. Chore nogi owinięte brudnymi bandażami wydzielaly intensywny zapach rozkładającego się mięsa i ropy. Trudnością było spędzenie z nią w pokoju nawet kilkanastu minut.

— Małgosiu. — Teraz to Jarecki sięgnął do jej ręki. Miał ciepłą, suchą dłoń. — Nie mówię ci tego bez powodu. Kiedy się zaraziłem, to znaczy potem, byliśmy ze sobą.

— Byliśmy? Kto?

— Ty i ja. Byliśmy... blisko.

— Proszę? — Słowa Krzysztofa wsączały się w jej głowę powoli, jakby instykt samozachowawczy stawiał im opór. W końcu jednak prawda dotarła do niej z całą mocą. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Dlaczego Krzysztof chciał z nią porozmawiać na osobności. Dlaczego przez cały czas był taki spięty... — Od kogo się zaraziłeś? — spytała, czując, jak usta jej drętwieją, a język zamienia się w sztywny kołek. — Kiedy?

— To była młoda dziewczyna. Studentka... Kasia Rogacka, nie będziesz jej kojarzyła. Studiowała parę lat po tobie. Zadzwoiła do mnie dwa lata temu. Sama była już umierająca. Nie przejąłem się tym. Nie zbadałem się. Nikomu o tym nie powiedziałem. Wiem, zrobiłem błąd...

— Kiedy to się dokładnie stało? Kiedy z nią spałeś? — Małgorzata czuła, jak zaczyna jej się kręcić w głowie. Próbowwała wstać, ale zachwiała się i opadła z powrotem na puf. Udało się dopiero za drugim razem.

— Jedenaście lat temu — usłyszała zdecydowaną odpowiedź.

— Jedenaście... — głos uwiązał jej w gardle. Złapała torebkę, wzięła kilka głębokich oddechów, a potem, zataczając się niczym pijana, wolnym krokiem ruszyła do drzwi.



Biegła Sokolską jak w amoku, o mały włos nie wpadając pod białego opla. Kierowca zahamował z piskiem opon parę centymetrów przed nią. Wyminęła go, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

W końcu opadła na ławkę. Choć słońce przygrzewało jak latem, czuła przenikający aż do kości ziąb. Włożyła sweter, a potem objęła się ramionami, przysuwając kolana blisko do brzucha. Przymknęła oczy, ale od tego jeszcze mocniej zawirowało jej w głowie.

Siedziała tak blisko godzinę, zanim znalazła w sobie siłę na powrót do domu. Wsiadała do samochodu, kiedy zadzwoniła Alicja i zalała ją potokiem radosnej paplaniny.

— Kubuś czuje się dobrze, zaczął już nawet pytać o książki. Musiałam pojechać do kiosku przy Kauflandzie i kupić mu kilka kryminałów — opowiadała z niezwykłym dla siebie przejęciem. — Martwi się tylko szkołą. Wiesz, żeby nie mieć zbyt dużych zaległości. Tak sobie pomyślałam, może wpadnę do was wieczorkiem? Chciałabym wam podziękować za pomoc. Gdyby nie ty i Marcin, nie wiem, jak bym sobie z tym wszystkim poradziła.

— Nie ma sprawy — wydukała Małgorzata. Spotkanie z Alicją było ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę. Marcin, Ala i ona — ze swoją straszną tajemnicą i lękiem. Na samą myśl o takim wieczorze robiło jej się słabo. — Posłuchaj, nie za dobrze się czuję. Zrezygnujmy jednak dzisiaj z tego spotkania... — dodała po chwili z niezwykłą dla siebie asertywnością. Odmawianie zawsze było jej piętą achillesową. Nie chciała zawodzić innych ludzi, zupełnie ignorując fakt, że często w ten sposób zawodzi samą siebie. Odkąd uświadomiła sobie, jak wielką cenę płaci za bycie miłą, zaczęła nad sobą pracować. Wciąż jednak powstrzymanie pierwotnego odruchu — potaknięcie plus uprzejmy uśmiech — sprawiało jej ogromną trudność.

— Jasne. W takim razie daj znać, gdy poczujesz się lepiej — Alicja jak zawsze wykazała się taktem. — To coś poważnego? Co ci konkretnie dolega? — dopytywała z zainteresowaniem.

— Chyba jestem przemęczona. Potrzebuję wieczoru pod kocem i z książką. — Małgorzata zaśmiała się nieszczerze.

— Dobrze. To odpoczywaj. Ja biegnę jeszcze do szpitala. Uściski, kochana.

— Trzymaj się — odpowiedziała Małgorzata, gratulując sobie w duchu, że udało jej się dotrzeć do końca rozmowy.

W mieszkaniu nie było nikogo. Marcin miał wrócić późnym popołudniem. Nie zdejmując ubrania, Małgorzata wsunęła się pod kołdrę i przykryła po samą szyję. W samochodzie czuła się jako tako, ale w momencie kiedy przekroczyła próg domu, zupełnie się rozpadła. Telepało ją, jakby siedziała w lodówce, a nie w mieszkaniu, w którym temperatura dochodziła do dwudziestu pięciu stopni.

Miała w głowie zupełny mętlik. Po pierwszym szoku powoli zaczynała dopuszczać do siebie ewentualność, że może być jednak zdrowa. „Przecież spanie z osobą seropozytywną nie daje stuprocentowej pewności, że złapiemy wirusa. Zresztą może Krzysztof coś pokręcił?” — nadzieja coraz szczelniej wypełniała jej serce. „Może nie

zaraził się od tamtej dziewczyny, tylko od kogoś innego? Pięć, cztery lata temu? A może... Może wcale nie choruje na AIDS? Może to jakiś głupi żart?” — myśl goniła myśl. Małgorzata rozpadła się jakby na dwie osoby. Jedna z nich była przerażona, pełna najgorszych przeczuc, druga ulegała klasycznemu zaprzeczeniu.

Wciąż szcękając zębami, wygrzebała się z łóżka. Z torebki rzuconej na podłogę przy drzwiach wyjęła telefon. Numer Redforda dawno już wykasowała z książki adresowej, ale wciąż znała go na pamięć.

— Jesteś pewien, że to od tamtej dziewczyny złapałeś wirusa? — zapytała bez wstępów.

— Kto mówi? — usłyszała w słuchawce dziewczęcy głos.

Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że rozmawia z córką Jareckiego.

— Małgorzata Lubecka — przedstawiła się. — Byłam dziś u twojego ojca. Możesz podać mu telefon?

— Niestety nie. Tata gorzej się poczuł. Śpi.

— Czy to prawda — Małgorzata przełknęła głośno ślinę — czy to prawda, że ma AIDS? I że zaraził się wirusem HIV jedenaście lat temu? Tak mi dzisiaj powiedział.

Dziewczyna milczała przez chwilę.

— Tak — potwierdziła w końcu sucho.

Myśl o Ance była pierwszą, która przyszła jej do głowy, kiedy wyłączyła telefon. Bez chwili zastanowienia wyjęła z szafy gruby sweter, nasunęła sandały i ruszyła do drzwi.

Przyjaciółka mieszkała na najładniejszym osiedlu w Piekarach, powstałym zaledwie kilkanaście lat wcześniej. Z przodu, oddzielone od głównej ulicy szpalerem drzew, znajdowały się białe szeregowce. W głębi kilka nowoczesnych niskich bloków z dużymi oknami. Mieszkanie przyjaciółki mieściło się w ostatnim z nich, tuż przy lesie.

Drzwi wejściowe były uchylone, więc Małgorzata nie musiała dzwonić domofonem. Minęła staruszkę z jamnikiem na rękę i zaczęła wspinać się na górę.

Nacisnęła dzwonek. W głębi mieszkania rozległa się krótka melodyjka. Małgorzata usłyszała zgrzyt klucza i drzwi się otworzyły.

Anka miała rozmazany makijaż, a zamiast ubrania biały puszysty szlafrok, który trzymała zebrany przy szyi.

— Co się stało? — Na widok przyjaciółki zrobiła wielkie oczy. Rzadko odwiedzały się w domach, nigdy bez zapowiedzi, Małgorzata też byłaby zaskoczona, widząc ją u siebie.

— Musimy pogadać.

— Mam gościa. — Anka skrzywiła się, robiąc szybki ruch głową w kierunku przedpokoju.

— Muszę z tobą porozmawiać, Aniu — powtórzyła Małgorzata.

Coś w jej wyglądzie musiało zaniepokoić Ankę, bo bez dalszych protestów wpuściła ją do mieszkania.

— Idź do kuchni, zaraz przyjdę — nakazała, wchodząc do sypialni.

W wąskiej szparze drzwi Małgorzata zauważyła mężczyznę w negliżu. Rozpoznała go dopiero, kiedy się odwrócił.

— Cześć, Mirek! — zawołała, czując wzbierającą w niej złość. — A żonka wie, gdzie jesteś?!

Anka pozbyła się kochanka w pięć minut. Była wściekła. Z zaczerwienioną twarzą i w rozpiętym szlafroku, którego rozcięcie ukazywało jej jędrne, opalone na brązowo ciało w całej okazałości, przypominała rozwścieczonego indora. Oparła się o framugę drzwi i pstryknęła zapalniczką, z głośnym trzaskiem uchylając okno.

— Zepsułaś mi popołudnie.

— Popołudnie? — Małgorzata wyduła wargi. — Ty psujesz komuś życie!

Anka zaciągnęła się mocno, a potem usiadła naprzeciwko, zakładając nogę na nogę.

— O co ci chodzi?

— O to, że on ma żonę i trójkę dzieci? — powiedziała Małgorzata zaczepnym tonem.

— Mirek? I co z tego?

— Mało jest wolnych facetów? Musisz wpięprzać się w małżeństwo?

Anka przewróciła oczami i rozparła się wygodniej na krześle. Z jej pomalowanych na ostrą czerwień ust wydobyła się chmura jasnego dymu.

— Ktoś ci musiał, mała, nieźle dokopać. — Uśmiechnęła się ironicznie. Była jakaś dziwna. Półprzytomna. Jakby pijana, ale nie do końca.

— A chłopczek z Nowego Jorku? Już ci się znudził? Szybko... — zakpiła Małgorzata.

— Szczeniak — Anka prychnęła w odpowiedzi. — Kompletny ignorant! Jeden z tych pieprzonych piękniśków, którzy uważają, iż są tak zniewalający, że kobieta dostanie orgazmu już na sam widok ich gołej dupy. Porażka!

— Czasem tak mnie wkurzasz...

— I vice versa. Zdrada, zdrada. Co to właściwie jest zdrada? Ludzie po prostu robią sobie dobrze. Nie komuś źle. Sobie dobrze, rozumiesz? Bo tego potrzebują. Taki na przykład Mireczek. Przecież jego życie z żoną i trójką dzieci to jakiś koszmar. Kompletna nuda. I jeszcze ta szkoła. Ciągły jazgot za uszami, sama wiesz. Naprawdę nie potrafisz zrozumieć, że chce odmiany? Czegoś, co sprawi, że znowu poczuje wiatr w żaglach. — Zgasła papierosa w zlewie.

— To niech się rozwiedzie i szuka sobie tego wiatru bez robienia kogoś w chuja. Tylko kto by mu wtedy prał brudne gacie? Kurwiarz. Wszyscy to kurwiarze.

— A tak konkretnie to o co chodzi? Co się stało, że do mnie przyszedłeś? — Do Anki chyba powoli docierało, że wybuch przyjaciółki to nie jest hormonalna histeria, która raz w miesiącu przytrafia się każdej kobiecie, lecz coś znacznie poważniejszego.

Małgorzata westchnęła głęboko, ale nie odezwała się. Co właściwie miała jej powiedzieć? Przyszłam, bo nie chciałam być sama? Bo życie wali mi się w gruzy? Czy można zarzucić kogoś takimi słowami i oczekiwać, że nie zada żadnego pytania? A przecież nie mogła powiedzieć nic więcej...

— Byłaś u Krzysztofa? Miałaś do niego dzisiaj pojechać. — Anka przysiadła się bliżej. Małgorzatę uderzył silny zapach perfum zmieszany ze słodką wonią, której nie znała.

— Tak — odpowiedziała po dłuższej chwili.

— I co? Czego chciał? — Anka znów sięgnęła po papierosa.

Małgorzata podniosła się z krzesła i nerwowym krokiem zaczęła przemierzać kuchnię od okna do przedpokoju. I tak kilka razy. Przez otwarte drzwi sypialni zobaczyła rozgrzebane łóżko z jedwabną pościelą. Na szafce nocnej stały kieliszki wypełnione winem. Obok leżał nadpalony skręt.

— Palisz trawkę? — zdziwiła się. Anka, owszem, lubiła papierosy, od alkoholu też nie stroniła, ale narkotyki? — Zwariowałaś?

— Matkę już mam — warknęła przyjaciółka, zatraskując drzwi do sypialni z hukiem.

Wróciła do Małgorzaty i stanęła przed nią, zaplatając ręce na piersiach.

— Co z tym Jareckim?

Małgorzata przełknęła głośno ślinę.

— Jest chory na AIDS.

Anka spojrzała na nią jak na wariatkę.

— AIDS? Grzesiek mówił, że ma raka.

— Raka podobno też ma. Ale umiera na AIDS.

Anka zamilkła, jakby potrzebowała chwili, żeby sobie to wszystko poukładać w głowie.

— I tak się tym przejęłaś? Przecież to bez znaczenia — AIDS czy rak — odezwała się w końcu.

— On myśli... Myśli, że mogłam to od niego złapać.

— Bzdura. Przecież spałaś z nim dwadzieścia lat temu.

— Piętnaście.

— Bez różnicy. Na AIDS zapada się zwykle po dziesięciu latach. Gdybyś miała HIV, już dawno gryzłabyś ziemię. Wie, od kogo się zaraził?

— Nie — skłamała. Przecież nie powie teraz Ance, że Krzysztof złapał wirusa od studentki jedenaście lat temu. Może i przyjaciółka jest lekko przymulona, ale potrafi liczyć. Nagle poczuła, że musi stąd wyjść. Nie da rady brnąć w kolejne, coraz bardziej absurdalne kłamstwa, a na prawdę jeszcze nie było jej stać. Owszem, przez moment, przez krótką chwilę była bliska tego, żeby o wszystkim Ance powiedzieć, ale odrzuciła ten pomysł, zanim na dobre wyklarował się w jej głowie. Chodziło nie tylko o Marcina, o poczucie lojalności wobec niego. Po prostu się wstydziła. Podział między nią i Anką utarł się już na początku studiów. Przyjaciółka była tą „rozwiązłą”, radośnie dzielącą się swoim seksownym ciałem z każdym, kto nawinął się pod rękę. Małgorzata — „porządna”. Nawet jeśli sypiała akurat z żonatym wykładowcą. Bo przecież była mu wierna. Świata poza nim nie widziała. Kiedy wyszła za męża, w opinii Anki stała się niemal świętą. Choć przyjaciółka nie przepadała za Marcinem, uważała jego i Małgorzatę za idealne małżeństwo. Takie, które zdarza się raz na tysiąc par. Jak w tej sytuacji Małgorzata miałyby wyjaśnić jej swoją zdradę? Jak miałyby wytłumaczyć, że kochając Marcina, poszła do łóżka z Krzysztofem? Tym Krzysztofem. Pieprzonym bawidamkiem, który przed laty wykorzystał ją, a potem porzucił jak niepotrzebną szmacianą lalkę. Jak miałyby to wytłumaczyć przyjaciółce, skoro sama tego nie rozumiała? Chodziło o coś jeszcze. Małgorzata obawiała się, że Anka nigdy jej nie wybaczy, iż przez tyle lat o niczym jej nie

powiedziała. „Jak to? Ja opowiadałam ci o każdym moim facecie, o każdym pieprzonym szybkim numerku, a ty nie zwierzyłaś się z czegoś takiego!” — mogła sobie wyobrazić oburzenie przyjaciółki w najdrobniejszych szczegółach. Dobrze pamiętała dyskusję z Anką na temat Agaty, głównej bohaterki ukochanej powieści Małgorzaty — *Pestki*. „Nie rozumiem jej — stwierdziła Anka. — Jak mogła tak długo milczeć? Być z kimś w związku, kochać go i przez tyle lat nikomu o tym romansie nie powiedzieć? Nawet najbliższej przyjaciółce?”

Dla Małgorzaty zachowanie książkowej Agaty było w stu procentach zrozumiałe. Są sprawy, o których nie jesteśmy w stanie nawet myśleć, a co dopiero spowiadać się z nich innym ludziom.

— Pójdę już, Aniu. — Oderwała się od ściany i ruszyła w stronę drzwi.

— Nic z tego. — Anka zastąpiła jej drogę. — Wykurzyłaś mi faceta z łóżka, a teraz chcesz zostawić mnie samą?

Złapała Małgorzatę za rękę i pociągnęła do kuchni.

— Siadaj, zjemy obiad — zarządziła, otwierając lodówkę. — Przygotowałam sałatkę z kurczakiem, palce lizać. Dla Mireczka, ale jak nie ma Mireczka, zje Małgosia. Nie wiem tylko, co z resztą moich planów. — Postawiła miskę na stole. — Chyba będziesz musiała mi zrobić minetę!

Sałatka była pyszna, ale Małgorzata nie była w stanie przełknąć nawet kilku kęsów. Narzekała, że jej zimno, więc Anka przygotowała grzańca. Zasypała przyjaciółkę zabawnymi historyjkami z życia dziennikarzy i realizatorów talk show. Wspomniała też o Robercie, który po incydencie z barmanem całkiem przestał się do niej odzywać. W końcu puściła film na DVD, zniechęcona jej milczeniem. Podobno zebrał kilka znaczących nagród, Małgorzata jednak nawet nie próbowała skupić się na fabule. Cały czas myślała o spotkaniu z Krzysztofem. Rozkładała na czynniki pierwsze każde jego słowo. Próbowała znaleźć jakąś lukę, nieścisłość, wytropić oszustwo. Niestety, wszystkie klocki idealnie do siebie pasowały. Jarecki umierał na AIDS i był nosicielem wirusa już wtedy, kiedy Małgorzata spędziła z nim noc. Prawdopodobieństwo, że ją zaraził, wynosiło pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Miała mniejsze szanse na uniknięcie zakażenia niż na ciążę.

Kiedy wychodziła za mąż, była pewna, że nie kocha już Krzysztofa. Jeszcze przed ślubem wyrzuciła wszystkie liściki, które do niej napisał, wszystkie jego książki i płyty. Było tego niewiele, kilka skromnych tomików poezji i *Pani Bovary* Flauberta, którą to powieść Krzysztof, darzący francuskiego pisarza bałwochwalczą czcią, podarował Małgorzacie na dwudzieste czwarte urodziny. Nie, to nie Marcin zażądał od niej tej czystki. To ona sama, bez wiedzy narzeczonego, wyrzuciła wszystkie pamiątki po byłym kochanku. Chciała wejść w małżeństwo z czystym kontem. Wtedy wydawało jej się to naturalne i oczywiste. Dopiero później przyszło jej do głowy, że w tym pozbywaniu się rzeczy po Krzysztofie było jednak coś niewłaściwego. Jakby samej sobie nie do końca ufała...

Po rozstaniu z Jareckim nie spotkała go przez kilka lat. Nawet przypadkiem, na ulicy czy w autobusie. Czasem tylko w witrynie księgarni rzuciła jej się w oczy jakaś jego książka. W czasach, kiedy byli kochankami, marzył o napisaniu powieści. Krótco potem

to marzenie się ziściło. Jeśli Wikipedia się nie myliła, był w tej chwili autorem sześciu książek: dwóch opracowań naukowych, wydanych przez uniwersytet, i czterech powieści. Żadnej z nich Małgorzata nie czytała. Chyba bała się, że znajdzie w nich siebie.

Ona także zajęła się literaturą, choć na znacznie mniejszą skalę. Dwa lata po skończeniu studiów wyjęła swoje wiersze z szuflady i zaczęła publikować je w internecie. Spodziewała się ostrej krytyki, ale użytkownicy forów poetyckich zareagowali na jej twórczość entuzjastycznie. Radek, jeden z najgorętszych fanów Małgorzaty, namówił ją, żeby spróbowała swoich sił w konkursach poetyckich. Okazało się, że w całej Polsce co roku odbywa się ich kilkadziesiąt. Zapakowała wiersze do kopert, a potem rozesała je w kilka miejsc, nie bardzo jednak wierząc w to, że zostaną zauważone. Jakież było jej zdziwienie, kiedy miesiąc później dostała zaproszenie na finał. Jury bydgoskiego konkursu przyznało jej pierwszą nagrodę. Informacja o kolejnym zwycięstwie przyszła dwa tygodnie później, a potem już co kilkanaście dni dowiadywała się o nowej wygranej.

Kiedy dostała pierwszą nagrodę w Sandomierzu, teksty na konkursy wysyłała już sporadycznie. Nie lubiła stagnacji, więc siłą rzeczy po kilku latach zaczęła odchodzić od tego, co oswoiła już tak bardzo, że zamiast radości wywoływało znużenie. Kolejny telefon od organizatora, kolejna nagroda, kolejny finał w domu kultury czy bibliotece na drugim końcu Polski. Bywają osoby, które ekscytują się takim uznaniem przez całe życie. Tak zwani konkursowi poeci. Małgorzata jednak do nich nie należała. Nigdy też się nie zniżyła do „pisania pod konkursy”, czyli w taki sposób, żeby jej wiersze spodobały się konkretnym jurorom. Krytyk X lubi filozoficzne poematy, więc piszemy poemat, krytyk Y uwielbia erotyki — wysyłamy wiersze na granicy pornografii. Nie bawiło jej także pisanie na zadany temat. Chciała być artystką, a nie rzemieślnikiem, tworzącym teksty na zamówienie. Po etapie konkursowym skupiła się na publikacjach w pismach literackich. Z pietyzmem zamieszczała w notce biograficznej tytuły czasopism, które przyjęły jej teksty do druku. Potem i to ją znudziło. Zaczęła podchodzić do pisania na luzie. Czasem coś opublikowała. Czasem wysłała jakiś wiersz na konkurs. Czasem wzięła udział w spotkaniu autorskim czy akcji popularyzującej poezję. Zwycięstwo w sandomierskim konkursie im. Jana Kochanowskiego mimo to bardzo ją ucieszyło. W środowisku drugoligowych poetów, do których się zaliczała, konkurs ten był uważany za wyjątkowo prestiżowy.

Zwykle jeździła na finały z Marcinem. Tym razem miało być podobnie, w ostatnim momencie wypadła mu jednak pilna operacja. Spakowała więc podręczny neseser i z błogosławieństwem męża pojechała do Sandomierza sama.

Mimo że od tamtej pory minęło sześć lat, wieczór przed wyjazdem pamiętała w najdrobniejszych szczegółach. Czuli seks, długą rozmowę. Następnego dnia Marcin odwiózł ją na dworzec do Katowic, bo pociąg odjeżdżał już o szóstej rano i trudno byłoby znaleźć autobus, który dowiozłby ją na czas. Mąż miał dwie godziny do dyżuru, więc odprowadził ją także na peron i czekał, aż wsiądzie do pociągu. Pożegnał się z żoną bardzo wylewnie. Jakby coś przeczuwał. A może to ona wyolbrzymiła później całą sytuację, w masochistycznej próbie zadawania sobie jeszcze większego cierpienia?

Przedział dzieliła z panią Marią. Sympatyczną sześćdziesięciolatką, która jechała na Śląsk do poznanego przez internet młodszego kochanka.

— Wychowałam sama czwórkę dzieci, czas pomyśleć o sobie! — Szeroki uśmiech odsłaniał śnieżnobiałą protezę, kiedy opowiadała Małgorzacie o swoim długim i trudnym życiu.

Podobała się jej. Radosna, energiczna, zakochana. Przełamująca stereotyp szaroburych babć uganiających się po placu zabaw za rozbrykanymi wnukami. Zmęczonych, zaniedbanych kobiet, wtłoczonych, często wbrew własnej woli, w kolejną męczącą życiową rolę.

Z dworca w Sandomierzu odebrał Małgorzatę organizator konkursu, nieco przemądrzały pan pod pięćdziesiątkę, z resztką włosów związanych artystycznie na karku. Zawiózł ją do centrum kultury, w którym miała się odbyć impreza finałowa. Małgorzata liczyła na to, że wcześniej odwiedzi hotel i weźmie prysznic, takiej drobnej uprzejmości organizatorzy nie mieli jednak w planach. Zakurzoną i spoconą posadzili ją przy stoliczku obok innych zwiezionych na imprezę nieszczęśników i poczęstowali maślanymi ciasteczkami.

Małgorzata z przykrością odnotowała, że wśród pozostałych laureatów nie ma nikogo, kogo znałaby z wcześniejszych imprez. W konkursach, jak wszędzie, panują mody na autorów. Ktoś przez rok dostaje nagrody niemal wszędzie, a potem się o nim zapomina albo jego nazwisko pojawia się tylko sporadycznie. Często poeci, podobnie jak Małgorzata, po jakimś czasie sami nudzili się rywalizacją, ustępując pola młodszym i mniej doświadczonym. No chyba że traktowali konkursy jako źródło dochodów albo byli szczególnie spragnieni aprobaty. Wtedy tak łatwo nie odpuszczali.

Małgorzata pamiętała Basię. Dziewczynę w jej wieku, która walczyła na konkursach od dwudziestu lat. Wydała już pięć książek poetyckich, docenionych przez lokalną krytykę, i wciąż nie widziała problemu w tym, żeby stawać w szranki z amatorami.

— Wiesz, to jak palenie papierosów. Po prostu nie mogę przestać — zwierzyła się Małgorzacie przy lampce wina, kiedy po którejś z imprez siedziały obok siebie na bankiecie.

Basia mieszkała na zapyziałej białostockiej wsi. Nie miała zbyt wielu okazji, żeby obcować z kulturą. Może dlatego finały konkursów, na których mogła posłuchać dobrej muzyki, wierszy czy po prostu pogadać z ludźmi podobnymi do siebie, miały dla niej tak duże znaczenie?

Finał w Sandomierzu niczym nie odbiegał od znanych Małgorzacie imprez tego typu. Czytanie nagrodzonych wierszy dla skromnej publiczności, wręczenie nagród, zamienienie paru słów z organizatorami i współnagrodzonymi. Jurorzy, którzy zapewne wybrali zwycięzców online, nawet się nie pofatygowali na imprezę. Nie musieli tego robić. Pieniądze, które zarobili, nie przepadały im tak jak szaraczkom laureatom, jeśli nie stawiliby się na rozdanie nagród.

Po części oficjalnej poeci dostali zaproszenie na bankiet do pobliskiej restauracji. Panowała jednak na nim tak drętwa atmosfera, że Małgorzata szybko się wymknęła. Jeśli miała nudzić się w towarzystwie, wołała robić to solo. Zresztą, prawdę mówiąc, nuda jej nie groziła. Miała książki, poezję i głowę pełną myśli.

Emocje, jakie towarzyszyły zapisaniu na kartce gotowego wiersza, Małgorzata

porównywała do ostrej fazy zakochania. Kiedy po wieczornym ślęczeniu nad tekstem budziła się rano i przypominała sobie świetny wiersz zapisany poprzedniego dnia, czuła się jak kobieta wracająca myślami do wymarzonego pocałunku. Nie pozowała na artystkę. Drażnili ją zblazowani młodzieńcy, których największą ambicją było stanie się drugimi Wojaczkami — tak w poezji, jak i w życiu. Nie lubiła sztuczności, kreowania się na kogoś, kim się nie było. Dla niej pisanie stanowiło po prostu źródło nieskrępowanej radości. Coś, bez czego nie potrafiła już wyobrazić sobie życia.

Była zbyt rozemocjonowana, żeby iść spać, zamiast więc pójść od razu do pokoju, wstąpiła do hotelowego baru na drinka. „Bar” to zresztą nie do końca właściwe określenie. To była raczej elegancka restauracja. Bardzo klimatyczna, z żywymi kwiatami na stolikach, lampami na parapetach i ciężkimi zasłonami. Tuż po Małgorzacie weszło tam starsze małżeństwo, które zamówiło sobie po lampce wina i usiadło przy barze, oraz dwie tlenione czterdziestki w spódniczkach tak krótkich, że ukazywały paski od pończoch. One także zamówiły alkohol.

Małgorzata poszła w ich ślady. Z drinkiem w ręku usiadła w kącie sali. W trakcie imprezy przyszedł jej do głowy pomysł na nowy wiersz. Zadzwoiła do Marcina, żeby podzielić się wrażeniami z podróży, a potem zabrała się za pisanie.

Pisała, czytała, kreśliła, poprawiała. Powtórzyła ten proces chyba z dziesięć razy, zanim poczuła się usatysfakcjonowana. W nagrodę zamówiła sobie kolejnego drinka.

Zbierała się już do wyjścia, kiedy pojawił się przy barze. W skórzanej kurtce, z rękami w kieszeniach i opadającą na czoło młodzieńczą grzywką wyglądał jak młody chłopak.

W pierwszej chwili pomyślała, że to sobowtór, tak absurdalna i nieuzasadniona wydała jej się obecność Krzysztofa w tym miejscu, dopiero sposób, w jaki zareagował na jej widok, pozbawił ją wątpliwości.

— Gosia! Co ty tutaj robisz? — niemal krzyknął.

— A ty? — była równie podekscytowana.

Okazało się, że Jarecki godzinę wcześniej przyjechał samochodem ze Śląska na spotkanie autorskie w sandomierskim ogólniaku, które miało rozpocząć się następnego dnia przed południem. Był zaskoczony, kiedy Małgorzata powiedziała, z jakiego powodu tu jest. Nie miał pojęcia, że pisze wiersze. Nigdy, nawet gdy byli razem, nie opowiadała mu o swojej pasji. Chyba obawiała się, że jej wiersze wydadzą mu się infantylne. W końcu na co dzień obcował z wielką literaturą. Nie chciała się ośmieszać.

— Zostaniesz ze mną? — spytał, przywołując kelnera, a ona zgodziła się bez chwili wahania. Była już nieco wstawiona, a do tego oszołomiona tym niespodziewanym spotkaniem.

Rozmawiali tak, jakby nic się nie stało. Jakby ich ostatnie spotkanie było zwyczajną pogawędką przy kawie, a nie dramatycznym rozstaniem — przynajmniej dla jednej strony. Małgorzata nawet słowem nie zająknęła się na temat przeszłości. Gładko i bez sprzeciwu weszła w napisaną przez Krzysztofa rolę. „A może oboje byliśmy autorami tej sztuki?” — wielokrotnie się później zastanawiała.

Krzysztof opowiadał jej o swojej pracy, sukcesach, kolejnych podróżach i o córce, w którą wciąż był zapatrzony. Podobnie jak ojciec, miała wiele zainteresowań. Była



świetną koszykarką, poza tym — obdarzona talentem muzycznym — wygrywała z marszu wszystkie wojewódzkie konkursy wokalne.

Zwrócił uwagę na obrączkę na palcu Małgorzaty, więc opowiedziała mu o Marcinie. Był zaskoczony, że wyszła za lekarza.

— Ludzie powinni dobierać się według zainteresowań — skwitował niezbyt grzecznie. Małgorzaty nie dotknęła jednak ta uwaga. Pomyślała, że Redford jest zazdrosny o profesję jej męża. Zawsze považał lekarzy. „Dłubiemy w tej literaturze, przerzucamy zakurzone kartki, a życie — to prawdziwe życie — toczy się zupełnie gdzie indziej. Powiedz, czym jest biblioteka w porównaniu z salą operacyjną? Kim jestem ja — gryziپیórek przy ludziach, którzy codziennie ratują komuś życie?” — Małgorzata wiele razy słyszała z ust Jareckiego podobne stwierdzenie. Teraz, kiedy okazało się, że dawna dziewczyna dzieli życie z jedną z osób, które zawsze stawiał wyżej od siebie, miał prawo czuć się niekomfortowo.

— Przejdziemy się? — zaproponował, kiedy dopili drinki. Zdesperowane czterdziestki opuściły już lokal mocno chwiejnym krokiem. Zostali tylko starsi państwo, którzy również poprosili o rachunek.

— Teraz? — spytała zaskoczona. Dochodziła północ.

— Sandomierz nocą jest piękny. — Uśmiechnął się i znienacka przebiegł palcami po jej nadgarstkach.

— Przejdziemy — potaknęła, próbując ukryć przed Redfordem, jak bardzo poruszyła ją ta niespodziewana pieśczoła.

Widok Starego Miasta usadowionego na skarpie zaparł jej dech w piersiach, już kiedy jechała z dworca. Zabytkowe kamieniczki, Ratusz z białą wieżą, kamienica z podcieniami, w której znajdowała się poczta, wąska ulica Żydowska, z pozostałościami muru oddzielającego miasto od getta — każde z tych miejsc robiło na niej ogromne wrażenie. Najbardziej zachwycająca była jednak malownicza ulica Opatowska, kojarząca się Małgorzacie z ukochanymi gdańskimi deptakami. Teraz, rozjaśniona ciepłym światłem ulicznych latarni, sandomierska Starówka prezentowała się jeszcze piękniej.

Spacerowali po mieście w milczeniu, chłonać jego niezwykłą atmosferę. Małgorzata zawsze uważała, że jesienią najpiękniej jest w Zakopanem. Teraz doszła do wniosku, że zasypany żółtymi liśćmi Sandomierz w niczym nie ustępuje stolicy Tatr.

Schodzili w dół wąskimi kamiennymi schodami, żeby z bliska przyjrzeć się Wiśle, kiedy Jarecki pochylił się i podniósł z ziemi piękny ognistoczerwony liść klonu.

— Zostaw sobie na pamiątkę — wyszeptał i wrzucił go Małgorzacie do torby.

Gdyby miała opisać ten spacer jednym słowem, byłby to z pewnością przymiotnik „magiczny”. Stojąc przy Krzysztofie i patrząc na rzekę, za którą migotały światła domów i fabryk, miała wrażenie, że czas się cofnął. Że się w ten ciepły jesienny wieczór zagiął, zapętlił. Znowu miała dwadzieścia cztery lata i kochała się do szaleństwa w najbardziej charyzmatycznym facecie na uczelni. A może czas zakrzywił się jeszcze bardziej i zaprowadził ją dalej? W czasy, jakie pamiętała tylko z fotografii, na której czteroletnia dziewczynka, okutana w królicze futerko, z ręką w cieplej dłoni mamy, maszerowała przez centrum Piekar. Tak, tę możliwość też rozważała. Że w ramionach Jareckiego, starszego zaledwie o piętnaście lat, ale przecież dojrzalszego mężczyzny, silnego

i władczy, zawsze szukała poczucia bezpieczeństwa. I że tamtej nocy na chwilę je znalazła. Ckliwa teoria? Być może. Ale jedyna, jaką udało jej się wymyślić. Przecież nie kochała Jareckiego. Nie mogła, na Boga, wciąż go kochać!

Krzysztof spytał ją o wiersze. Uparł się, żeby mu je pokazała. Długo się opierała, w końcu jednak uległa jego prośbom.

— Bursa w spódnicy — skomentował po przejrzeniu notatnika. — Odważne wiersze kobiece, tego brakuje w naszej poezji. Może zorganizowalibyśmy ci jakieś spotkanie na uczelni, co ty na to? — zapytał.

— Nie przesadzaj — skwitowała, choć zachwyty człowieka, który niewątpliwie znał się na literaturze, mile ją polechtały.

W drodze do hotelu na chwilę usiedli na schodach przy figurze Matki Boskiej. Małgorzata, zmęczona, przymknęła oczy, a wtedy Jarecki zniemacka ją pocałował. Nie odsunęła się. Przeciwnie. Przywarła do jego ust na długie minuty. Kiedy skończyli się całować, Krzysztof bez słowa wstał i wziął ją za rękę. Puścił dłoń Małgorzaty dopiero, kiedy otwierał drzwi do hotelowego pokoju.

Nie widziała Krzysztofa od dziesięciu lat, ale wciąż wszystko było w nim znajome. Zapach, miękkość policzków, kłujących ją delikatnie jednodniowym zarostem, duże, miękkie dłonie. I słowa. Wypowiedane zduszonym głosem namiętne opowieści, od których pragnęła go jeszcze bardziej.

Obudziła się wczesnym rankiem. W małym hotelowym pokoju nadal paliło się światło, choć za oknami wstawał już nowy dzień. Duża żarówka wystająca ze szklanego klosza przejęła ją nagłym lękiem. Redford spał. W jasnym świetle poranka wydał jej się blady, przerażający. Jak zjawa. Żywy trup, który pozwolił wskrzesić się tylko na chwilę, aby zaraz z powrotem zapaść w wieczny sen. Siedziała na łóżku i przyglądała mu się w osłupieniu, próbując zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Dlaczego zdradziła męża z tym mężczyzną, od wielu lat przecież obcym. Co ją opętało?

Ubrała się i nie budząc kochanka, na palcach, wyszła z pokoju.

Drogę przez opustoszały dworzec pamiętała w szczegółach, jakby to było wczoraj. Szare niebo niedające nadziei na słońce, mokre ulice, rozbawione dzieciaki na chodniku i witrynę fotografa wyklejoną kiczowatymi zdjęciami uśmiechniętych młodych par. Najbardziej jednak wrył się jej w pamięć telefon od Marcina, który gdzieś tam, daleko, w piekarskim mieszkaniu, właśnie się obudził i poczuł przemożną chęć, aby powiedzieć żonie, jak bardzo ją kocha.

Jarecki nie odpuścił łatwo. Przez kilka miesięcy szukał z Małgorzatą kontaktu. Napisał kilkanaście esemesów, znalazł też jej profil na fejsbuku i zasypał ją deszczem krótkich wiadomości. Pisał, że tęskni, że chciałby się znowu spotkać. Wyrzucał jej, że wyszła bez słowa. Na żaden z liścików nie odpisała i w końcu dał sobie spokój.

Pewnie powinna była czuć satysfakcję, w końcu jakoś się na nim odegrała za porzucenie przed laty, nic takiego nie miało jednak miejsca. Jedynymi emocjami, jakie towarzyszyły Małgorzacie przez wiele miesięcy, były poczucie winy i wstyd.

Do dziś nie potrafiła zrozumieć, czym była tamta noc. Amokiem? Szaleństwem? Tęsknotą za przeszłością? Za... młodością? A może jakimś dziwnym nakładaniem się światów, teraźniejszego i przeszłego? Przenikaniem się dwóch kobiet — młodej

dziewczyny z przeszłości z trzydziestoparolatką, którą się stała?

Jakąkolwiek przyjąć interpretację, Małgorzata właśnie zaczynała płacić za noc z Jareckim wysoką cenę.

Wróciła do domu taksówką. Trochę pijana, ale nie na tyle, żeby lęk zupełnie ją opuścił. Już na schodach usłyszała głośno puszczone radio. Nie miała wątpliwości, co to oznacza. Teściowa. Czyżby postanowiła odwiedzić syneczka bez zapowiedzi?

Stała na półpiętrze i wyjęła kosmetyczkę. Szybki rzut oka w lusterko, parę pacnięć pędzlem na świecące się czoło i nos, jedno pociągnięcie szminką. Do tego parę głębszych oddechów, trzykrotne powtórzenie afirmacji i już była gotowa na zmierzenie się z potworem.

Teściowa musiała być już u nich długo, bo zdążyła posprzątać. Rozwiesiła pranie, zmyła naczynia, a teraz właśnie zaczynała myszkować w lodówce.

— Dzień dobry, Gosieńko. — Uśmiechnęła się słodko na widok synowej i kilka razy cmoknęła powietrze przy jej policzku. Matka Marcina była typem zimnej ryby — żadnego dotyku, żadnych zbędnych czułości. Tylko z synkiem witała się wylewnie pocałunkiem w usta.

— A tatuś gdzie? — Małgorzata skrzywiła usta w grymasie, który miał przypominać uśmiech.

— Źle się poczuł. Przyjechałam sama. Troszkę ci tu ogarnęłam — powiedziała, rozglądając się po kuchni.

— Nie musiała mama.

— Ach, wy tacy zapracowani, a ja mam dużo czasu. Kawki się napijesz?

— Poproszę. — Małgorzata skinęła głową i usiadła za stołem, pozwalając, żeby w jej własnym domu obsłużyła ją teściowa.

Patrzyła, jak matka Marcina krząta się po kuchni, i zastanawiała się, jak to się stało, że ojciec męża — mężczyzna inteligentny i kulturalny, wybrał sobie na towarzyszkę życia kogoś tak... nie bała się użyć tego słowa — kogoś tak tępego. Pani Mirosława, którą Małgorzata nazywała, na jej własne życzenie, mamusią, była chorobliwie gadatliwa. Z poważną miną wygłaszała potworne komunały, od których Małgorzata dostawała wysypki. Prezentowała stereotypowe poglądy niemal na każdy temat — począwszy od nauczycieli, których uważała za darmozjadów (nie, nie ciebie, Małgosiu, wiem, że ty jesteś solidna firma), a skończywszy na homoseksualistach. Tylko księży zostawiała w spokoju, uważając ich niemal za nadludzi.

Małgorzata początkowo była z nią w mocnym konflikcie, ale w końcu odpuściła i zaczęła traktować matkę Marcina jak niegroźną małpkę. Przyjdzie, zrobi kilka fikolek i wróci do domu. Zmieniła podejście do teściowej, kiedy dotarło do niej, że ma tylko dwa wyjścia — całkowicie się z nią skłócić, czego nie chciała robić ze względu na męża, albo wrzucić na luz. Owszem, odchorowywała wizytę teściowej parogodzinną migreną, ale jakoś udawało jej się wytrzymać. Potem zawsze fundowała sobie jakąś przyjemność. Pół godziny w wannie z bąbelkami, godzinę z dobrą książką... Myśl o tym, co będzie robiła, kiedy matka męża wreszcie zatrześnie drzwi jej mieszkania z drugiej strony, pomagała jej przetrwać trudny czas.

— A ty jakaś zmęczona jesteś... — Teściowa uśmiechnęła się porozumiewawczo.

W za ciasnej sukience w kolorze ostrej zieleni przypominała wielką ropuchę. Kiedyś była podobno piękną kobietą, szczupłą niebieskooką brunetką, ale Małgorzacie jakoś trudno było w to uwierzyć. Kobieta z portretu wiszącego na głównym miejscu w salonie teściów — owszem, wyjątkowo atrakcyjna — kompletnie nie przypominała dzisiejszej seniorki rodu Lubeckich.

— Byłam u przyjaciółki — odpowiedziała Małgorzata, w duchu strofując się za to, że się tłumaczy. — A Marcin gdzie? — Rozejrzała się.

— Wyskoczył do sklepu po składniki na serniczek. Przyszło mi do głowy, że wam upiekę.

Małgorzata poczuła, że jej cierpliwość właśnie się skończyła. Robienie kawy, okej, ale trzy godziny panoszenia się „mamusi” w jej kuchni? Bez przesady.

— Mama przecież wie, że nie jemy słodczy — odezwała się lodowatym tonem.

— Ach, przestań, Małgosiu. Ten mój Marcinek taki chudziutki... Nic a nic go nie karmisz — zachichotała jak mała dziewczynka.

To właśnie było w matce Marcina najbardziej irytujące. Wbijała szpilki z uśmiechem niewiniątka. A jeśli ktoś próbował zarzucić jej niesympatyczne zachowanie, reagowała z równie niewinną miną: „Ja coś takiego zrobiłam? Kochanie, nic z tych rzeczy!”.

— Marcin jest dorosły i sam się karmi — odwarknęła. „Podobnie jak ubiera i myje” — dodała w myślach. Nie rozumiała kobiet traktujących swoich synów i partnerów jak niedorozwinięte dzieci. Wybierały im ubrania, prowadziły do fryzjera, kiedy fryzura straciła fason, napominały, żeby zażywali codziennej kąpieli, odstawili palenie i piwo... Jedna z koleżanek Małgorzaty regularnie wysyłała swojemu mężczyźnie kwiaty. — A w ogóle to jestem zmęczona i byłabym wdzięczna, gdyby mamusia poszła już do siebie — dodała, sama zaskoczona swoimi słowami.

Teściowa znieruchomiała.

— Małgosiu, ale jak to?

Małgorzata ruszyła do przedpokoju, skąd przyniosła teściowej buty.

— Do widzenia, mamó.

Na bladą do tej pory twarz matki Marcina wypłynęły krwistoczerwone rumieńce. Chrząknęła głośno, po czym z furią włożyła sandały.

— Twoja żona właśnie wyrzuciła mnie z domu! — oświadczyła synowi, który z reklamówką zakupów stanął raptem w drzwiach mieszkania.

Głos jej zadrzał i przez chwilę Małgorzata miała wrażenie, że teściowa się rozplacze. Czasem wpadała w histerię, której ofiarą najczęściej padał jej mąż. Wyżywała się na nim za wszystkie swoje niepowodzenia i frustracje, z tą największą na czele: mimo sześćdziesiątki na karku wciąż nie doczekała się wnuka! Małgorzata na każdą okazję dostawała od teściowej życzenia powiększenia rodziny. Co ciekawe, matka Marcina życzyła dziecka tylko jej, jakby zakładała, że to właśnie w Małgorzacie tkwi sedno problemu. No tak, jej idealny synek miał przecież świetne geny. Co innego „ta sierota”, jak kiedyś, podczas największej kłótni z Małgorzatą, wyraziła się o synowej. I znowu nie były to przytyki wprost. Przecież teściowa tylko życzyła synowej potomstwa, cóż w tym niewłaściwego?

— Po prostu jestem zmęczona i wolałabym, żeby mama nie piekła nam ciasta, którego i tak nie zjemy — odpowiedziała Małgorzata, spoglądając na osłupiałego męża.

— Mamo, nie żartuj. Zostań — Marcin próbował załagodzić sytuację. — A ciasto faktycznie upieczesz innym razem. Albo w domu. Tata się ucieszy.

— Twój ojciec ma cukrzycę — odpowiedziała teściowa, po czym otworzyła drzwi, które po chwili zatrzasnęła za sobą z wielkim hukiem.

— Mamo, nie wygłupiaj się! — zawołał za nią Marcin i już go nie było.

Małgorzata otworzyła sobie piwo i usiadła w fotelu. Nie mogła uwierzyć, że doprowadziła do takiej sytuacji. Że lata wyrzeczeń w imię dobrych stosunków z teściami w jednej chwili trafił szlag. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że kompletnie się tym nie przejęła. Cała ta obraza „mamusi” spłynęła po niej jak woda po kacze. Jakie to wszystko miało teraz znaczenie? Jakie znaczenie miał konflikt z teściową, kiedy istniało tak duże prawdopodobieństwo, że Małgorzata ma HIV. I, o zgrozo, Marcin też może go mieć...

Mąż wrócił po kwadransie. Wziął sobie z lodówki wędzonego łososia i usiadł przed telewizorem, obok żony.

— I jak mama? — Małgorzata zwinęła usta w dzióbek.

— Trochę sobie popłakała i już. Nie martw się, do świąt jej przejdzie — machnął ręką.

Nigdy nie przywiązywał zbyt dużej wagi do konfliktów między matką a żoną. Uważał, że są naturalną częścią życia, a teściowa i synowa, jako kobiety rywalizujące o jednego mężczyznę, zawsze będą stały po przeciwnych stronach barykady. Małgorzata nie czuła, żeby rywalizowała z matką Marcina, ale w drugą stronę tak to faktycznie mogło działać. Zwłaszcza osoby o tak przerośniętym ego jak teściowa musiały ciężko znosić detronizację związaną z ożenkiem syna. Małgorzata do dziś pamiętała słowa, które teściowa powtarzała niczym mantrę po ślubie jedynaka: „Przecież nic się nie zmieniło, nic się nie zmieniło, Marcinku. Nadal możesz sypiać w domu”.

— Nie wyrzuciłam jej.

— Wiem, byłaś po prostu asertywna. — Marcin kiwnął głową.

— Może trochę zbyt asertywna — przyznała po chwili. Nagle zrobiło jej się smutno. Ile by dała za to, żeby mieć wyłącznie takie przyziemne problemy jak scysja z teściową. Przeżycia minionego dnia przytłoczyły ją do tego stopnia, że nagle, ni z tego, ni z owego, zaczęła płakać.

— Co się dzieje? — Mąż oderwał wzrok od telewizora. — Tak się przejmujesz mamą? — Zmarszczył brwi.

Miała ogromną ochotę przytaknąć i w ten prosty sposób usprawiedliwić swoją nagłą rozpacz, ale przecież to nie miało najmniejszego sensu. Marcin wiedział, że jego matka nic dla niej nie znaczyła. Pokręciła głową.

— Coś w pracy? Z Anką? A może... — nachylił się ku niej i spojrzał jej w oczy — może martwisz się, że znowu się nie udało...

— Tak — tego kłamstwa bezpiecznie mogła się złapać. Choć czy na pewno było to kłamstwo? Nagle dotarło do niej, że jeśli jest zarażona, jeśli oboje z mężem są nosicielami, będą musieli definitywnie pożegnać się z marzeniami o dziecku.

— Daj spokój, wszystko będzie dobrze — Marcin zaczął ją uspokajać. Im łagodniej jednak do niej przemawiał, tym Małgorzacie bardziej chciało się płakać.

— Wiesz, źle się czuję. — Zerwała się z fotela. Słowa z trudem przeciskały się przez zaciśnięte gardło. — To chyba jakaś grypa.

Marcin przytrzymał ją i przyłożył dłoń do czoła.

— Nie masz gorączki, ale jesteś rozpalona. Wskakuj do łóżka — zaordynował. — A ja przygotuję ci herbatkę z malinami. Masz ochotę? — Uśmiechnął się czule, na co żołądek Małgorzaty zareagował gwałtownym skurczem. Z trudem udało jej się zdążyć do toalety.

Czekała na ulicy od godziny. Parę metrów od szkoły, do której nie mogła wejść, choć powinna właśnie kończyć lekcję z IIIb. Była wściekła. Na gówniarza, który stanął przed nią tak raptownie, że nie dała rady zahamować. Na jego ojca, który miał przyjechać już pół godziny temu, a wciąż go nie było. Najbardziej jednak na siebie... Tak bardzo denerwowała się, kiedy ktoś nie zachowywał właściwej odległości między swoim i jej samochodem, że celowo zwalniała, aby dać bezmyślnemu kierowcy nauczkę, a teraz powieliła znieprawdzone zachowanie kropka w kropkę. Trzymała się za blisko i kiedy jadący przed nią mercedes nagle się zatrzymał, wpakowała mu się w zderzak. Niby nic się nie stało, jakaś drobna ryska, niemal niewidoczna, ale kierowca samochodu — młody chłopak o wyglądzie macho, zastrzegł, że ugoda jest możliwa tylko pod warunkiem, iż będzie przy niej tatuś.

— No i gdzie ten twój ojciec? — Małgorzata podeszła do smarkacza, który kwadrans wcześniej rozłożył koc na trawniku i teraz wygrzewał w słońcu pokryte tatuażami ramiona.

— Mówił, że już za Bytomiem — odpowiedział chłopak niedbale, po czym splunął gęstą śliną.

Rozpuszczony gówniarz! Gdyby wszyscy młodzi ludzie byli tacy jak on, już dawno zmieniłaby zawód.

— Ja muszę iść do pracy.

Młody wydał lekceważąco wargi.

— A ja do szkoły. Zawsze mogę zawołać policję, jak nie pasuje pani czekanie — dodał z beczelnym uśmiechem.

Machnęła ręką. Nie miała siły na przepychanki z gówniarzerią.

„Jak mogłam popełnić tak głupi błąd?” — wyrzucała sobie. Wiedziała jak. Wczoraj sporo wypła, poza tym niewiele spała. Budziła się nad ranem chyba z pięć razy, a rozmowa z Jareckim majaczyła jej przed oczami w taki sposób, że nie była pewna, czy wydarzyła się naprawdę, czy był to tylko sen. Przebudzenie było jak zimny prysznic. Spowodowało skurcz w żołądku i szybkie, bolesne bicie serca.

Tak bardzo się bała. O Marcina, nie o siebie. A jeżeli go zaraziła? Jak mu o tym powie? Jak będzie wyglądało później ich życie? Czy w ogóle będą mieć jeszcze jakąkolwiek wspólną przyszłość? Małgorzata miała wrażenie, że takiego strachu jak ten, którego właśnie doświadczała, nie czuła nigdy wcześniej. Ani wtedy, kiedy zginęła mama, ani kiedy dowiedziała się, że tata ma nieoperacyjnego glejaka i przed sobą najwyżej kilka miesięcy życia. Cierpienie niezawinione boli mniej niż to, do którego sami się przyczyniliśmy — życie udzielało właśnie Małgorzacie bolesnej lekcji na ten temat.

Do tej pory, gdy miała problem, zawsze radziła się Marcina. Teraz nie mogła tego zrobić, jednak cały czas zastanawiała się, jak mąż zachowałby się na jej miejscu. Oczywiście, jeśli kiedykolwiek znalazłby się na jej miejscu, czego raczej nie potrafiła sobie wyobrazić. Poukładany, uczciwy do szpiku kości Marcin pewnie od razu pojechałby na badania. Nie zwykł marnować czasu na złudzenia. Zawsze powtarzał, że nawet najgorsza prawda jest od nich lepsza. Małgorzata nie była tego taka pewna. Chyba wołała

przez kolejne lata łudzić się, że są zdrowi, niż poznać przerażającą prawdę. Wiedziała, że jej strach przed badaniami skazuje ją na życie na bombie, że spędzi następne lata na ciągłym doszukiwaniu się u siebie i męża objawów AIDS, ale nie wyobrażała sobie innej decyzji.

Tatusz wreszcie się pojawił. Otyły pięćdziesięciolatek ze złotym łańcuchem na szyi doskonale pasował zarówno do wypasionego mercedesa, jak i bezczelnego synka. Nie był wściekły, nawet próbował Małgorzatę podrywać. Król życia przyzwyczajony do tego, że kasa otwiera przed nim każde drzwi.

— Trzy stówki i zapominamy o sprawie. — Chłodna reakcja kobiety na jego zaloty bynajmniej go nie zniechęciła. Uśmiechał się łobuzersko, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

— Niech będzie — zgodziła się, choć kwota, którą zaproponował, była porażająca. Nawet nie chciała się zastanawiać, ile książkowych nowości kupiłaby za nią w księgarni. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Wczoraj za dużo wypła, nie mogła mieć pewności, że wszystkie procenty zniknęły już z jej organizmu. Nie potrzebowała dodatkowych kłopotów.

Tak jak się spodziewała, już w progu liceum zderzyła się z komitetem powitalnym w postaci dyrektorki i jej kwaśnej miny. Baryła wyglądała jakoś inaczej. Na staromodne loki rzuciła sobie coś w rodzaju mokrej włoszki.

— Tak nie może być, żeby grono pedagogiczne powodowało stłuczki pod szkołą! — wykrzyknęła na widok Małgorzaty. — Czy pani ma świadomość, jaki to ma wpływ na prestiż placówki?

— Przepraszam — wydukała Małgorzata.

— A godziny, na których pani nie była? Co z nimi? — Dyrektorka nie zamierzała ustąpić.

— Odrobię.

— Tak, odrobi pani. I to z nawiązką! Proszę sprawdzać zeszyt zastępstw! — rzuciła Baryła, po czym odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem odmaszerowała do sekretariatu.

Małgorzata z ulgą pozbyła się niemiłego towarzystwa. Wbiegła po schodach na górę, podpisanie się w sekretariacie zostawiając na kolejną przerwę. Miała ochotę na mocną kawę i chwilę spokoju, ale do końca lekcji został jeszcze kwadrans. Dyrektorka nie darowałaby jej, gdyby nie poszła na zajęcia. Napiła się w pokoju nauczycielskim wody z kranu i pobięła do swojej klasy.

Katechetka, która prowadziła lekcję za Małgorzatę, zareagowała na jej widok wyraźną ulgą. Dziewczyna była młoda, tuż po studiach, słabo radziła sobie z młodzieżą. Z tematu lekcji zapisanego okrągłym pismem na tablicy Małgorzata domyśliła się, że młoda nauczycielka zdecydowała się na omówienie wiersza Twardowskiego. No tak, przeciętny Polak kojarzy tylko dwoje poetów: Szymborską i Twardowskiego, cała reszta to nazwiska znane wyłącznie niestrudzonym miłośnikom liryki. Małgorzata próbowała zmienić ten trend, zapraszała do liceum współczesnych poetów, puszczała młodzieży nagrania z występów Świetlików, jednak skutki były tak mizerne, że w końcu zrezygnowała. Trudno przekonać nastolatków, którzy przez wiele lat czytali głównie



Mickiewicza i Kulmową, że poezja naprawdę może być ciekawa.

Na dużej przerwie odwiedziła ją Alicja. Miała jeszcze wolne, ale w drodze ze szpitala wpadła do szkoły, żeby zamienić słówko z przyjaciółką. Przyniosła ze sobą wegańskie ciasteczka ze słonecznikiem i jakiś zdrowy sok, który rozlała do dwóch szklanek. Usiadły na zapleczu pracowni polonistycznej, które było ich ulubionym miejscem na pogawędkę.

— Co z Kubą?

— Dużo, dużo lepiej. A co u ciebie? Jakoś kiepsko wyglądasz.

— Mam ciężki dzień — odpowiedziała Małgorzata, modląc się, żeby Ala nie zaczęła drażnić. Nie miała siły na kolejne kłamstwa.

— A co konkretnie się dzieje?

A jednak.

— Problemy z teściową — rzuciła na odczepnego, przypominając sobie wczorajszą sytuację.

— Ach, teściowa. Temat rzeka. Na szczęście nie mój. — Alicja roześmiała się wesoło. Widać było, że jest w świetnym nastroju.

— Tak, bycie singlem ma swoje plusy — potaknęła Małgorzata.

— Trudno nazwać mnie singlem — Alicja się oburzyła.

— Rzeczywiście. A co słyszeć u Wojtka?

— Niewiele, prawdę mówiąc. Jest mocno zajęty, ale wspiera mnie esemesami...

— Aha — Małgorzata potaknęła bez przekonania. — Esesemesami... — Zamilkła, zastanawiając się kolejny raz, czy powinna powiedzieć Alicji o tym, czego dowiedziała się od Makieli. Z jednej strony nie chciała psuć przyjaciółce nastroju, wystarczy, że ona ma beznadziejny czas, z drugiej coraz gorzej się czuła z tym, że trzyma rewelacje biologicy w tajemnicy.

— Alu, chyba musimy pogadać — odezwała się niepewnym głosem. — Słyszałam, że Wojtek... — zaczęła ostrożnie i spojrzała na Alicję, próbując wy badać jej reakcję. Może o wszystkim już wie i Małgorzata będzie mogła uniknąć przykrew rozmowy? Rola posłańca złej wiadomości jest taka niewdzięczna! Zwłaszcza jeśli trzeba przekazać negatywną informację bliskiej osobie.

— Tak? — Niestety, nic nie wskazywało na to, że do matematyczki dotarły już szkolne plotki. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

— Nie wiem, czy to prawda, nie chce mi się wierzyć...

Alicja nachyliła się do koleżanki.

— No, wyduś to wreszcie. Co się stało? — Wciąż się uśmiechała, ale patrzyła teraz jakoś inaczej, uważniej.

— Makiela powiedziała, że Wojtek jest z Młodą.

Alicja uniosła brwi wysoko do góry.

— Mój Wojtek? Z Młodą?

— Tak. Ale to chyba niemożliwe...

Matematyczka opadła na krzesło. Wyglądała, jakby ktoś rzucił na nią wielki cień.

— Chyba jednak możliwe — odezwała się głuchym głosem.

— To znaczy?

— Wiesz, odsuwałam od siebie tę myśl, to... podejrzenie, ale już od jakiegoś czasu miałam wrażenie, że ich do siebie ciągnie. Myślałam, że po prostu bardzo się lubią...

Małgorzata wzięła głęboki wdech.

— Alu...

— Tak? Jest coś jeszcze, prawda?

— Posłuchaj, to nie jest pewna informacja. — Małgorzata przetarła oczy. — Mówię tylko to, czego dowiedziałam się od Makieli. Może nie powinnam ci tego powtarzać, ale gdybym była w twojej sytuacji, chyba wolałabym wiedzieć... Po prostu sprawdź to. Pogadaj z Wojtkiem. Biologica powiedziała, że Młoda jest w ciąży.

— Ale skąd Makiela o tym wie?

— Podobno od niej samej.

Ala wstała z krzesła, potem z powrotem na nim usiadła i znowu wstała. Położyła rękę na przeponie i zaczęła głęboko oddychać.

— Muszę z nim pogadać — powiedziała po dłuższej chwili.

— Może... — Małgorzata podniosła się i wyszła za przyjaciółką na korytarz.

Alicja poklepała ją po ramieniu. Jej szczupła ręka w skórzanej bransoletce wydała się teraz Małgorzacie podobna do cienkiej gałązki. W ogóle cała jakoś przybladła i przywiedła.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś. Trzymaj się. — Ciche słowa Alicji zagłuszył rozdzierający dźwięk dzwonka.

Małgorzata nie miała zbyt dużo czasu na myślenie o przyjaciółce. Napisała do niej parę godzin później esemesa. Wojtka już nie było w szkole, zresztą nie widziała go od piątku. Młoda też skończyła już lekcje.

Czekając na wiadomość od Alicji, włączyła komputer. W pokoju nauczycielskim była zupełnie sama, więc mogła swobodnie przeglądać internet, bez obawy o to, że jakaś wścibska koleżanka zajrzy jej przez ramię. Myślała o tym od wczoraj, ale nie chciała robić tego w domu. Korzystali z Marcinem z jednej sieci. Wszystko, czego szukała, wyświetlało się automatycznie pod postacią polecanych artykułów i reklam na jego komputerze.

Internet pękał w szwach od informacji na temat HIV. W większości były to podstawowe wiadomości. Definicja choroby, przyczyny, objawy. W końcu trafiła na forum. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, widząc, ile osób tam wchodzi. Ilu ludzi jest w takiej samej sytuacji jak ona. Cały obszerny wątek poświęcony ocenie ryzyka i setki pytań. Czy można się zarazić przez miłość francuską? Przez pocałunek? Czy jeden raz wystarczy? Pod nimi wyjaśnienia weteranów forum: nie, przez pocałunek się nie da, musiałybyś wypić wiadro śliny, przez oral to też rzadkość. No, chyba że ranka, zadrapanie, krew. Każda odpowiedź była opatrzona dodatkowym komentarzem: nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności, po prostu się zbadaj.

Po trzydziestu minutach spędzonych przed monitorem Małgorzata miała wrażenie, że o HIV i AIDS wie już wszystko. Skasowała historię przeglądarki i zalogowała się na fejsbuku. Kilkadziesiąt powiadomień, kilka zaproszeń do grona znajomych. Nawet nie kliknęła w ikonki. Nie miała głowy do głupstw. Wrzuciła za to do wyszukiwarki nazwisko Redforda. Nie miała pojęcia, dlaczego to robi. Co chce tam odnaleźć. Zdrowego

Krzysztofa? Jego zadowoloną, uśmiechniętą gębę? Dowód na to, że Jarecki nie ma AIDS, a cały ten koszmar, w którym tkwi od wczoraj, okaże się błagą?

Kilkadziesiąt wyników, jednak żaden z Krzysztofów Jareckich, których tam znalazła, nie był tym właściwym. Zapewne Redford postanowił wykasować swoje konto przed czasem. Nie chciał trafić na wirtualny cmentarz...

Alicja zadzwoniła, kiedy Małgorzata wychodziła już ze szkoły. Na pytanie, czy rozmawiała z Wojtkiem, odpowiedziała krótko, że tak, ale nie chce mówić o tym przez telefon.

— To może gdzieś razem wyskoczmy? — zaproponowała Małgorzata, bo na samą myśl o powrocie do pustego domu robiło jej się słabo. Cały czas łapała się na tym, że podświadomie czeka na zmianę sytuacji. Na telefon od Jareckiego albo od jego córki, która powie jej, że ojciec wcale nie ma AIDS, a wczorajsza rozmowa to tylko głupi żart.

— Jestem teraz u Kuby, ale zaraz wychodzę. Przyjechał jego tata. Zostawiam go w dobrych rękach.

— Okej, to podjadę po ciebie i skoczmy do Zielonej.

— Dobrze. Będę czekać na parkingu.

Małgorzata otaksowała przód swojego samochodu, upewniając się kolejny raz, że ford nie ucierpiał podczas porannej stłuczki, i wsiadła do samochodu. Kiedy podjechała pod urazówkę, Alicja siedziała na ławce przy stróżówce, obok jakiegoś połamańca w piżamie popalającego papierosa. Zamiast sąsiadki na parkingu urzędował wąsaty pięćdziesięciolatek o niesympatycznym wyrazie twarzy.

Matematyczka wciąż była blada i wyglądała, jakby miała się za chwilę przewrócić, ale emanował z niej spokój i zrównoważenie. Gdyby Małgorzata nie знаła Alicji i jej niechęci do medykamentów, pomyślałaby, że wzięła coś na uspokojenie. Już w samochodzie przyjaciółka powiedziała jej, że historia z ciążą jest prawdziwa. O reszcie obiecała opowiedzieć ze szczegółami, gdy będą na miejscu.

Małgorzata zaparkowała przed dworcem PKP, od strony placu Andrzeja. Przeszły przez dworzec i galerię handlową i wyszły bocznym wyjściem. Zielona mieściła się w centrum, niedaleko maleńkiego, oświetlonego żółtym światłem tunelu, który pamiętała jeszcze z czasów studiów. Często zachodziły z Anką do sklepu z bielizną mieszczącego się tuż obok. Teraz w tym samym budynku znajdowała się modna wegańska knajpa. Małgorzata zakochała się w niej może nie od pierwszego wejrzenia, bo wewnątrz było raczej ubogie, a potrawy wystawione na wielkich patelniach też nie robiły dobrego wrażenia, ale na pewno od pierwszego smaku. Szarobure breje o egzotycznych nazwach okazały się naprawdę pyszne.

— Gdyby ktoś tak mi gotował, też zostałabym weganą — oświadczyła Alicji.

— Nie ma sprawy, będę ci dowozić swoje obiady — zaśmiała się przyjaciółka.

— Tylko co z Marcinem?

— Ano właśnie. Choć mój Kuba jest weganinem i dobrze mu z tym. Może twój mąż też by się przestawił?

— Nie sądzę. W tym wieku?

Knajpa jak zawsze pękała w szwach. Przy stolikach siedzieli głównie młodzi ludzie i całe mnóstwo oryginałów. Jakiś siwy facet z dredami do pasa, staruszka w ogromnym

słomianym kapeluszu. Małgorzata z Alicją poszły do baru po sałatki i kaszę z pieczarkami i papryką, a potem usiadły przy stoliku tuż przy drzwiach. Przez uchylone okno wpadało rześkie powietrze.

— I co z Wojtkiem? Co konkretnie powiedział? — zagaiła Małgorzata, kiedy zjadły już posiłek. Smaczny jak zawsze, ale dziś chyba żadna z nich nie potrafiła w pełni docenić kucharskiego kunsztu.

— No, powiedział, że się z nią przespał. Dwa razy. I że teraz będą mieli dziecko — odpowiedziała Alicja beznamiętnym tonem.

— Czyli z wami koniec?

— No właśnie... niezupełnie. To znaczy Wojtek twierdzi, że z Młodą nie łączy go nic poważnego, a kocha mnie.

— Nic poważnego. Jasne. Tylko dziecko — Małgorzata uśmiechnęła się krzywo.

— No właśnie. Uważam, że powinien zachować się jak facet.

— Czyli się z nią ożenić?

— Nie wiem. Ożenić na siłę? Nie żyjemy w średniowieczu. Zresztą dobrze wiem, co wynika z takich ślubów zawieranych pod przymusem. Myślę jednak, że powinien wziąć odpowiedzialność za tę sytuację, udzielić dziewczynie wsparcia.

— No tak. To na pewno.

— On, oczywiście, chce to wszystko zrobić, ale uważa, że między nami nic nie musi się zmieniać. Nawet zaczął gadać o ślubie, wyobrażasz sobie? Jedna babka jest z nim w ciąży, a on chce się żenić z inną. Serial brazylijski, jak Boga kocham!

— Może boi się, że cię straci.

— Może. Szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej. — Alicja przywołała do stolika kelnerkę, która przechodziła obok. — Poproszę zieloną herbatę z pomarańczą — złożyła zamówienie.

— A co dla pani?

— Karmi — rzuciła Małgorzata. Tak naprawdę nie miała ochoty już nic pić, ale nie wypadało siedzieć przy pustym stoliku. Tym bardziej że do baru ustawiała się długa kolejka.

— Dla mnie to koniec — powiedziała Alicja, kiedy kelnerka odeszła już od stolika. Zacisnęła mocno zęby, jakby próbowała powstrzymać łzy.

— Rozumiem cię. — Małgorzata powoli kiwnęła głową. Dla niej facet, który zrobił dziecko małolacie, też byłby spalony. Absurdalne podejście, pomyślała od razu. Jakby ciąża cokolwiek zmieniała. Chodziło przecież o zdradę. To ona była tu najważniejsza. Żołądek ścisnął się jej na tę myśl. Była bezwzględna w ocenie Wojtka, a przecież sama zachowała się dokładnie tak samo jak on. A może jeszcze gorzej? W końcu Alicja i historyk nie byli małżeństwem. Niczego też sobie nie obiecywali.

— No właśnie. — Alicja odkaszlnęła i zrobiła kilka głębszych wdechów. — Najważniejsze, że z Kubą już dobrze — dodała i twarz trochę jej się rozjaśniła. — Nie masz pojęcia, jak się ucieszył na widok taty. Dopiero jak ich zobaczyłam siedzących przy sobie na łóżku, wiesz, dwóch dorosłych facetów, dotarło do mnie, jak bardzo są do siebie podobni. Kuba to skóra zdarta z Patryka!

— Podoba mi się, że wciąż pozostajecie w przyjaźni.

— Przyjaźń to za duże słowo, ale faktycznie, nie mogłabym na niego powiedzieć złego słowa. Nie ma między nami tarć, nigdy nie było. Może dlatego, że decyzja o rozstaniu była wspólna? Oboje uważamy, że nasze małżeństwo to pomyłka i nigdy nie powinno było do niego dojść.

Małgorzata pomyślała o swoich uczniach pochodzących z rozbitych rodzin, których rodzice, mimo że byli już parę lat po rozwodzie, wciąż się awanturowali albo — dla odmiany — w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Zdarzało się, że oboje przychodzili na konsultacje, a Małgorzata musiała rozmawiać z każdym z osobna. Nie było ich stać nawet na suche przekazanie sobie informacji. Rozwieść się z klasą, jak Alicja, to było coś.

— Nie myślałaś nigdy o tym, żeby do niego wrócić?

— Do Patryka? Nie żartuj! Dla mnie to typ kompletnie aseksualny. Zresztą nigdy nie układało nam się w łóżku. Może byliśmy za młodzi. Nie wiedzieliśmy do końca, na czym to wszystko powinno polegać. Jest świetnym ojcem, ale na męża — przynajmniej dla mnie — zupełnie się nie nadaje. Zresztą już ułożył sobie życie z kimś innym, przecież wiesz.

Nie siedziały długo. Małgorzata miała poczucie winy, że nie potrafi skuteczniej wesprzeć Alicji w kryzysowej sytuacji, ale sama nie czuła się najlepiej. Zwierzania się przyjaciółce ze swoich kłopotów w ogóle nie brała pod uwagę.

Dojeżdżały na osiedle Alicji, kiedy matematyczka nagle się odezwała:

— Myślisz, że powinnam się zbadać?

Małgorzata rzuciła jej nierozumiejące spojrzenie.

— No, w kierunku HIV.

— Dlaczego? — spytała słabym głosem. Ręce na kierownicy w jednej chwili stały się zupełnie mokre.

— Wiesz, jaką Młoda ma przeszłość, a skoro jest w ciąży, to Wojtek spał z nią bez zabezpieczenia. Ze mną też kochał się bez gumki, biorę tabsy — wyjaśniła z właściwą sobie skrupulatnością.

— No, nie wiem, Alu. Chyba nie byłabym aż taką pesymistką — Małgorzata poczuła, jak stres zaciska jej gardło. Odkaszlnęła nerwowo.

— Jednak się zbadam. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. To na razie, kochana, dzięki za rozmowę. — Ala otworzyła drzwiczki. Stały już na parkingu. — Będziesz jutro na moich urodzinach?

— Jasne — Małgorzata w myślach uderzyła się w głowę. Kompletnie zapomniała o przyjęciu u Alicji. Będzie musiała jutro po szkole skoczyć po prezent. Nie miała na to najmniejszej ochoty, podobnie zresztą jak na udział w urodzinach. U Alicji zawsze było miło, ale z jej samopoczuciem nigdzie i z nikim nie będzie jej już miło. „I tak przez całe życie?” — przeraziła ją ta perspektywa. Jak długo będzie czekać na objawy i po jakim czasie uzna, że na pewno się nie zaraziła? Czy kiedykolwiek zyska taką pewność? — A może chciałabyś przełożyć? No wiesz, Kuba w szpitalu, Wojtek...

— Nie. Absolutnie — ucięła Alicja. Cmoknęła powietrze przy policzku Małgorzaty i energicznie wysiadła z samochodu.

Po prezent dla Alicji pojechała do galerii zaraz po pracy. Nie miała ochoty na włączenie się po centrum. Wciąż kiepsko sypiała i cały czas obsesyjnie rozmyślała o ewentualnym zakażeniu. Szczęście jej dopisało. Już w drugim sklepie znalazła to, czego szukała. Jesienny komin w ulubionym kolorze Alicji i broszka z bursztynem. Spakowała drobiazg do reklamówki, zapłaciła i wyszła. Nawet nie zerknęła na witrynę księgarni, nie wspominając o picciu w niej kawy.

Przed wyjściem na dyżur Marcin przygotował kolację. Zapiekanka makaronowa z dużą ilością mozzarelli była jak zawsze pyszna. Mąż zajmował się kuchnią rzadziej niż Alicja, ale miał w tym kierunku wyraźny talent. Mimo doskonałego smaku jedzenie i tak stało Małgorzacie w gardle. Parę razy trąciła potrawę widelcem i odstawiła talerz do lodówki. Wróciła do stołu i otworzyła laptopa. Od razu weszła na forum. Nie mogła się powstrzymać.

„Oceniała ryzyko” już chyba setny raz, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Cztery uderzenia, przerwa i znowu cztery. Takim kodem porozumiewały się z Anką jeszcze na studiach. Z niechęcią oderwała się od komputera i wyszła do przedpokoju.

Zanim otworzyła, odruchowo spojrzała do lustra. Błada, zmęczona cera, worki pod oczami. Wyglądała o dziesięć lat starzej.

Anka energicznie wkroczyła do mieszkania. Ubrana w sukienkę w grochy z gigantycznym dekoltem i słomkowy kapelusz, prezentowała się jak modelka. Razem z nią do środka wpadł zapach piżmowych perfum.

— Jezu, Gośka, czy ty w ogóle sypiasz w nocy? — Skrzywiła się na widok przyjaciółki.

— Tak jakby nie. Coś się stało? — spytała Małgorzata bez życia, wchodząc do kuchni za Anką, która już zdążyła rozsiaść się na krześle.

— Jestem, bo martwię się o ciebie! Widzę, że słusznie. Wyglądasz jak z krzyża zdjęta. — Przyjaciółka z głośnym zgrzytnięciem przysunęła krzesło do stołu i położyła łokcie na blacie. — Posłuchaj, mała. Nie rusz się stąd, dopóki mi nie powiesz, dlaczego tak się przejęłaś chorobą Redforda. To znaczy tą konkretną chorobą. Raka aż tak nie przeżywałaś. Myślałam o tym wczoraj. Boisz się, że cię zaraził? Spałaś z nim jeszcze później, tak? Kiedy byłaś już z Marcinem?

„Mogłam się tego spodziewać” — pomyślała Małgorzata. Przedwczoraj Anka była na rauszu, w dodatku chyba paliła z Mirkiem trawkę, dlatego zachowanie przyjaciółki nie wydało jej się podejrzanym. Na trzeźwo musiało dać jej do myślenia.

Zrezygnowana oparła się o kredens. Brnięcie w kolejne kłamstwa nie miało sensu.

— Mam rację? — Anka podniosła się i stanęła obok.

Małgorzata schowała twarz w dłoniach. Przyjaciółka objęła ją, a potem złapała za rękę i pociągnęła do stołu.

— Opowiadaj — nakazała.

Małgorzata wzięła papierosa z paczki Anki leżącej na stole i przyłożyła do niego drżącą rękę z zapalniczką. Zaciągnęła się nerwowo kilka razy.

— Tylko bez ściemy — zastrzegła przyjaciółka, idąc w jej ślady.

— Bez ściemy — potaknęła Małgorzata. Odkasznęła kilka razy i zaczęła mówić.

— Zabezpieczałaś się? — spytała Anka, gdy opowieść Małgorzaty wreszcie dobiegła końca. Przez cały czas milczała, raz po raz tylko potakiwaniem dodając przyjaciółce odwagi.

— Brałam pigułki. Wiesz, gin miał taką teorię...

Anka niecierpliwie machnęła ręką.

— Nie o to pytam. Używaliście gumek?

Małgorzata wolno pokręciła głową.

— Myślę, że powinnaś się zbadać — orzekła Anka po chwili milczenia.

— Sądzisz, że mogłam się zarazić? — Małgorzata poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Własne obawy wypowiedziane na głos przez przyjaciółkę zmroziły jej krew w żyłach.

— Nie, nie sądzę — zaprotestowała Anka z właściwą sobie gwałtownością. — Chodzi mi o to, że jeśli się nie zbadasz, zwariujesz. Szkoda, że nie użyłaś gumki. — Zgasiła papierosa. — Z tego Jareckiego to jednak niezły chujek.

— Chujek?

— Jak się ma tyle kobiet, trzeba się zabezpieczać.

Małgorzata spojrzała na Ankę zaskoczona. Nigdy nie rozmawiały na temat antykoncepcji, ale była przekonana, że przyjaciółka pochodzi do tego tematu lajtowo. To znaczy, owszem, dba o to, żeby nie zająć w ciążę, ale nie przejmuje się chorobami.

— A ty? Używasz prezerwatyw?

— Oczywiście. Nie mam ochoty złapać jakiegoś syfa — odpowiedź Anki nadeszła błyskawicznie.

Przyjaciółka przez moment nad czymś się zastanawiała.

— Posłuchaj, masz pięć minut, żeby się ogarnąć. Przyjechałam samochodem, za kwadrans będziemy w laboratorium — zaordynowała, podrywając się raptownie.

Małgorzata poczuła, jak z nerwów robi jej się niedobrze.

— Nie ma mowy! — zaprotestowała.

— Ja cię w ogóle nie pytam o zdanie! — zawołała Anka już z przedpokoju.

Kiedy Małgorzata wyszła tam za nią, stała gotowa do wyjścia, z torebką przewieszoną przez ramię.

— No, na co czekasz? — Uniosła wysoko brwi.

— Boję się. — Małgorzata oparła się o futrynę, zaplatając ręce na piersiach.

— Każdy by się bał, ale trzeba się przełamać. Odwaga to nie brak strachu, lecz robienie tego, czego się obawiamy, bez względu na lęk.

— Nie jestem odważna.

— Nie przegaduj się ze mną jak dzieciak. Nie musisz być odważna, po prostu zrób to cholerne badanie! — Anka rzuciła przyjaciółce sandały. — Chcesz do końca życia zadreć się podejrzeniami? Robisz to zaledwie od dwóch dni i już wyglądasz jak własny cień. Poza tym — potrząsnęła czarnymi lokami — nie przyszło ci do głowy, że bez względu na to, czy zrobisz badania, czy nie, fakty i tak są, jakie są? Przecież nie rozchorujesz się tylko dlatego, że sprawdzisz, czy jesteś chora!

Owszem, ale póki się nie zbada, może mieć nadzieję. Kiedy to zrobi, nie będzie już

odwrotu.

— Chyba mimo wszystko wolałabym nie wiedzieć.

— Małgośka, do cholery, ogarnij się! Zakładaj buty i do auta! Przestań być taką okropną czarnowidzką! To była przecież tylko jedna noc, parę numerków. Musiałabyś mieć prawdziwego pecha, żeby się zarazić! — Anka naprawdę się wściekła.

— Ja tego nie przeżyję. — Małgorzata przykucnęła z sandałami w dłoniach i zaczęła przeraźliwie szlochać.

Po chwili poczuła na swojej głowie miękką dłoń Anki.

— Małgoś, po prostu się zbadaj. Tylko tyle. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze... — głos przyjaciółki był równie delikatny jak dotyk jej ręki.

Małgorzata złapała Ankę za rękaw i przyciągnęła ją do siebie. Potem rozryczała się na dobre.

Marmurowe wnętrze katowickiego laboratorium nokautowało przepychem. To Małgorzata wymyśliła, żeby jechać do innego miasta. Nie chciała badać się w Piekarach. A co, jeśli okazałoby się, że jest zarażona? Nie wierzyła w moc tajemnicy zawodowej. Pewnie już następnego dnia pół miasta huczałoby od plotek, a kolejnego Baryła wręczyłaby jej wypowiedzenie.

Przekraczając próg budynku, wciąż zastanawiała się, jak to się stało, że się tutaj znalazła. Bardziej niż argumenty przyjaciółki przekonał ją jej upór. Anka była zdeterminowana, a Małgorzata, po kilkudziesięciu godzinach permanentnego stresu, po prostu nie miała siły się bronić.

Przed kontuarem recepcjonistki stała kilkuosobowa kolejka. Mężczyzna w staromodnym kapeluszu, chłopak z włosami do pasa, atrakcyjna brunetka z tatuażem na kostce. Ogonek wieńczyła zaokrąglona sylwetka ciężarnej blondynki. Stając za nią, Małgorzata zaczęła się zastanawiać, czy któraś z tych osób czuje taki sam strach jak ona. Czy jest w tej kolejce ktoś, kto przyszedł zbadać się w kierunku nosicielstwa. A jeśli nawet? To przecież jeszcze nic nie znaczy. Nie wszyscy są idiotami uprawiającymi seks bez zabezpieczenia z pieprzonymi bawidamkami i teraz muszą trząść się ze strachu.

— Tak? — Wyniosła blondynka podniosła na nią oczy okolone ciężkimi od tuszu rzęsami.

— Chciałabym zrobić badania na HIV — głos Małgorzaty zabrzmiał cicho i niepewnie.

— Czego? — Pielęgniarka skrzywiła się nieznacznie, stukając w klawiaturę tipsami.

Spłoszona Małgorzata rozejrzała się po poczekalni. Poza Anką siedzącą na kanapie przy drzwiach w jasno oświetlonym pomieszczeniu znajdowała się tylko ciężarna blondynka. Facet w kapeluszu i brunetka z wytatuowaną różą odebrali już swoje wyniki i wyszli, długowłosego chłopak chyba wszedł do gabinetu.

— HIV — powiedziała głośniej.

— Aha. — Na umalowaną twarz recepcjonistki wypłynął ironiczny uśmiezek. — HIV — powtórzyła, po czym sięgnęła po długi pomarańczowy pasek papieru i coś na nim zaznaczyła.

Rumieńce rozgrzały Małgorzacie policzki.



— Chciałabym — przełknęła głośno ślinę — chciałabym zrobić to badanie anonimowo.

Myślała o tym przez całą drogę do Katowic. Nie wiedziała, jakie są procedury. Czy pozytywne wyniki są od razu przesyłane do Sanepidu? Czy ktoś może je ujawnić osobom trzecim, na przykład pracodawcy? A nawet jeśli tak to nie działa, to skąd może mieć pewność, że prawda nie wyjdzie na jaw?

Blondynka podniosła głowę znad klawiatury.

— Oczywiście, może pani zrobić badania anonimowo, w miejscu nazwiska wpiszę wtedy numer, tylko czy nie będzie się pani później zastanawiała, czy ktoś nie pomylił cyferki? — Opierścieniona dłoń zawisała w powietrzu. — Nie musi się pani obawiać podania swojego nazwiska. Wyniki dostanie pani do rąk własnych. Poza pracownikami laboratorium, których obowiązuje tajemnica służbowa, nikt inny nie będzie miał w nie wglądu.

Małgorzata poszukała wzrokiem Anki, która pochylona nad smartfonem zawzięcie z kimś korespondowała. „Co za cholerna niesprawiedliwość!” — przemknęło jej przez myśl. Anka, sypiająca z kim popadnie, spokojnie wysyła sobie esemesy, a ona, której zdarzył się tylko jeden, jedyny skok w bok, jedna głupia nieostrożność, umierała ze strachu i wstydu, bo być może była nosicielką śmiertelnego wirusa. „No tak, tylko że Anka, w odróżnieniu od ciebie, kretynko, jest rozsądna i przewidująca” — wewnętrzny krytyk szybko znalazł ripostę na te żale.

— No dobrze, niech będzie z nazwiskiem — skapitulowała. Może faktycznie martwiłaby się później, czy ktoś nie pomylił wyników.

— Wyniki będą do odbioru jutro rano. Mamy czynne od siódmej.

— Zobaczysz, na pewno wszystko będzie dobrze. — Anka poczęstowała Małgorzatę papierosem. Stały obok samochodu, w samym centrum zakorkowanych Katowic. Przyglądając się przechodniom, z których co drugi miał przy uchu telefon, Małgorzata pomyślała, że współczesne technologie tylko pozornie zbliżają ludzi. Tak naprawdę alienują ich. Od świata i siebie samych.

— Przekonamy się jutro — odpowiedziała sceptycznie. Musiała jednak przyznać, że po badaniach poczuła się spokojniejsza. Teraz nie było już odwrotu. Klamka zapadła. Może faktycznie wszystko jest lepsze od niepewności?

— Wiesz, on się do mnie wciąż nie odzywa — powiedziała Anka, kiedy wsiadały już do samochodu. Z klimatyzatora dmuchnęło im w twarz zimnym powietrzem.

— Kto?

— Robert. — Anka rzuciła przyjaciółce spojrzenie pełne wyrzutu, jakby martwienie się milczeniem pana dentysty było w jej przypadku czymś oczywistym.

— A, Robert. Może się obraził.

— Obraził? On? Nie żartuj!

— Niezły mu numer wywinęłaś z tym barmanem...

— Oj, przestań. Robiłam gorsze rzeczy i się nie obrażał. A jeżeli coś sobie zrobił? — zapytała niepewnie. Naprawdę się martwiła, a jednak jej mina bardziej Małgorzatę bawiła, niż niepokoiła.

— Znaczący popełnił samobójstwo?

— No.

— Nie żartuj. To rozsądny facet. Tacy się nie wieszają. — Małgorzata naciągnęła pas i wpięła go w uchwyt. — A może po prostu do niego zadzwonisz, skoro tak się martwisz? — Uśmiechnęła się chytrze.

Ance zrzędała mina.

— Już dzwoniłam. Parę razy. — Przekręciła kluczyk w stacyjce.

— I co?

Przyjaciółka rzuciła za siebie szybkie spojrzenie i z piskiem opon wyjechała na ulicę.

— No, jak co? Nie odebrał — odpowiedziała minorowym głosem, kiedy stały w kordonie samochodów, czekając na zmianę świateł.

— Może chce cię przetrzymać? Pisał, przysyłał kwiaty, dzwonił — nie działało. Może teraz dla odmiany postanowił milczeć?

— Może. — Anka nie wyglądała na przekonaną.

Małgorzata przekręciła gałkę radia, z którego popłynęła rockowa ballada. Uśmiechnęła się pod nosem. No, proszę, Anka martwiąca się o faceta. Takiej jej jeszcze nie znała!

— Chcesz, żebym jutro pojechała z tobą? — Anka stanęła w zatoczce dla autobusów. Parking przy bazylice był zapchany do granic możliwości, chodnik po drugiej stronie ulicy także. Odkąd zlikwidowano parkomaty, znowu w godzinach szczytu nie można było znaleźć nawet wąskiego skrawka chodnika.

— Nie, dam sobie radę — odpowiedziała Małgorzata trochę wbrew sobie. Z Anką na pewno byłoby jej różniej, ale przecież nie może w nieskończoność pozwalać się niańczyć. Już i tak czuła się z tą swoją bezradnością jak kretyńka.

— No, dobrze. — Anka wyłączyła silnik. — Tylko zadzwoń do mnie od razu, jak będziesz coś wiedzieć. Musimy to oblać.

— O ile będzie co oblewać — zastrzegła Małgorzata i poczuła przebiegający po plecach dreszcz. — A poza tym nie ściemniaj, przecież pamiętam, że jutro wylatujesz do Norwegii — dodała, myśląc, że dałaby wszystko, by znaleźć się teraz na miejscu przyjaciółki.

— No przecież ja tego samolotu nie będę prowadzić, drinka mogę wypić przed. Przyda się na odwagę.

— Uciekam, Aniu. — Małgorzata szybko wysiadła z samochodu, bo dostrzegła już autobus stojący na światłach. Jeśli Anka nie ruszy, za chwilę wkomponuje się w tył jej jeepa.

Przyjaciółka kompletnie nie przejęła się tym zagrożeniem. Jak gdyby nigdy nic wyszła z samochodu, po czym przyciągnęła Małgorzatę do siebie. Jej zapach był kojący i znajomy.

— Trzymaj się, kochana.

— Dziękuję — odparła Małgorzata zduszonym głosem i ruszyła w kierunku pasów. Piątka już podjechała na przystanek. Zatrzymała się jednak i czekała, aż Anka ruszy. No tak, urok osobisty przyjaciółki działał nawet na kierowców autobusów.

Na chodniku przed bazyliką Małgorzata dostrzegła młodą parę. Dziewczyna była

szczupła, ale z wyraźnym brzuszkiem, chłopak wyglądał na małolata. Mimo to sprawiali wrażenie bardzo zakochanych. Poczwała ogarniające ją wzruszenie. Gdyby tak mogła zacząć wszystko od początku. Znowu mieć dwadzieścia parę lat... Zresztą nie musiałyby cofać się aż tak daleko. Wystarczyłoby do trzydziestki. Tamtego wieczoru nie zeszłyby do baru, nie zamówiła drinka, a może w ogóle nie wyjechała sama do Sandomierza. „Jak wyglądałoby moje życie bez poczucia winy, bez tajemnic i lęku?” — zastanawiała się, mijając młodych ludzi wstępujących dziarskim krokiem na kościelne schody. Niestety, nigdy nie pozna już odpowiedzi na to pytanie.

Kiedy wróciła do domu, dochodziła osiemnasta. Miała niewiele czasu, żeby przebrać się przed wyjściem do Alicji. Była pełna podziwu dla przyjaciółki, która mimo niedawnych przejść z Kubą i aktualnych problemów z Wojtkiem nie zrezygnowała ze swoich planów.

Alicja nigdy nie zapraszała na swoje imprezy rodziny. Nigdy też nie było do końca wiadomo, kto weźmie w nich udział. Poza garstką stałych gości zawsze pojawiał się ktoś nowy. W odróżnieniu od Małgorzaty, która uważała, że przyjaźnie zawiązuje się we wczesnej młodości, kiedy jesteście ufni i otwarci, Alicja była zdania, że zaprzyjaźniać się na śmierć i życie można na każdym etapie życia.

Na osiedle Sowińskiego dotarła swoim zwyczajem spóźniona o kwadrans. Przyjechała taksówką. Miała ochotę się napić. Nadal była w dobrym nastroju. Od powrotu z Katowic, zamiast mnożyć czarne scenariusze, próbowała ze wszystkich sił przekonać samą siebie, że to niemożliwe, by złapała HIV. Po pierwsze, jedna noc to faktycznie mało. Często do zarażenia nie dochodzi nawet po kilkunastu stosunkach. Po drugie, nie miała żadnych objawów, żadnej obniżonej odporności. Po trzecie, nie mogła być chora, bo... po prostu nie mogła być chora! Mimo całego zła, które spotkało ją w życiu — mimo wypadku, który zabrał jej, wówczas dwunastoletniej, ukochaną mamę, mimo raka, który siedem lat później zabrał jej ojca — w głębi duszy mocno wierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę.

— Jestem ostatnia? — zapytała, kiedy przyjaciółka otworzyła jej drzwi.

— Jak zawsze — potwierdziła Alicja, wciągając ją do środka.

Ciasne mieszkanie wypełniał zapach pomarańczowych świec. Z wieży sączył się zachrypnięty głos Cesarii Evory. Patrząc na matematyczkę, nikt nie zorientowałby się, jak wiele nieszczęść spadło na nią w ostatnim czasie. W czarnej koronkowej sukience, z włosami gładko szczesanymi nad czoło Alicja prezentowała się intrygująco. Nie wyglądała na nauczycielkę. Na matkę prawie dorosłego chłopaka tym bardziej. Naprawdę trudno było uwierzyć, że Wojtek mógł ją zdradzić z kimś takim jak Młoda. Alicja była kwintesencją kobiecości. Mądrej, dojrzałej kobiecości, zostawiającej dzierlatki w typie nowej kochanki Wojtka daleko w tyle. Przynajmniej zdaniem Małgorzaty, której dojrzałe kobiety podobały się znacznie bardziej niż dwudziestolatki. Podobały czysto estetycznie. Nie miała w sobie ani grama erotycznego zainteresowania osobami tej samej płci. Kiedyś poszła na wykład znanej polskiej psycholożki, autorki wielu książek i felietonów. To, co ją uderzyło, to uroda kobiet, które uczestniczyły w wykładzie razem z nią. W większości były to panie grubo po czterdziestce, ale zadbane, świetnie ubrane, no i ta mądrość w oczach. Gdyby była facetem i ktoś kazał jej wybierać między taką kobietą a studentką,

nie miałyby najmniejszych problemów z podjęciem decyzji.

Małgorzata dała Alicji prezent i uściskała ją serdecznie.

— Żeby było dobrze — nie rozwodziła się nad życzeniami.

— Dzięki. Chodź do pokoju. Nie, nie, nie zdejmuj butów — zaprotestowała, kiedy Małgorzata schyliła się, żeby zdjąć sandały.

— Okej — uszanowała życzenie jubilatki, choć jej drobnomieszczańska dusza bardziej od własnej wygody kazała cenić wysiłek innych.

Pokój był pełen ludzi. Towarzystwo siedziało na miękkich poduchach wokół niskiego stolika i zajadało się wegańskimi przysmakami gospodyni. Na stole królowały ulubione kotlety Małgorzaty z kaszy jaglanej i czerwonej soczewicy oraz kilka rodzajów warzywnych sałatek. Na deser Ala zaserwowała ciasteczka lawendowe z kawałkami białej czekolady i suszone morele. Kiedyś Małgorzata spytała ją, dlaczego została weganką. Oczekiwała wykładu na temat tego, jak potrawy pozbawione odzwierzęcego białka świetnie wpływają na zdrowie i kondycję, tymczasem okazało się, że przyjaciółce chodziło wyłącznie o empatię wobec zwierząt.

— Są nieludzko traktowane, mają koszmarne życie, a potem jeszcze giną w męczarniach. Nie zamierzam dawać na to przyzwolenia. Chcesz zmienić świat, zacznij od siebie — zakończyła swój wywód z filozoficznym przytupem.

Małgorzacie los zwierząt także nie był obojętny. Odkąd dowiedziała się, jak traktuje się krowie dzieci, nie zdarzyło jej się kupić cielęciny, jajka zaś wybierała zawsze od „szczęśliwych” kurek, drób jednak jadała, wieprzowinę i ryby, poza pangami, także. Uważała, że w spożywaniu mięsa nie ma niczego złego. Problem stanowią ludzie. Ich bezduszna chęć szybkiego zysku, która sprawia, że skazują bezbronne istoty na niepotrzebne cierpienie.

Tuż przy drzwiach siedział Mariusz — pierwszy chłopak Alicji, z którym wciąż pozostawała w przyjacielskich relacjach. Małgorzata znała go bardzo dobrze, bo spotykali się nie tylko przy okazji urodzin przyjaciółki. Choć dawny narzeczony miał już żonę i dwójkę dzieci, bywał w domu Alicji tak często, że odwiedzając ją, Małgorzata od czasu do czasu na niego wpadała. Był obłędnie przystojny, wysoki, opalony, o białych jak śnieg, równych zębach. Marzenie dziewięćdziesięciu dziewięciu procent kobiet, jak podsumowała kiedyś jego urodę matematyczka. Mariusz chyba zdawał sobie sprawę z własnej atrakcyjności, bo bywał nieco zarozumiały. Ala wspominała, że ma na koncie sporo romansów. Na pytanie Małgorzaty, czy i ją coś z nim w ostatnim czasie łączyło, Alicja odpowiedziała, że owszem, Mariuszowi parę lat temu marzyła się powtórka z rozrywki, ale ona brzydziłaby się być z nim po tych wszystkich kobietach. Poza tym nie wyobrażała sobie, że mogłaby zrobić to jego żonie. Nie przepadała za Anastazją, która była równie sztywna jak jej imię, ale zawsze starała się być w porządku wobec innych ludzi. Nawet tych nieszczególnie sympatycznych.

Mimo rozlicznych wad przyjaciela Alicji dało się lubić. Może dlatego, że był też piekielnie inteligentny, potrafił zajmująco mówić i — co rzadkie w dzisiejszych czasach — także słuchać. Małgorzacie Mariusz przypominał trochę Jareckiego, choć Krzysztof na jego tle wypadł lepiej. Był dojrzalszy i mniej skupiony na sobie.

Obok wylegiwał się Piotr — nieco ekscentryczny kolega Alicji ze studiów,

zapalony taternik i bibliofil. Małgorzata nie знаła osoby bardziej czytanej niż on. Szczupły i wysoki, wyraźnie ustępował jednak atrakcyjnością Mariuszowi. Miał miłą, lecz pospolitą twarz. Typowy introwertyk, zyskiwał przy bliższym poznaniu. Małgorzata lubiła z nim rozmawiać, tym bardziej że dzielili tę samą pasję. Podobieństwo temperamentów również miało znaczenie. Z upływem lat gadatliwi ludzie coraz bardziej działali Małgorzacie na nerwy.

Na szerokiej poduszce pod oknem usiadła po turecku Grażyna — koleżanka jubilatki z pierwszej pracy. Małgorzata nie rozumiała, co Alicja w niej widzi. Niska brunetka, przypominająca z urody Vivien Leigh, była patologicznie drobnomieszczańska. Rozwiodła się pięć lat wcześniej, bo mąż znalazł sobie kochankę, której od razu zrobił dziecko. Grażyna, gorliwa katoliczka, wciąż uważała się za jego żonę, w związku z czym postanowiła, że do końca życia będzie sama.

— Kolejny związek to byłby ciężki grzech. Nie mogłabym przyjmować komunii — tłumaczyła, kiedy ze dwie imprezy wstecz poruszyły z Małgorzatą ten temat.

Małgorzacie od razu przypomniała się rozmowa z ciotką Leną, siostrą mamy, która rozwódka została jeszcze wcześniej, bo w wieku trzydziestu jeden lat. Na którychś urodzinach zaczęła mówić o tym, że chciałaby jeszcze ułożyć sobie życie, spotkać jakiegoś faceta, zakochać się, na co Małgorzata, wówczas dziesięcioletnia, z głową wypełnioną wyniesionymi z lekcji religii komunałami, zareagowała oburzeniem:

— Ciociu, ale przecież tak nie wolno!

I ciotka, ta jej dobra, wyrozumiała ciotka, której nigdy nie zdarzyło się skrytykować siostrzenicy, jej przyjaciółka i „kożelanka”, jak się żartobliwie nazywały, grywając godzinami w chińczyka, odparowała ze złością:

— Pogadamy, smarkulo, jak dorośniesz!

„Dorośłam, ciociu, i rozumiem” — myślała czasem Małgorzata. „Tylko nie mam się już z kim tym zrozumieniem podzielić...”

Stosunek Małgorzaty do religii był ambiwalentny. Nigdy nie powiedziałaaby o sobie: ateistka, bo jednak wierzyła w Boga, a przynajmniej w jakąś energię, ducha. Jakąś. Niekoniecznie katolicką. W Kościele drażniły ją te wszystkie nakazy i zakazy, czasem zupełnie bezsensowne, a nade wszystko utrzymywanie wiernych w permanentnym poczuciu winy. Co ciekawe, ci, którzy z takim zapamiętaniem głosili religijne zasady, często sami żyli w kłamstwie, żeby nie powiedzieć permanentnym zakłamaniu. Małgorzata do dziś pamiętała szok, jakiego doznała, kiedy zobaczyła proboszcza ze swojej parafii, jak z jakąś wyfiokowaną pańcią spaceruje pod rączkę po Wiśle. Miała wtedy piętnaście lat i obrazek, który teraz skwitowałaby wzruszeniem ramion: „Ot, człowiek”, wtedy wbił ją w ziemię. Może to właśnie w czasie tamtej wycieczki straciła wiarę?

Parę młodych ludzi skulonych na karimacie Małgorzata widziała pierwszy raz w życiu, ale od razu domyśliła się, że to Ewa i Rafał, poznane przez Alicję parę miesięcy temu małżeństwo katowickich restauratorów. On nawet trochę się w Alicji podkochał, próbował ją podrywać. Alicja — jak to Alicja — poradziła sobie z tą kwestią koncertowo. Wciąż pozostawała w dobrych stosunkach z mężem, któremu jednak wybiła z głowy amory, a jednocześnie udało jej się zaprzyjaźnić z żoną. Małgorzacie było trochę żal

kobiety, ale może niesłusznie? Może i ona, tak jak mąż, miała na sumieniu jakieś swoje zauroczenia czy małe zdrady?

Kiedy stanęła w drzwiach pokoju, towarzystwo rozplętało się właśnie nad kuchnią Alicji, co było zresztą stałym punktem programu na imprezach przyjaciółki. Małgorzata usiadła na jedynym wolnym pufie, tuż obok Mariusza, i poczuła, jak spływa z niej cały stres. Ciepły wystrój pokoju, z dziesiątkami małych lampek i świec, wchłonął ją zupełnie, odsuwając w jednej chwili wszystkie czarne myśli.

Jedli, gadali, słuchali muzyki i było naprawdę sympatycznie. Mariusz opowiadał o swoich przygodach na kajakach, Grażyna barwnie mówiła o wczasach na Krecie, dokąd wybrała się na wycieczkę z nastoletnią córką, małżeństwo kucharzy dzieliło się natomiast doświadczeniami związanymi z otwieraniem restauracji.

— Najważniejsze są świeże produkty — przekonali. — Nawet w zwykłej zupie można wyczuć kiepskiej jakości marchewkę. I broń Boże żadnych mrożonek!

— Czyli gotujecie wszystko na świeżo? — dziwił się Mariusz.

— Tak! Wyłącznie.

Choć takie postępowanie wydawało się Małgorzacie kompletnie nieracjonalne, najwyraźniej w przypadku tych dwojga dobrze się sprawdzało, bo z tego, co mówiła Alicja, restauracja Beatris była jedną z lepiej prosperujących knajp w Gliwicach.

Zdawało się, że Alicja jest w niezłym nastroju, choć Małgorzata przyłapała ją parę razy, jak zamyślona wpatrywała się w okno. Zaproponowała przyjaciółce, że pomoże jej w przygotowaniu ciepłej kolacji, i wyszła z nią do kuchni. Tam Ala kompletnie się rozkleiła.

— Wojtek zadzwonił z życzeniami rano, chciał przyjść na imprezę, no wiesz, wcześniej był na nią zaproszony, ale się nie zgodziłam. A teraz tak mi potwornie smutno. — Schowała twarz w dłoniach.

Małgorzata milczała, poklepując ją po ramieniu. Do głowy przychodziły jej same frazesy, więc wołała się nie odzywać.

— Pamiętasz moje ostatnie urodziny? Pamiętasz, jaki mi przyniósł piękny bukiet róż? — Przyjaciółka łkała dalej, rozmazując sobie makijaż.

Małgorzata nie pamiętała, ale czy to ważne? Była zaskoczona i zasmucona nagłym wybuchem przyjaciółki. A jednak emocje w końcu doszły do głosu... Być może za sprawą trzech lampek wina, które Alicja zdążyła wypić od początku imprezy.

W ciemnej kuchni, patrząc na zapłakaną przyjaciółkę, Małgorzata poczuła, jak cały jej dobry nastrój trafia szlag. Kwadrans później, wchodząc za Alicją do pokoju z półmiskiem dymiących sajkonek w rękę, nie miała już żadnych wątpliwości, że jutrzejsze wyniki badań okażą się pozytywne!

Została jeszcze godzinę, po czym, wymawiając się kiepskim samopoczuciem, oświadczyła, że musi się zbierać. Grażyna, też skarżąc się na zmęczenie, postanowiła wyjść razem z nią.

— Może cię podrzucę — zaproponowała Małgorzacie, gdy znalazły się przed blokiem.

— Dziękuję. Mam ochotę się przejść — Małgorzata doceniała gest Grażyny, ale rozmowa o dupie Maryni w jej wypucowanym do bólu tico była ostatnim, czego w tej

chwili potrzebowała.

Kiedy parę minut po dziesiątej stanęła w drzwiach mieszkania, powitał ją smakowity zapach jajecznicy na boczku. Odmówiła, gdy mąż zapytał, czy z nim zje. Była tak napchana wegańskimi specjałami Alicji i gruzińskim winem, że jeszcze w czasie imprezy musiała dyskretnie odpiąć guzik przy spodniach.

Próbując się zrelaksować, weszła do wanny z książką i spędziła w pachnącej pianie tyle czasu, że kiedy wróciła z łazienki, mąż rozkładał już narożnik.

Znów powrócił do niej dobry nastrój. Czy to dzięki Marcinowi, który patrzył na nią w taki sposób, że trudno było uwierzyć, iż to wszystko za chwilę może się skończyć? Może za sprawą światła nocnej lampki, które zawsze działało na nią kojąco? A może po prostu w swoim falowaniu — góra, dół — ponownie się znalazła na górze?

Marcin też sprawiał wrażenie zrelaksowanego. Stał przed nią w samych bokserkach, a Małgorzata poczuła, jak ogarnia ją pożądanie. Uśmiechnęła się prowokująco, po czym szybko zdjęła koszulkę nocną. Chciała się zapomnieć, chciała choć przez chwilę poczuć się jak dawniej — beztroska i bezpieczna.

— Prezerwatywy? — Marcin spojrzał zaskoczony na kolorowe pudełko, które włożyła mu do ręki. Kupili je parę miesięcy wcześniej, nie pamiętała, z jakiego powodu. Starając się o dziecko, z reguły się nie zabezpieczali. Teraz jednak nie chciała kochać się bez gumek. Jeśli była nosicielką od kilku lat, prawdopodobieństwo, że Marcin się nie zaraził, było równe zeru, ona jednak wolała dmuchać na zimne. Zafundowanie mężowi HIV tego wieczoru byłoby prawdziwą ironią losu.

— Mam chyba jakąś infekcję — skłamała.

— Przecież byliśmy u gina.

— No tak, ale dziwnie się czuję.

— Ależ mnie zachęciłaś! — zaśmiał się Marcin ironicznie, wcale jednak nie zamierzając rezygnować ze swoich planów.

Było inaczej, niż się spodziewała. Początkowe podniecenie szybko wyparowało. Co gorsza, cały czas chciało jej się płakać. Przed oczami, niczym niemy film, przesuwały się migawki z Sandomierza. Marcin pieścił jej piersi ustami, a ona, zamiast jego ciemnej głowy, miała przed oczami jasne, gęste włosy Krzysztofa. Dziką namiętność zastąpiły poczucie winy, wstyd i strach. Znowu paralizujący, podsuwający najgorsze scenariusze. Owszem, spędziła z Jareckim tylko jedną noc, ale kochali się kilka razy, wymienili hektolitry płynów ustrojowych, z których każda kropla niosła śmiertelne niebezpieczeństwo.

Po wszystkim Marcin przytulił ją mocno. Miał spocone czoło i oddychał głęboko jak nurek, który wypłynął na powierzchnię po kilku godzinach pod wodą.

— Jesteś wspaniała. Naprawdę niezemska — szepnął, a ona ucieszyła się, że jest ciemno i nie może zobaczyć płynących po jej policzkach łez.

Miała piękny sen. Ukwiecona łąka, błękitne niebo, długa droga otoczona szpalerem jarzębin. W sielankowym pejzażu od razu rozpoznała Giebło — wieś, w której jako mała dziewczynka co roku spędzała wakacje. Całymi godzinami włóczyły się z Basią, rówieśniczką z domu naprzeciwko, po polach i lasach, wracając tylko na obiady. Koleżanka też musiała się przyśnić Małgorzacie, bo po przebudzeniu wciąż miała ją przed oczami — niską, drobną czarnulę z sięgającym pupy warkoczem, w który latem zawsze wplatała polne kwiatki. Ich przyjaźń zaczęła się rwać, kiedy zmarła mama Małgorzaty i dziewczyna przestała przyjeżdżać do Giebła na wakacje. W liceum spotkały się chyba dwa razy. Raz Małgorzata pojechała PKS-em do Zawiercia, raz Basia przyjechała pociągiem do Tarnowskich Gór. Pisały do siebie listy, ale nie było to już to samo co kiedyś. Brakowało bezpośredniego kontaktu, długich rozmów. A może chodziło o to, że przestały do siebie pasować? Basia wciąż miała pełną rodzinę, psychicznie była beztroską dziewczynką, Małgorzata zaś od dawna już nie była dzieckiem. Kontakt urwał się ostatecznie w klasie maturalnej, tuż przed śmiercią ojca Małgorzaty. Ostatni list, jaki Małgorzata dostała od Basi, to była kartka urodzinowa dołączona do grubego tomu *Anny Kareniny*. Na podziękowania koleżanka już nie odpisała. Czy Małgorzacie było przykro? Początkowo tak. Po jakimś czasie zrozumiała jednak, że ludzie pojawiają się w naszym życiu, a potem z niego znikają i często nie ma w tym niczyjej winy. Nie można zatrzymać przy sobie wszystkich, których się kiedykolwiek kochało...

Po przebudzeniu pomyślała, że ten sen to znak. Dobry znak, skoro śniło jej się miejsce, w którym była szczęśliwa. Cieszyła się, że ma tylko trzy lekcje i będzie mogła szybko pojechać do laboratorium. Zastanawiała się, czy nie odebrać wyników jeszcze przed szkołą, w końcu Eskulap był otwarty od siódmej, bała się jednak, że utknie w korku i nie zdąży na lekcje. Baryła, wciąż obmyślająca zemstę za ostatnią „bumelkę”, na pewno nie puściłaby jej płazem kolejnego spóźnienia.

Wchodząc do pokoju nauczycielskiego, Małgorzata od razu natknęła się na Alicję, która po parodniowym urlopie wróciła już do pracy. Stała oparta o szafkę z dziennikami i rozmawiała z Młodą. Małgorzata odruchowo spojrzała na brzuch dziewczyny, ale niczego tam nie zauważyła, nawet niewielkiego pagórka. „Może na tym etapie jeszcze nic nie widać?” — przemknęło jej przez myśl. Skąd miała wiedzieć? Przecież nigdy nie była w ciąży...

Kiedy usiadła przy stoliku, obie kobiety zamilkły. Młoda wysmarkała głośno nos i szybkim krokiem wyszła na korytarz.

— Co jest? — Małgorzata rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie.

— Biedna mała. — Ala skrzywiła usta. Zza okna dochodziły krzyki chłopaków z IIb. Pogoda była pod psem, ale wuefista ich nie oszczędzał. Robili kółka aż miło.

— Żal ci jej? Po tym, co ci zrobiła? — Małgorzata nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

— Nic mi nie zrobiła — zaprzeczyła Alicja gwałtownie. — Jeśli ktoś zachował się nie w porządku, to na pewno nie ona.



Małgorzata tylko pokręciła głową. Najwyraźniej przyjaciółka postanowiła wziąć się w garść. Godne podziwu, ale czy zdrowe? Pieprzone siłaczki. Alicja, ona... Kretynki, które prędzej umrą, niż przyznają się, że coś idzie nie tak.

— O co się maże? — zapytała niechętnie. Wraz z ujawnieniem romansu dziewczyny z historykiem cała jej sympatia do niej uleciała. Alicja mogła odgrywać Matkę Teresę, ale Małgorzata i tak wiedziała swoje. Młoda zachowała się perfidnie. Wiedząc, że Ala jest z Wojtkiem, bez najmniejszych skrupułów poszła z nim do łóżka. A teraz, jakby tego było mało, ma czelność wypłakiwać się na ramieniu skrzywdzonej rywalki.

— Baryła wezwała ją na dywanik. Powiedziała, że z zasady nie zatrudnia panien z dzieckiem, więc Młoda ma się przygotować na zwolnienie — wyjaśniła Alicja.

— Nie żartuj! — mimo niechęci do dziewczyny Małgorzata aż podskoczyła z oburzenia.

— Nie żartuję. I wiesz, ona chyba może tak zrobić.

— Myślisz?

— No przecież w Karcie Nauczyciela istnieje zapis o tym, że nauczyciele powinni być wzorem dla młodzieży. A co to za wzór — panna z dzieckiem? Przynajmniej dla takiej świętoszki jak Baryła.

Małgorzata pokiwała głową. Faktycznie, zapisy w nauczycielskich dokumentach wymagały od pedagogów moralnej nieskazitelności. Kilkadziesiąt lat temu nauczycielki nawet nie mogły wychodzić za mąż, a jeśli to zrobiły, zmuszane były do rezygnacji z zawodu. Miała wrażenie, że ludzie pokroju Baryły czy Makiety do tej pory wyobrażały sobie ciało pedagogiczne właśnie w taki sposób.

— Może w związkach jej pomogą — odezwała się Alicja.

— Albo Wojtek się z nią ożeni — dodała Małgorzata z kwaśną miną.

Ala odpowiedziała równie kwaśnym uśmiechem.

— Nie wydaje mi się. Młoda też nie ma złudzeń. Biedactwo. Chyba się zakochała...

— Mnie się wydaje, że w tej całej sytuacji to ty jesteś biedactwem.

Alicja machnęła ręką.

— Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy pojawia się niechciana ciąża, a ty nie masz w nikim oparcia. Wiesz, jaką aferę zrobiła moja matka, kiedy się dowiedziała? Młoda też dostała mocno po głowie od mamusi.

— Mamusi — prychnęła Małgorzata. Kolejna dziewczynka z nieodciętą pępowiną.

— Ech, nic nie rozumiesz.

— Rozumiem, Alu, tylko uważam, że jesteś ostatnią osobą, która powinna angażować się w tę sprawę.

— A może zorganizowałabym jej spotkanie z prawnikiem ze związków? — Alicja sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała ani jednego słowa z tych, które Małgorzata przed chwilą wypowiedziała. — Moja koleżanka z poprzedniej pracy jest wiceprezeską w naszym mieście.

Małgorzata spojrzała na nią jak na kosmitkę.

— Alicja, ty naprawdę nie czujesz żalu? — Nie mogło pomieścić jej się w głowie, że można tak szybko wybaczyć. I nie czuć małej, najmniejszej nawet satysfakcji, że

człowiekowi, który nas skrzywdził, powinęła się noga. Czy przyjaciółka faktycznie była tak wielkoduszna, czy raczej grała taką, próbując za wszelką cenę zachować twarz?

Nie była pewna, czy Alicja ją usłyszała, bo właśnie zadzwonił dzwonek na lekcję. Matematyczka zerwała się i zdejmując po drodze dziennik z półki, szybkim krokiem wyszła na korytarz.

Małgorzata miała tylko trzy lekcje. Jedną z IIc, jedną z Ib i zajęcia indywidualne z chłopcem z niedosłuchem. IIc — jeden chłopak i dwadzieścia dziewczyn. Wydawałoby się — idealna sytuacja. Zero agresji, docinków, męskich przepychanek. Prawda wyglądała niestety zupełnie inaczej. Intrygi, kłótnie i dręczenie były w tej klasie na porządku dziennym. Małgorzata nie potrafiła tego pojąć. Większość tych dziewczyn to były dzieciaki z tak zwanych dobrych domów. Prywatne lekcje języka angielskiego, japońskiego, jazda konna, gimnastyka artystyczna, balet... Korepetycje ze wszystkich przedmiotów. Małgorzata miała wrażenie, że uczennice posiadały wszystkie możliwe umiejętności. Z wyjątkiem jednej, najważniejszej — empatii. Czego zabrakło? Rozmów z rodzicami? Czasu na nie? Lektur, z których mogłyby czerpać dobre wzorce?

Dziś na tapecie mieli *Romantyczność* Mickiewicza, czyli sztandarowe cechy romantyzmu. Temat nudny do bólu, więc trzeba się szczególnie postarać, żeby lekcja wypadła ciekawie. Małgorzata podzieliła dzieciaki na grupy i rozdała im karteczki z instrukcjami. Musieli określić świat przedstawiony, bohaterów i wyszukać w tekście fragmenty będące manifestem romantycznych poglądów. Uczniowie lubili pracę w grupach. Lekcje stawały się wtedy luźniejsze, można było przemycić parę zdań nie na temat.

Na przerwie została w klasie. Nie miała ochoty na prowadzenie powierzchownych rozmów. Usiadła przy biurku i przez kwadrans wpatrywała się w kobietę myjącą okno w domu po drugiej stronie ulicy. Była drobna, dobrze po pięćdziesiątce, ale zadbana. Kolorowa tunika i włosy pofarbowane na wściekle rudy kolor odejmowały jej lat. Małgorzata patrzyła na nią, jak uwija się w przy oknie, planując pewnie odpoczynek z kawą przy ulubionym serialu, i poczuła piekącą zazdrość. Czy ona jeszcze kiedyś będzie się czuła tak jak ta kobieta? Czy choć przez moment doświadczy podobnej beztroski?

Postanowiła pojechać do Katowic autobusem. Była rozbita i niewyspana, poza tym coraz bardziej się denerwowała. Z każdą minutą strach stawał się większy i kiedy po godzinie jazdy wysiadła na przystanku, była jak sparaliżowana. Dzień straszyl chmurami i wiatrem. W powietrzu czuć było nadchodzącą jesień. Małgorzata założyła tylko cienki żakiet i chłód przenikał ją aż do kości.

Na widok laboratorium poczuła tak silny skurcz żołądka, że postanowiła zapalić papierosa, żeby się uspokoić. Bała się, że zemdleje przy kontuarze, zanim zdąży odebrać wynik. Z nerwów bolało ją całe ciało, a szczęka stała się kompletnie sztywna.

Siadła na murku i wyjęła zapalniczkę. Jeden papieros nie pomógł. Zapaliła kolejnego. Od smaku nikotyny zakręciło jej się w głowie, ale emocje wcale nie zelżały. Wciąż trzęsa się jak osika. Teraz była już pewna, że wszystko potoczy się źle, i jedyne, czego pragnęła, to odsunąć tę chwilę od siebie jak najdalej.

— Dobrze się czujesz? — z zamyślenia wytrącił ją zachrypnięty kobiecy głos.

Podniosła głowę. Niebieskie oczy przysłonięte grubymi szklami spoglądały na nią ciepło. Kobieta miała rozpuszczone, czarne jak u wrony włosy i długą do kostek liliową spódnicę, które nijak nie pasowały do poorly zmarszczkami twarzy.

— Tak, w porządku — odpowiedziała zdławionym szeptem, wyrzucając niedopałek.

Jakaś dziewczyna prowadząca za rękę kilkuletnie dziecko skrzywiła się na jej widok.

— Oj, zobaczysz, wszystko się ułoży. Zawsze się układa. — Stara kobieta usiadła obok. Powietrze wypełnił zapach naftaliny. Z trzymanej na kolanach reklamówki z logo Biedronki wyjęła landrynkę, którą zaczęła głośno ciamkać.

— Frazesy — skomentowała niegrzecznie Małgorzata. Nie miała ochoty na towarzystwo. Naprawdę źle się czuła. Serce waliło jej, jakby wypijała dwie mocne kawy z rzędu.

Kobieta sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała jej słów.

— Kiedy umarło moje dziecko — ciągnęła spokojnym głosem — też myślałam, że już więcej nie zniosę. A potem umarło jeszcze jedno. I kolejne. Taka karma — dodała, wzruszając ramionami.

— Umarło pani troje dzieci, a pani...? — Małgorzata podniosła oczy na nieznajomą. Głos uwiązał jej w gardle. Nie miała śmiałości dokończyć swojego pytania. „A pani nadal żyje? Potrafi pani żyć?” — zabrzmiało już tylko w jej głowie.

— A ja urodziłam czwarte — dokończyła staruszka. — Oczywiście nie od razu, po paru latach. Byłam już dobrze pod czterdziestkę. Wiesz, dziecko. — Wzrok hippiski wydał się Małgorzacie bystry, wręcz młody. — Życie zawsze musi zwyciężyć śmierć, a nadzieja musi być silniejsza od rozpacz.

— I co z tym ostatnim dzieckiem?

Pomarszczona twarz wygładziła się. Można było dostrzec ślady dawnej urody — wystające kości policzkowe i prosty nos. Niebieskie oczy, teraz tonące w morzu zmarszczek, kiedyś też musiały być piękne.

— Przeżyło. Kochana dziewczyna. Mam już troje wnuków, prawnuka w drodze. Los mi wynagrodził. — Stara twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Jak Hiobowi — wyrwało się Małgorzacie. Nigdy nie lubiła tej opowieści. Co to za szczęście jedne dzieci zastąpić innymi?

Staruszka tylko się skrzywiła. Najwyraźniej podobnie odbierała tę historię.

— Muszę już iść. — Strząsnęła niewidzialny pyłek ze spódnicy i podniosła się energicznie.

— Dokąd? — spytała Małgorzata, czując jak panika, którą obecność hippiski na chwilę odsunęła w cień, znowu powraca. Poczwała nagły żal, że nigdy już nie zobaczy starej kobiety. Bo przecież nie zobaczy, tak jak nie spotykamy ponownie współpasażerów z przedziału albo turystów, z którymi w obcym mieście, daleko od domu, zjadamy się smażonym dorszem prosto z morza. W ekscentrycznej staruszce było coś dobrego. Dobrego i oswojonego. Małgorzata nie mogła oprzeć się wrażeniu, że skądś ją zna.

Hippiska chyba nie usłyszała jej pytania. Złapała swoją reklamówkę i wolnym krokiem ruszyła przed siebie.

Małgorzata wpatrywała się w jej ciemną postać aż do momentu, kiedy zasłonił ją stojący na przystanku tramwaj. Gdy odjechał, po staruszcze nie było już ani śladu.

Siedząca za kontuarem pielęgniarka wyglądała jak siostra bliźniaczka tej z wczoraj, z tą tylko różnicą, że miała rude włosy z czarnymi końcówkami. Na korytarzu tym razem panowały pustki, więc podczytywała pod kontuarem jakąś babską gazetkę.

— Tak? — Zarumieniła się na widok Małgorzaty niczym nastolatek przyłapany na przeglądaniu świerszczyków.

— Miałam odebrać wyniki. Małgorzata Lubecka.

— Proszę?

— Małgorzata Lubecka. Przyszłam po wyniki — powtórzyła Małgorzata głośniej, przytrzymując się kontuaru.

— Chwileczkę. — Pielęgniarka napisała coś szybko na klawiaturze. Potem zerknęła na monitor. Po chwili spojrziała jeszcze raz i uśmiech zastygł na jej twarzy. — Już się drukują — dodała zmienionym głosem.

Małgorzata jeszcze bardziej wsparła się na ladzie. Czuła, jak jej nogi zamieniają się w waciane wałki.

— Czy wyniki wyszły negatywne? — spytała przez zaciśnięte gardło, próbując przekrzyczeć skrzypiącą drukarkę.

— Sekundkę. — Pielęgniarka wykrzywiła usta w udawanym uśmiechu, unikając wzroku Małgorzaty, po czym zerwała się z krzesła i zniknęła za wahadłowymi drzwiami znajdującymi się za jej plecami.

Po chwili wróciła w towarzystwie korpulentnej kobiety o wysoko upiętym koku, którego czubek ozdabiał różowy motylek.

— Proszę przejść do pokoju zabiegowego — odezwała się grubym głosem pasującym do jej aparycji, po czym postukując obcasami, wyszła zza kontuaru.

— Nazywam się Anna Różycka, jestem kierownikiem laboratorium — przedstawiła się Małgorzacie i wskazała krzesło w kącie.

Małgorzata nie usiadła. Mebel wydał jej się lepki i brudny, podobnie zresztą jak cały pokój.

— Proszę usiąść — głos kobiety zdradzał despotyczny charakter.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała słabo, opierając się o ścianę. Dlaczego ludziom wydaje się, że złe wiadomości lepiej przyjmuje się na siedząco?

Różowa wzruszyła ramionami. Stała przy komodzie w drugim końcu gabinetu i zaplotła ręce na piersiach.

— Nie będę owijała w bawełnę — odezwała się po chwili milczenia. Motylek na jej głowie poruszył się niespokojnie. — Ma pani HIV.

Małgorzata skuliła się jak od ciosu. Słowa kobiety, choć przecież się ich spodziewała, poraziły ją niczym piorun. Ognista kula uderzyła w jej świat, rozerwała go na strzępki, po czym zapadła zupełna cisza.

— Oczywiście, ma pani świadomość, że teraz HIV nie jest już chorobą śmiertelną? Że można ją leczyć. Niektórzy pacjenci żyją z nią nawet kilkadziesiąt lat — głos laborantki docierał do Małgorzaty jak zza grubego muru. Nie chciała jej słuchać. Nie chciała już niczego słyszeć. Wyrwała z rąk kobiety kartkę z wynikami, po czym

w popłochu wybiegła z gabinetu.

Po deszczu wyszło słońce, które przygrzewało coraz mocniej, ale Małgorzacie zdawało się, że brnie szarą ulicą po kolana w śniegu.

— Boże, co ja zrobiłam — zawyła, opadając bez sił na krawężnik. Zwinęła się w kulkę, podciągając nogi wysoko pod brodę. Na przemian to przechodziły ją zimne dreszcze, to oblewała fala gorąca. Myła się rano i użyła dezodorantu, a jednak dotarł do niej kwaśny zapach potu. Śmierdziała strachem. Tak się też czuła. Jak przerażone zwierzę.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo tak siedziała. Godzinę. Może dwie. W końcu podniosła się i ruszyła przed siebie. Nogi same zaprowadziły ją na plac Sejmu Śląskiego, przed gmach uniwersytetu, jakby wyrysowana w mózgu przed laty trasa nagle włączyła się niczym zapomniany GPS. Stała przed budynkiem, a potem wolno weszła po schodach do góry.

Na korytarzu piątego piętra panował szum. Co rusz spotykała grupki zagadanych studentów. Przystanęła przed gabinetem Jareckiego. Na mosiężnej tabliczce przychepionej do drzwi wciąż widniało jego nazwisko.

— W czym mogę pani pomóc? — Wysoka blondynka, która wymaszerowała właśnie dziarskim krokiem z pokoju Krzysztofa, spojrzała na nią życzliwie znad wielkiego segregatora.

— Szukam doktora Jareckiego — rzuciła z głupia frant.

Wyraz twarzy kobiety zmienił się w okamgnieniu.

— Niestety — pokręciła smutno głową — profesor Jarecki już tutaj nie pracuje. Jest ciężko chory...

— Tak. Na AIDS — powiedziała, sama nie wiedząc, dlaczego to robi.

Kobieta spojrzała na nią, jakby była trędowata, i zrobiła krok do tyłu.

— Na AIDS? — Potrząsnęła głową. — Nic o tym nie wiedziałam. — Uśmiechnęła się niepewnie, ruszając w kierunku windy.

Małgorzata poszła w jej ślady, ale po chwili się zatrzymała. Stała przy parapecie, na którym dogorywała pożółkła paprotka, i spojrzała w dół. Gmach Sejmu, parking, pomnik Korfanteo, autobusy zajeżdżające jeden po drugim na przystanek. Widok z okna uniwersytetu wydał jej się jednocześnie znajomy i bardzo obcy.

Sama nie wiedziała, co pojawiło się szybciej. Zamiar czy gest sięgnięcia do klamki. Zza uchylonego okna napłynęła fala wilgotnego powietrza. Czuła jednocześnie ulgę i strach. Miała wrażenie, że cały jej bieg tutaj był właśnie po to. Żeby stanąć na parapecie, rozłożyć ręce jak skrzydła i pofrunąć.

„Życie jest ciężkie, ale trzeba żyć” — głos ojca zabrzmiał w niej tak realnie, jakby dobiegł zza pleców, a nie z najciemniejszych zakamarków wspomnień. To zdanie przed śmiercią powtarzał po kilka razy na dzień.

Oparła czoło o framugę.

— Przepraszam, tato — szepnęła, po czym, zostawiając okno otwarte, jak w amoku ruszyła do windy.

Wychodziła na Jagiellońską, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. „Może to z laboratorium? Może się pomylili?” — przemknęło jej przez myśl, kiedy zobaczyła na ekranie obcy numer. Drżącym kciukiem nacisnęła zieloną słuchawkę.

— Lubecka, słucham? — Miała wrażenie, jakby ktoś założył jej klamrę na tchawicę. Z trudem udawało jej się łapać oddech.

— Dzień dobry — usłyszała dziewczęcy głos. Trochę za młody, by uznać, że należy do laborantki.

— Tak? — Małgorzata wstrzymała oddech z przejęcia. „Jest pani zdrowa, nastąpiła pomyłka, przepraszamy” — zabrzmiało w jej głowie upragnione zdanie.

— Mówi Daria Jarecka — usłyszała zamiast tego.

— Tak? — Poczuła, jak uchodzi z niej całe powietrze.

— Ojciec zmarł wczoraj po południu — głos dziewczyny zadrżał od tłumionego płaczu. — Zostawił listę osób, które miałam powiadomić na wypadek... Miał taki kalendarzyk...

Zimny dreszcz przebiegł Małgorzacie po plecach.

— Zmarł? — powtórzyła wypranym z emocji głosem.

— Tak, pogrzeb będzie...

— Nie interesuje mnie pogrzeb twojego ojca! — krzyknęła i nie rozłączając się, wrzuciła aparat do torebki.

W drodze na przystanek weszła do dworcowego baru. Zamówiła herbatę i wbiła się w brudny kąt. Napój był tak gorący i słodki jak ten, który pijała w dzieciństwie. Rozgrzał ją na tyle, że przestała się trząść.

Powietrze przesiąknięte było zapachem starego oleju i przypalonego mięsa, ale to jej nie przeszkadzało. Ciepłe światło, ruch i ciągle zmieniające się twarze wokół niej przynosiły dziwne ukojenie.

Mężczyzna, który pojawił się przy jej stoliku, był przeraźliwie chudy. Ćpun albo chory na AIDS, w głowie Małgorzaty pojawiły się tylko dwa wytłumaczenia dla wyglądu tego człowieka. Miał ziemistą cerę, ciemne zęby i szczupłe nadgarstki wystające z rękawów obszarpanej koszuli.

— Da mi pani pięć złotych na zupę? — spytał, spoglądając na Małgorzatę z pokorą. Przypomniała sobie chłopców, nad którymi ulitowała się podczas ostatnich zakupów w galerii. Jak tylko dostali pieniądze, od razu pobiegli do salonu gier. Tym razem to jednak nie był ten przypadek. Facet wyglądał naprawdę kiepsko.

— Niech pan poczeka — poprosiła, wstając.

Zamówiła zupę pomidorową i kotlet schabowy z frytkami. Do tego herbatę z cytryną. Przyniosła wszystko do stolika na plastikowej tacy.

— Proszę — zwróciła się do mężczyzny, stawiając przed nim posiłek. — Smacznego.

— To dla mnie? — Patrzył na nią, mrugając szybko powiekami niemal zupełnie pozbawionymi rzęs.

— Tak.

— Dziękuję. — Złapał za łyżkę i zaczął jeść, popatrując co chwila na Małgorzatę, jak pies, który się boi, że ktoś czyha na jego miskę.

Zrobiło jej się go żal.

— Niech pan je spokojnie — powiedziała cicho.

Megafon rozbrzmiał kolejnym komunikatem, który wprowadził wśród podróżnych

duże poruszenie. W trzy minuty wśród zgrzytania krzeseł i stukania tac bar opustoszał. Tylko Małgorzata i chory mężczyzna, zjadający właśnie z apetytem drugie danie, zostali na miejscu.

Małgorzata nie gardziła ludźmi, którym się nie udało. Uważała, że często nie są winni swojego losu, a nawet jeśli sytuacja, w jakiej się znaleźli, była wynikiem ich błędu, nie czuła się uprawniona, aby ich oceniać. Teraz siedzący naprzeciw mężczyzna wydał jej się kimś bliskim. Świat pełen był poukładanych żon, kochających mężów bez skazy, ludzi, którzy za chwilę wrócą do domu, usiądą przed telewizorem i z czystym sumieniem spędzą przed nim kolejny wieczór. Ona nie należała już do tej grupy. Tak samo jak kloszard z naprzeciwka.

— Dziękuję. — Mężczyzna głośno siorbiąc, dopił herbatę. Miał brudne palce, które pozostawiły na szklance tłuste plamy. — Pójdę już — dodał, popatrując na nią niepewnie.

— Na co pan choruje? — spytała, pragnąc jeszcze choć na chwilę zatrzymać go przy stoliku.

Rzucił jej harde spojrzenie.

— Nie choruję. Po prostu jestem bezdomny.

Kiwnęła głową. Drażnienie tego tematu nie miało sensu.

— Wszystkiego dobrego — dodała więc tylko, zanim mężczyzna odsunął plastikowe krzeselko i wyszedł z baru.

Od godziny leżała w łóżku, gapiąc się w sufit. Powinna była przygotować się do jutrzejszej lekcji. Kolejny raz przeczytać nie lubiane *Sklepy cynamonowe*, napisać konspekt. Sił starczało jej jednak wyłącznie na odbieranie esemesów. Oboje — Anka i Marcin — nie dawali jej spokoju. Odpowiedziała tylko na wiadomość od męża. „Kocham Cię” — karnawałowa maska założona na prawdziwe: „Sprzedałam Cię, zdradziłam, zabiłam”. Tak powinna była odpisać na wyznania Marcina. Gdyby starczyło jej odwagi. „A może odwagą jest właśnie milczenie?” — zastanawiała się. Podarowanie Marciniowi jeszcze kilku szczęśliwych, beztroskich lat. Może to właśnie byłoby największym dowodem miłości?

Do Anki nie pisała. Po co? Są w życiu sytuacje, w których nikt z zewnątrz nie może pomóc. Nikt. Małgorzata dobrze pamiętała pierwsze miesiące po pogrzebie ojca. Miała kilka koleżanek, dalszą rodzinę, która od czasu do czasu wpadała, żeby sprawdzić, jak się miewa, ale przez większość czasu mieszkanie stało puste. Małgorzata budziła się w pustym domu, zasypiała w pustym domu, wracała do pustego domu. Owszem, tuż po śmierci taty odczuła coś w rodzaju ulgi. Niewielu potrafi przyznać się do tego, że kiedy kończy się cierpienie bliskiej osoby, wielomiesięczna, a czasem nawet wieloletnia huśtawka: przeżyje — nie przeżyje, czuje się przede wszystkim spokój. Dopiero później pojawia się prawdziwy smutek i tęsknota. I samotność. Przerażająca czarna chmura, oplatająca człowieka gęstym kokonem, przez który nic i nikt nie jest w stanie się przebić. Teraz Małgorzata także była sama. Sama podwójnie, potrójnie, posetnie. Bo z tajemnicą.

Zadzwoił domofon. Niechętnie wyplątała się z kołdry i podeszła do okna. Tak jak się spodziewała, na parkingu po drugiej stronie ulicy dostrzegła samochód Anki. Na palcach, uważając, aby nie zdradzić się ze swoją obecnością, wróciła do łóżka.

Ktoś z sąsiadów musiał jednak wpuścić przyjaciółkę, bo po chwili Małgorzata usłyszała pukanie do drzwi. Anka dzwoniła, nawoływała. Chyba zirytowała tym sąsiadów, bo po kwadransie Małgorzata usłyszała głośną wymianę zdań i hałas przypominający tupot stóp po drewnianych schodach, po którym nastąpiła cisza. Obserwowała przez firankę, jak przyjaciółka wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy czarna terenówka zniknęła za zakrętem, wróciła do łóżka i zamknęła oczy.

Sny miała niespokojne i zaskakująco realistyczne. Biegała po obcym, wielopiętrowym budynku — skrzyżowaniu wieżowca z centrum handlowym, i próbowała bezskutecznie dotrzeć do pokoju, w którym znajdował się ktoś dla niej ważny. Raz wydawało jej się, że jest to mąż, potem, że mama albo Redford. W końcu okazało się, że próbowała dostać się do samej siebie. Wiedziała, że pokój jest na drugim piętrze, ale nie potrafiła znaleźć windy, a kiedy ją w końcu znalazła, to za jej rozsuwanymi drzwiami była tylko ściana z cegieł.

Obudziła się zlaną zimnym potem. W pierwszej chwili poczuła ulgę, że koszmarna wizja okazała się nieprawdą, szybko jednak dotarło do niej, co wydarzyło się w realnym życiu. Zamknęła oczy, usilnie próbując uciec w sen. Nic z tego. Znów trzęsła się jak osika, a w żołądku zaczął się rozpychać lodowaty kamień lęku.

Podniosła się z łóżka i zerknęła na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Otworzyła



okno na oścież. Nie padało, ale było chłodno. Przypatrywała się ludziom przechodzącym chodnikiem, nie mogąc nadziwić się, że są tacy zwyczajni, tacy spokojni... Życie wyrzuciło ją na margines zaledwie parę godzin temu, a miała wrażenie, jakby nigdy nie znajdowała się po tej drugiej, lepszej stronie rzeczywistości.

Z głodu ssało ją w żołądku, ale na samą myśl o jedzeniu ogarniała ją fala mdłości. Nalała więc sobie tylko szklankę wody i wypila ją do dna. Żałowała, że nie ma w domu żadnego alkoholu, potrzebowała znieczulenia jak nigdy.

Chodziła po pokoju jak obłąkana. Ból sprawiał jej każdy mebel, każdy przedmiot... Ślubne zdjęcie stojące za szybą biblioteczki — utrzymana w czerwonych barwach fotografia, na której Marcin klęczy, ufnie opierając głowę na kolanach Małgorzaty, a ona w opiekuńczym geście gładzi go po włosach; równo ułożone książki, z których większość stanowiły prezenty od męża; obraz z widokiem na paryską starówkę, który kupili tuż po ślubie dla uczczenia pierwszej wspólnej podróży. Nagle życie, jakie prowadzili, wydało się Małgorzacie tak bardzo szczęśliwe, tak niewyobrażalnie szczęśliwe, że na jego wspomnienie aż zabrakło jej tchu. Wszystko się skończyło. Skończyło, nawet jeśli nie powie o niczym mężowi, czego zresztą po przebudzeniu nie brała już pod uwagę. Marcin powinien wiedzieć. Nie miała pojęcia, w jaki sposób przekaze mu tę informację, ale wiedziała, że musi to zrobić. Odejdzie od niej, to pewne, ale może kiedyś, za jakiś czas, poczuje się jeszcze szczęśliwy?

Tak, tak to właśnie wyglądało. Mąż już dla niej nie istnieje, a za chwilę ona nie będzie istnieć dla niego. Nie może odebrać mu lat, które mógłby zyskać, gdyby zaczął się leczyć. Miała nadzieję, że tak właśnie postąpi. Zacznie się leczyć. Wreszcie pomyśli o sobie. Nagle Małgorzata uświadomiła sobie, że do tej pory w ich związku to ona zawsze była numerem jeden. Mąż przepuszczał ją w drzwiach, konsultował z nią wszystkie plany, dbał o jej potrzeby bardziej niż o własne. Kiedyś myślała, że to norma, ale Alicja szybko wyprowadziła ją z błędu.

— Masz w domu nieoszlifowany diament — powiedziała jej.

Dlaczego tak tanio go sprzedała?

A może to było tak, że potrzebowała emocjonalnej huśtawki, jazdy bez trzymanki, podobnej do tej, której doświadczyła, gdy umarła mama? A potem kiedy chorował ojciec. Może paradoksalnie, tęskniąc za poczuciem bezpieczeństwa, szukała jego przeciwieństwa? Jak córka alkoholika wybierająca na partnera mężczyznę podobnego do swojego ojca? Może Marcin był za bardzo poukładany, za spokojny dla niej? Zbyt nudny? Może to właśnie dlatego poszła wtedy z Jareckim? Żeby poczuć tamtą adrenalinę sprzed lat? I może podświadomie dążyła do sytuacji, którą właśnie przeżywała? Granicznej, a więc niepokojąco znajomej.

Z zamyślenia wyrwały ją kroki na schodach. Serce mocniej jej zabiło. Marcin? Nie, sąsiadka. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała trzask drzwi zwielokrotniony przez echo korytarza. Nie miała siły na spotkanie z mężem. Nie teraz, nie dzisiaj.

Umyła szybko zęby i opłukała twarz wodą. Kawalkiem waty nasączonym mleczkiem do demakijażu starła z policzków czarne smugi — pozostałość tuszu do rzęs. Nie poznawała kobiety, którą widziała w lustrze. Miała inną skórę, szarą i wymiętą, inne spojrzenie — pełne goryczy i rezygnacji. Nawet wargi, zwykle wygięte ku górze, teraz —

jak u Makieli — smętnie opadały w dół. Szybkim krokiem wyszła z łazienki, nie chciała dłużej na siebie patrzeć. Nie chciała zastanawiać się, jak będzie wyglądała za miesiąc, za rok, za pięć lat. Zresztą czy wtedy w ogóle będzie jeszcze „wyglądać”?

Narzuciła kurtkę, wsunęła adidas. Nie miała pojęcia, dokąd pójdzie, nie przychodziło jej do głowy żadne miejsce, w którym mogłaby poczuć się dobrze, wiedziała tylko, że musi wyjść z domu. Odetchnąć od szczęśliwej przeszłości, która zaciskała się wokół jej szyi niczym pętla. I przyszłości, której czarna maź napawała ją coraz większym lękiem. Wróci, kiedy przestanie się bać.

Alicję spotkała przed domem. Stała przy kiosku Ruchu, sprawiając wrażenie, jakby na kogoś czekała. Małgorzata miała ochotę odwrócić się na pięcie i udając, że nie zauważyła przyjaciółki, przejść na drugą stronę, ale matematyczka była szybsza.

— Małgosiu, poczekaj! — zawołała tak głośno, że nie sposób było jej zignorować.

Małgorzata zaczekała, aż Alicja wydrąży sobie tunel w tłumie przechodniów, którzy ni stąd, ni z owąd pojawili się na chodniku, a kiedy przyjaciółka do niej dotarła, odezwała się sucho:

— Spieszę się.

— Dokąd?

— Na zakupy — rzuciła pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło jej do głowy. — A ty co tutaj robisz?

Alicja przygryzła wargę. Nie potrafiła kłamać.

— Anka dzwoniła.

— Anka? — Małgorzata struchlała. Szybko jednak odrzuciła pierwszą myśl, jaka w przypływie paniki przyszła jej do głowy. Nie, Anka nie mogła tego zrobić. Nie zdradziłyby jej tajemnicy.

— Tak. Była u ciebie, ale jej nie otworzyłaś. Martwi się. — Alicja też wyglądała na zaniepokojoną. — Pokłóciłyście się? Bo nic z tego nie rozumiem.

— Nie, to nic takiego. Możesz do niej zadzwonić i powiedzieć, że wszystko jest okej — Małgorzata wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, obmyślając drogę ucieczki. Jak tak dalej pójdzie, za chwilę spotka się z Marcinem i będzie musiała wrócić z nim do domu. Na samą myśl o tym znowu poczuła podchodzącą do gardła zółć. Nie mogła zobaczyć się z mężem. Jeszcze nie.

— Może poszłybyśmy na kawę? — Alicja wskazała cukiernię znajdującą się po drugiej stronie ulicy.

— Nie, Alu, muszę już iść. — Małgorzata pokręciła głową i nie żegnając się z przyjaciółką, wyminęła ją, a potem niemal biegiem ruszyła przed siebie.

Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, ale to było silniejsze od niej. Nie miała ochoty na rozmowy, na towarzyskie pogawędki o niczym. Na szczerą tym bardziej nie było jej stać.

Ulica wypełniła się samochodami. Nozdrza Małgorzaty wypełnił duszący zapach spalin. Przeszła obok kościoła. Potem dalej, prostą drogą w kierunku Szarleja. Nie знаła celu swojej wędrówki. Po prostu szła. Miała wrażenie, że tylko w ruchu to, co właśnie przeżywa, uda jej się jakoś znieść.

Znowu zaczęło padać, więc schroniła się pod wiatą przystanku. Usiadła obok otyłej

kobiety w obcisłej sukience w kwiaty. Kiedy rozglądała się wokół siebie, zastanawiając się, dokąd pójść, jej wzrok padł na neon po przeciwległej stronie ulicy. Bez chwili zastanowienia ruszyła w tym kierunku.

Klub Rezerwat znajdował się w piwnicy, nic dziwnego, że panował w nim mrok i chłód, a powietrze wypełniał zapach wilgoci. U wymoczkowatego blondyna w czarnej koszulce zamówiła piwo z sokiem i usiadła pod wąskim oknem, jak najdalej od głośników, które aż podskakiwały od wydobywającej się z nich psychodelicznej muzyki.

W knajpie było pustawo. Przy jednym stoliku trzy rozchichotane nastolatki robiły sobie selfie z piwem. Przy drugim młody facet przeglądał fejsbuka na minilaptopie. Wyraziste oczy i gęste, ciemne brwi upodabniały go do Pierce'a Brosnana. Chyba poczuł na sobie spojrzenie Małgorzaty, bo oderwał wzrok od notebooka, spojrzał w bok i się uśmiechnął. Pochyliła się szybko nad szklanką.

— Można się przysiąść? — Dopijała piwo, kiedy usłyszała nad sobą melodyjny głos. Brosnan patrzył na nią z uśmiechem, potrząsając swoją szklanką.

— Jestem w nastroju... nieprzysiadalnym — odpowiedziała.

— Świetlicki? Też go lubię.

Wzruszyła ramionami, co odebrał jako przyzwolenie. Usiadł obok, a ona nie zaoponowała. Było jej wszystko jedno. Po etapie paralizującego lęku teraz dla odmiany czuła się jak pozbawiony uczuć robot.

— Jeszcze jedno piwko? — Mężczyzna pachniał waniliowym płynem do płukania i papierosami. — Mam na imię Rafał. — Wyciągnął w jej kierunku rękę. Była sucha i ciepła. — Nie chciałbym się narzucać, po prostu... czuję się w obcym mieście trochę samotnie.

— Biedaczek.

— Przygarnie pani sierotę? — Uśmiechnął się łobuzersko.

— Na kwadrans — zastrzegła. — A piwo proszę, z sokiem.

Mężczyzna zerwał się od stolika i zasalutował.

— Już się robi.

Wnętrze pubu było podzielone na boksy. W każdym znajdowała się narożna sofa i nieduży stolik. Powoli zaczynała schodzić się młodzież. Muzyka atakowała błony bębenkowe z coraz większą siłą.

Dochodziła osiemnasta. Małgorzata pomyślała, że mąż pewnie dotarł już do domu. Powinna do niego zadzwonić, wytłumaczyć się ze swojej nieobecności, jednak na samą myśl o takiej rozmowie robiło jej się słabo. Nie lubiła i nie potrafiła kłamać. Łatwiej było jej coś ukryć, jak wtedy po spotkaniu z Jareckim. Ale kłamać w żywe oczy? Prawda jednak nie wchodziła w grę. Co miałyby powiedzieć Marcinowi? Że siedzi z jakimś wymuskanym gościem w piwnicznej knajpie i pije z nim piwo? Nie zwykli fundować sobie sytuacji tego typu, a przynajmniej ona tego nie robiła, pomijając — rzecz jasna — sandomierską noc z Redfordem. A Marcin? Czy był jej wierny? Nie mogła mieć pewności, przecież go nie śledziła, czuła jednak, że jest w porządku. Znała go zbyt dobrze, żeby nie zorientować się, gdyby w jego życiu był ktoś jeszcze.

Marcin. Jej idealny Marcin. Dobry, czuły, wyrozumiały. Może zbyt dobry, zbyt czuły, zbyt wyrozumiały? Może w głębi duszy była jak Anka i jak Ankę kręcili ją

skurwiele? Tacy jak Redford. Jak Rafał, który tanecznym krokiem zmierzał właśnie do jej stolika. Na palcu prawej ręki zauważyła obrączkę. Dlaczego będąc w delegacji, pił z obcą kobietą? A dlaczego ona, zamiast siedzieć w domu i grzecznie prasować męzowskie koszule, była tutaj? Ona? Ona mogła już wszystko. Jej małżeństwo było fikcją. Porcelanową filiżanką stojącą na brzegu stołu. Drobnym ruchem i zmieni się w kupkę szkła.

Znienacka przypomniła sobie opowiadanie, które przeczytała w jakimś szmatławcu wiele lat temu. Atrakcyjna dziewczyna zafundowała sobie na zagranicznych wakacjach romans z tubylcem. Podczas pożegnania kochanek podarował jej prezent, niedużą paczuszkę owiniętą w błyszczący czerwony papier. Poprosił, żeby otworzyła ją dopiero, jak znajdzie się w pociągu. Kiedy siedząc w przedziale, zajrzała do pudełka, znalazła w nim martwą mysz z przyczepioną do ogona karteczką: „Zaraziłem cię AIDS”.

Na Małgorzacie, wówczas nastolatce, ta historia zrobiła duże wrażenie. Tak duże, że wciąż ją pamiętała. Okrutny kochanek wtedy wzbudził w niej złość, ale teraz złapała się na myśli, że go rozumie. Oprócz rozpacz i złości na Redforda pojawiło się w niej nowe uczucie — pragnienie zemsty. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wypić jeszcze jedno piwo i pójść z Rafałem do hotelu. Pozwoliłaby się przelecieć, oczywiście bez gumki, a potem podarowałaby mu prezent. Bez myszy. Wystarczyłaby karteczka...

Z zamyślenia wyrwało ją wibrowanie komórki. Chwilę się wahała, zanim nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką.

— Kochanie, gdzie jesteś? — głos Marcina brzmiał spokojnie. Małgorzata miała wrażenie, że rozmawia z kimś z innego świata.

— Byłam w bibliotece, a teraz... — zamilkła na moment. Nie, nie mogła powiedzieć, że jest na spacerze, Marcin z pewnością słyszy muzykę. — Weszłam na kawę. Z Alicją — dodała.

Mąż zdziwił się tylko trochę.

— Kiedy będziesz w domu?

— Nieprędko. Wiesz, dopiero usiadliśmy.

Rafał wrócił z baru. Położyła palec na ustach, nakazując mu milczenie.

— Okej. — Jeśli Marcin był rozczarowany, to nie dał tego po sobie poznać. — Myślałem, że zobaczymy się przed moim wyjazdem.

— Jakim wyjazdem? — Zmarszczyła czoło, próbując zrozumieć, o czym mówi. — O rany, do Krakowa! — przypomniała sobie. No tak, jutro rano miał wziąć udział w szkoleniu. Przez tę sprawę z badaniami kompletnie wyleciało jej to z głowy. — Zapomniałam, przepraszam.

— Nie szkodzi. Tylko, wiesz, ja za godzinkę wychodzę. Maciek ma po mnie podjechać. Ale skoro dopiero usiadłycie, to pewnie nie zdążysz wrócić. Pozdrów Alę ode mnie. Kuba na weekend ma wyjść do domu. Słyszałaś?

— Nie — zawahała się. — Ala jeszcze mi nie powiedziała.

— No dobrze, to miłego popołudnia. Odezwę się, jak będziemy na miejscu. — Ze słuchawki dobiegło skrzypienie. Marcin chyba zaczął się pakować.

— Dziękuję. Koszule masz w szafie. Wyprasowałam w sobotę.

— Okej. Dzięki, kochana. Do usłyszenia.

— Uważaj na siebie — poprosiła.

— Zawsze. Kocham cię.

— Kocham cię — odpowiedziała, czując, jak żołądek zwija jej się w ciasną kulkę. „Boże broń od takiej miłości” — dodała w myślach.

— Mąż? — Rafał rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

— Mąż — odparła nieuważnie. Nie mogła uwierzyć w swój fart. Nie chce się z nim spotkać, a on tak po prostu wyjeżdża.

— Też mam żonę, ale wiesz... — skrzywił się — nie rozumiemy się.

— Że żona go nie rozumie... — Małgorzata odruchowo zacytowała Osiecką. Głupie myśli wywietrzały jej z głowy i teraz czuła już tylko zmęczenie towarzystwem mężczyzny. Nie miała jednak ochoty wychodzić na zewnątrz. Nadal mocno padało. Krople deszczu rytmicznie uderzały o parapet.

Sięgnęła po piwo i zrobiła duży łyk. Słodko-gorzka ciecz rozlała się na języku. Zrobiła jeszcze jeden łyk. I następny. Zamarzyła o papierosie, ale Rafał najwyraźniej nie palił, a ona nie miała swojej paczki. Zresztą i tak nie mogłaby palić w lokalu.

— Och, cóż za kąśliwość. Ale czytujemy tych samych autorów, a to już coś. Pierwszy krok — mężczyzna nie tracił rezonu.

— Do czego?

— No, do... bliższej znajomości?

Małgorzata skrzywiła się z niesmakiem i znowu sięgnęła po szklankę. Czuła, jak delikatnie zaczyna jej szumieć w głowie. Od paru dni wciąż była na rauszu. Paliła też znacznie więcej niż zwykle. Brakowało tylko, żeby zaczęła ćpać.

— Nie sądzisz, że to właśnie jest w życiu najlepsze? — ciągnął nowy znajomy z głupim wyrazem twarzy.

— Co takiego? — zapytała znudzona.

— Że ciągle nas zaskakuje. — Zbliżył swoją szklankę do piwa Małgorzaty. — Za niespodzianki! Za nasze spotkanie! — Stuknął się z nią delikatnie.

— Prawdę mówiąc, pewnych zaskoczeń wolalabym uniknąć — sposepniała, przechylając naczynie i wypijając piwo do dna.

— Masz męża, to już wiem. Co jeszcze możesz o sobie powiedzieć? — Rafał przysunął się do niej nieznacznie. — Zdradzasz go? — zniżył głos.

„Tak, zdradzam, i przy okazji zarażam HIV” — w głowie Małgorzaty zabrzmiała gorzka odpowiedź.

— Nie, jest tak fantastyczny w łóżku, że nie muszę — zaśmiała się, ale jej śmiech zabrzmiał smutno.

Mężczyzna, niezrażony, przysunął się bliżej.

— Zamówię jeszcze jedno piwo. — Zerwał się z sofy, zanim zdążyła zaprotestować.

Odruchowo znowu sięgnęła po telefon. Skrzynka pękała w szwach. Esemes od Marcina, nie potrafiącego znaleźć maszynki do golenia, i parę od Anki, każdy okraszony wykrzyknikami i znakami zapytania. Małgorzatę zdziwiła aktywność przyjaciółki. O ile dobrze pamiętała godzinę wylotu, od co najmniej trzech kwadransów powinna już siedzieć w samolocie.

Zrobiło jej się głupio, że nie wpuściła Anki do mieszkania i nie odpowiada na jej wiadomości, pozwalając, aby się denerwowała. Czy jednak milczenie nie było lepsze od prawdy?

— Pomyślałem, że jednak coś zjemy. — Mężczyzna postawił na stoliku miseczkę wypełnioną po brzegi orzeszkami. Na myśl o jego palcach zanurzonych w tłustej mazi Małgorzata znowu poczuła mdłości.

Usiadł tuż obok. Tak blisko, że niemal stykali się udami.

— Jesteś bardzo ładna, wiesz? — zagaił, podsuwając jej szklankę z piwem. Objęła ją rękami. Była lodowata.

— Nie żartuj — zbyła go.

— Bardzo, bardzo ładna — powtórzył ochryplym głosem, po czym zniechęca pocałował ją w szyję.

— Zwariowałeś?! — wykrzyknęła, stając na baczność. Szybko zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Patrzył na nią wyraźnie zbity z tropu.

— Co się stało? Narzuciłem za szybkie tempo? Zrobiłem coś nie tak?

Małgorzata nerwowo rozejrzała się po lokalu. Na szczęście młodzi ludzie przy sąsiednich stolikach i na parkiecie byli tak zajęci sobą, że nie zwrócili na nią uwagi. Miała nadzieję, że w ciemności nie czai się żaden z jej uczniów. Picie na mieście zawsze było obciążone takim ryzykiem. Obściskiwanie się z obcym facetem tym bardziej.

— Muszę już iść — rzuciła, wyjmując z portfela pięćdziesięciozłotowy banknot. — Ile jestem ci winna?

— Nic z tych rzeczy — zaprotestował. — Może jednak zostaniesz?

— Muszę już iść — powtórzyła, zabierając torebkę i kurtkę.

Odeszła parę kroków, ale po chwili zatrzymała się i obróciła do mężczyzny. Siedział przygarbiony, spoglądając na nią spod czoła.

— Powinieneś uważać z przygodnymi znajomościami — powiedziała głośno, próbując przekrzyczeć dudniącą jej wprost do ucha muzykę. — Nigdy nie wiadomo, na kogo trafisz.

Nie wróciła do domu. Zamiast tego skręciła do kolejnego pubu. Tym razem nie zamierzała już wdawać się w żadne rozmowy. Usiadła przy małym stoliku przytulonym do filara i pochyliła się nad piwem. Wyszła z baru po północy, kiedy barman oznajmił grzecznie, acz zdecydowanie, że zamykają.

Dopiero na ulicy dotarło do niej, jak bardzo jest pijana. Kręciło jej się w głowie, co chwila o coś się potykała. Piękny obrazek — pijana nauczycielka. „Nauczycielka” — powtórzyła w myślach. Lubiła swoją pracę. Te chwile, w których dzieciaki angażowały się bez reszty, kiedy budziła się w nich pasja. To właśnie dla takich momentów, mimo paru poważniejszych i mniej poważnych kryzysów, wciąż pracowała w szkole. Czego nie lubiła? Papierologii i chamstwa. Zarabiać też mogłaby trochę lepiej. Zastanawiała się, jak radzą sobie osoby samotne. Te bardziej operatywne szukały dodatkowych zajęć. Alicja przygotowywała licealistów do matury z matmy, Wojtek wieczorami rozładowywał towar w supermarketach, a germanistka w weekendy pracowała w szkole dla dorosłych.

„A jeśli moja choroba się wyda?” — przeszła ją nagła myśl. Rodzice zaczną protestować, nauczyciele — zwłaszcza ci, którzy za nią nie przepadali — pewnie też. Kto zgodziłby się na to, żeby jego dziecko miało wychowawczynię zarażoną HIV? Nagle uświadomiła sobie tragizm swojej sytuacji. Jeśli jej zakażenie wyjdzie na jaw, wyleci z pracy i zwyczajnie nie będzie miała za co żyć. „Nikt nie może się dowiedzieć” — postanowiła. Nikt oprócz Marcina i Anki, rzecz jasna, ale jeśli o nich chodzi, mogła być pewna, że nie poślą tej informacji dalej.

Cezury. W życiu Małgorzaty było ich kilka. Niespodziewana śmierć mamy, o której dowiedziała się, będąc na pierwszym w życiu obozie harcerskim, choroba i śmierć taty — trochę bardziej oczywista, ale i tak potwornie bolesna, odejście Jareckiego. Zdrada. Po każdym z tych trudnych doświadczeń jakoś się podnosiła, tłumaczyła sobie, że trzeba żyć dalej, nie poddawać się, że każdy dzień to nowy początek. Po śmierci taty pojawił się Jarecki. Po rozstaniu z nim — Marcin. Noc w Sandomierzu, której wspomnienie przez wiele miesięcy budziło ją zlaną potem o świcie, też jakoś udało się przysypać małżeńskim szczęściem. Teraz jednak czuła już wyłącznie zmęczenie. Nie miała siły na dalszą walkę. Nie miała siły na nic.

Wracając do domu opustoszałą Bytomską, zastanawiała się, czy wciąż jeszcze jest nosicielką HIV, czy też ma już AIDS. Tracenie na wadze, opryszczka, mięsak Kaposiego — przypominała sobie niepokojące objawy, o których czytała na forum. Nie miała żadnego z nich, ale czy to mogło cokolwiek znaczyć?

Przez moment poczuła chęć, żeby włączyć komputer i poszukać informacji o pomyłkach w badaniach, ale pomysł znikł tak równie szybko, jak się pojawił. Nie było sensu dłużej się łudzić. Była zarażona, zaraziła męża. Reszta to tylko pobożne życzenia.

Podchodząc pod kamienicę, zerknęła w górę. Okna na poddaszu były ciemne. Marcin dojechał już do Krakowa, napisał z hotelu, że dotarli bez niespodzianek i idą na miasto zjeść kolację. Odpowiedziała w dwóch słowach, na więcej nie miała siły. Poza tym nie chciała, żeby mąż domyślił się, że piła. Nie był przeciwnikiem alkoholu, sam lubił dobre trunki, ale jej powtarzający się codziennie rausz to było coś tak do niej

niepodobnego, że na pewno dałoby mu do myślenia.

Trafienie kluczem do drzwi wejściowych zajęło jej kilka minut. Kiedy wreszcie się udało, zaczęła wspinać się po schodach, mocno przytrzymując się poręczy. U sąsiadów trwała impreza, zza drzwi dochodziło ciężkie dudnienie i śmiechy. Małgorzata przypomniała sobie, że jakieś dwa tygodnie temu zajrzał do niej syn sąsiadki z pytaniem, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli do północy będzie świętował urodziny. Najwyraźniej ten dzień właśnie nadszedł. Urodziny. Ile jeszcze urodzin uda jej się przeżyć?

— Jasna cholera! — zaklęła głośno, kiedy okazało się, że z drzwiami do mieszkania ma podobny problem jak z wyjściowymi. Szarpała się z nimi dobrą minutę, zanim udało jej się trafić kluczem do właściwej dziurki.

— Małgośka? — usłyszała zaspany głos, kiedy zapaliła już światło w mieszkaniu.

Odwróciła się. Dwa metry od niej, oparta o drzwi suszarni siedziała... Anka. Chyba się właśnie przebudziła, bo wzrok miała nieprzytomny.

— Jezu, co ty tu robisz? — Małgorzata pomogła jej wstać. Lekko się przy tym zachwiała, ale nie upadła. Półgodzinna przechadzka z pubu do domu trochę ją otrzeźwiła.

— Powiedz lepiej, co ty robisz! — Anka błyskawicznie odzyskała formę. Stała naprzeciwko Małgorzaty z rękami na biodrach. — Dlaczego, do cholery, nie odbierasz telefonów i nie odpisujesz na esemesy?! I w ogóle gdzie ty się włóczysz o tej porze?

— Cicho! — Małgorzata rzuciła zaniepokojone spojrzenie na drzwi sąsiadki z naprzeciwka, szczególnie czulej na hałasy starszej pani, i pociągnęła przyjaciółkę do mieszkania.

W środku panował nieład. Kaptcie Marcina leżały na środku podłogi, jego bluza przewieszona przez krzesło w kuchni też nie dodawała mieszkaniu uroku. Drzwi do łazienki otwarte na oścież ukazywały wannę z wrzuconym do środka węzem prysznicowym i otwartym płynem do kąpieli. Mąż, pedantyczny do bólu chirurg, w domu kompletnie wrzucał na luz.

— Byłaś w laboratorium? Odebrałaś wyniki? — Anka bezceremonialnie wpakowała się do kuchni, której wygląd również pozostawiał wiele do życzenia. — Pewnie nie, inaczej byś się odezwała.

Usiadła za stołem, a Małgorzata zaczęła wrzucać naczynia do zmywarki. Włożyła kapsułkę do kieszonki i włączyła urządzenie. Wnętrze kuchni wypełnił kojący szum.

— Czy mogłabyś przestać zajmować się pierdołami i wreszcie coś powiedzieć? — Anka była coraz bardziej zirytowana.

Małgorzata posłusznie opadła na krzesło. Nagle uświadomiła sobie, że Anki od paru godzin nie powinno już być w Polsce.

— Co z twoją wycieczką? — zapytała.

Przyjaciółka machnęła ręką.

— Pieprzyć wycieczkę. Nie odzywałaś się, jak miałam lecieć?

Oczy Małgorzaty zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Nie poleciałaś z mojego powodu? Przecież ten wyjazd kosztował kupę kasy.

— W dupie mam kasę. — Anka wzruszyła ramionami. — Małgośka, co z tobą? Dlaczego nie pojechałaś po wyniki? I — o rany! — przecież ty jesteś kompletnie pijana!



— A ty, dla odmiany, zupełnie trzeźwa. I marudna — Małgorzata rzuciła kąśliwą uwagę.

— Dlaczego nie pojechałaś po wyniki? Dlaczego się do mnie nie odezwałaś?

— To nie tak, jak myślisz...

— Jasne — Anka przerwała jej obcesowo. — A w ogóle gdzie jest Marcin? — Rozejrzała się po mieszkaniu, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że Małgorzata ma męża.

— W Krakowie. Na szkoleniu.

— Aha. — Przyjaciółka zamilkła na chwilę. — No to co? Co z tymi badaniami? — wróciła do poprzedniego tematu. — Dlaczego stchórzyłaś?

Małgorzata podeszła do okna. Latarnia naprzeciwko zamigotała nerwowo, a chwilę później zgasła. Na chodniku, w miejscu jasnej plamy, pojawiła się ciemność. Nie licząc pijaka dogorywającego na ławce, ulica była kompletnie pusta. Ostatnie autobusy wróciły już do zajezdni. Pierwsze jeszcze z niej nie wyjechały.

Zrobiła kilka głębokich wdechów i odwróciła się.

— Jest inaczej, niż ci się wydaje. Odebrałam wynik.

— Naprawdę? — Anka uniosła brwi wysoko do góry. Rysy jej się wygładziły, a na twarz wypłynął łagodny uśmiech. — No to dlaczego się nie odezwałaś, wariatko? — Okrążyła stół i stanęła przy Małgorzacie. — Komórka ci padła?

Małgorzata przymknęła oczy, nie mogąc patrzeć na radosną twarz przyjaciółki. Czy ona naprawdę nie zakładała pesymistycznego scenariusza?

— Aniu, ale ty nic nie rozumiesz. — Zapięła sweter po samą szyję i zaplotła ręce na piersi. Nagle zrobiło jej się zimno. — Ja mam HIV.

Wyraz twarzy Anki nie zmienił się nawet odrobinę.

— Jaja sobie ze mnie robisz!

— Nic z tych rzeczy — odpowiedziała Małgorzata poważnie.

Wyszła do przedpokoju, skąd przyniosła wyniki.

Przyjaciółka patrzyła na kartkę w skupieniu.

— To niemożliwe. — Pokręciła głową, kładąc świstek na stole. — Musieli się pomylić.

— Nie sędzę.

— Nikt nie kazał ci powtórzyć badania? — Anka rzuciła przyjaciółce uważne spojrzenie.

— Nie.

— Myślę, że trzeba to zrobić. Musisz mieć pewność.

— Aniu, ja już ją mam! Kazałaś mi zrobić badania, żebym miała pewność. Teraz, kiedy mam już wyniki, ty znowu każesz mi się upewniać. Ile razy jeszcze? Zrozum. Jestem chora.

— Najwyżej zarażona. Z HIV można żyć, trzeba tylko być pod stałą kontrolą lekarzy. To jednak temat na później, a może na nigdy. Musisz jeszcze raz się zbadać, Małgosiu. — Stanęła przy Małgorzacie i wzięła jej lodowate ręce w swoje ciepłe dłonie.

— Nie ma mowy.

Była wściekła na Ankę. Jej słowa wzbudzały w niej niepotrzebną nadzieję. A ona

już jej nie chciała. Nie miała siły na kolejne upokorzenia.

— Ja po prostu nie wierzę, że jesteś chora.

— A ja niestety wierzę — odparła twardo. — Więcej — wskazała na leżące na stole wyniki — mam na to dowód.

— Okej. Rozumiem. — Anka najwyraźniej postanowiła spasować. Przynajmniej na chwilę.

Rozejrzała się po kuchni i zdjęła z oparcia krzesła torebkę.

— Wejdz pod prysznic, a ja idę do monopolowego. Zostanę z tobą na noc — oświadczyła zdecydowanym tonem i już jej nie było.

Kiedy przyjaciółka wróciła ze sklepu, Małgorzata siedziała w piżamie przed telewizorem. Anka miała ze sobą reklamówkę z piwami i paczkę pistacji. Po chwili przyniosła z kuchni szklanki i sok malinowy. Wyłączyła telewizor i usiadła na łóżku.

— Masz jakąś piżamę?

— W moją się nie zmieścisz. Dam ci koszulkę Marcina.

— O nie, jeszcze by ją potem chciał dezynfekować. — Anka uśmiechnęła się krzywo. — Prześpię się w staniku — zdecydowała i zaczęła się rozbierać.

— Nie jesteś na mnie zła? Nie zawiodłam cię? — spytała cicho Małgorzata, kiedy siedziały już razem pod kołdrą, popijając piwo. Anka zajadała się pistacjami, Małgorzacie od samego patrzenia na nie robiło się niedobrze.

— Zawiodłaś? Zwariowałaś? Dlaczego?

— Że zaraziłam się tym paskudstwem.

Anka oblizała palce i sięgnęła po szklankę.

— Wariatka!

Dom tonął w ciszy. Słysząc było tylko płynący przez rynny deszcz. Po parogodzinnej przerwie znowu zaczęło padać.

Małgorzata pomyślała, że teraz tak to już będzie wyglądać. Deszcz, plucha, długie wieczory. Nie znosiła jesieni. Zwłaszcza tej późnej, listopadowej. Zły nastrój dopadał ją pierwszego listopada i odpuszczał dopiero przed świętami.

— Ty to jesteś farciara — Małgorzata pierwsza przerwała milczenie.

Anka sięgnęła po następną butelkę piwa i nałala sobie pół szklanki.

— Dlaczego?

— Takie masz fajne życie.

— Co? — Anka uniosła brwi wysoko do góry.

— Wciąż masz rodziców, brata, jesteś zdrowa... A ja. Ten HIV, i mama... I ojciec — Małgorzata pociągnęła nosem.

Anka pokręciła głową, odstawiając szklankę na stół.

— Ja mam szczęście? Ja? — Położyła dłoń na piersi, a na jej twarz wypłynął ironiczny uśmiech. — Ojciec alkoholik, znerwicowana, schorowana matka. Moje dzieciństwo to był koszmar.

— Wiem — przytaknęła szybko, przypominając sobie opowieść przyjaciółki z wieczoru panieńskiego.

Anka gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nic nie wiesz.

Wyszła z łóżka i zaczęła nerwowo szukać czegoś w kieszeni spódnicy. Po chwili wyjęła z niej paczkę papierosów. Rzuciła ubranie z powrotem na podłogę. Duże piersi ubrane w skąpy koronkowy stanik zafalowały niespokojnie.

— Gównu wiesz — powtórzyła, wsuwając sobie papierosa do ust. Usiadła na kołdrze po turecku, zwracając twarz ku oknu, za którym rozpętała się prawdziwa ulewa. Małgorzacie znowu zrobiło się zimno. Wsunęła się głębiej pod kołdrę.

— To mi powiedz — poprosiła.

Anka kilka razy nerwowo się zaciągnęła, po czym zgasiła papierosa na deserowym talerzyku. Długo milczała zatopiona w myślach.

— Mój ojciec... Ten skurwysyn... — odezwała się w końcu cicho, po czym znowu zamilkła.

— Tak? — Małgorzata poczuła dreszcze na plecach. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała Ankę tak poruszoną.

— Bił mnie.

— Co takiego?

— Pasem, ręką, sznurem od żelazka, a kiedyś — przyjaciółka przełknęła głośno ślinę — popchnął mnie i uderzyła głową o kaloryfer. Wylądowałam w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu. — Spojrzała na przyjaciółkę martwym wzrokiem.

— Ile miałaś...?

— Ile miałam lat? Siedem. Spójrz. — Anka odchyliła włosy, pokazując białą kreskę wysoko na karku. — Do tej pory mam bliznę. Nienawidzę go — wycodziła przez zęby. — Jezu, jak ja go nienawidzę!

Opadła ciężko na poduszkę i odwróciła się do przyjaciółki plecami. Czarne włosy spływały gęstą kaskadą na pościel. Małgorzata włożyła w nie palce. Były miękkie, jedwabiste.

Przypomniał jej się tata. Kiedy był już w stadium terminalnym, też brała jego głowę na kolana. Zamykał oczy, a na jego wychudzonej, nieogolonej twarzy pojawiał się cień uśmiechu. Nigdy nie podniósł na Małgorzatę ręki. Nigdy nawet na nią nie krzyknął.

— Kiedy byłam całkiem mała i nie chciałam spać, ojciec przywiązywał mnie do łóżeczka, żebym nie wstawała. Nie cierpiał czerwieni. Wiesz, co zrobił, kiedy mama kupiła mi rajtuzy w tym kolorze? — Twarz Anki wykrzywiła się w grymasie gorzkości. — Wrzucił je do pieca! Pamiętam tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach, choć miałam może z sześć lat. „Nikt w tym domu nie będzie nosił czerwonych ubrań!” — wrzeszczał.

— A mama? Co ona na to?

— A co ona mogła? Ją też bił. Kiedyś, na swoich urodzinach, powiedziała coś, co mu się nie spodobało. Miłym tonem poprosił ją do kuchni, a tam przyłożył jej tak, że wylądowała pod stołem. — Anka sięgnęła po kolejnego papierosa. W milczeniu przyglądała się wężykom deszczu płynącego po szybie. — To była taka piękna kobieta. Gdybyś zobaczyła ją na zdjęciach z młodości... Śliczna, naprawdę, jak gwiazda przedwojennego kina. Miała ogromne powodzenie. Nie rozumiem, dlaczego wyszła za kogoś takiego. Kiedyś ją o to spytałam. Powiedziała, że to był pierwszy facet, który się jej sprzeciwił. Wszyscy inni jedli jej z ręki... Wyobrażasz sobie?

— Nie. — Nie wyobrażała sobie. Ani zachowania matki Anki, ani tego, jak to

możliwe, że przyjaciółka dopiero teraz jej o tym wszystkim opowiada. Najwyraźniej obie miały w tej przyjaźni tajemnice.

— A Michał? Jego też bił?

Przyjaciółka energicznie pokręciła głową.

— Nie. Jego nie tknął. Nie wiem dlaczego. Może dwie ofiary wystarczyły? A może po prostu nie lubi kobiet.

Nagle wszystko stało się dla Małgorzaty jasne. Dlaczego Anka tak się troszczyła o rodzinę, dlaczego była tak bardzo związana z bratem. Związek przyjaciółki z matką też zobaczyła z zupełnie innej perspektywy.

— Czemu nic nie zrobiła? — spytała cicho.

— Kto? Matka?

— Tak. Dlaczego nie odeszła? Która matka patrzy spokojnie na to, jak mąż katuje jej dziecko? To patologia!

— Nie wiem. — Anka wzruszyła ramionami. — Może się bała, a może go kochała. Zresztą chyba wciąż go kocha. Jakąś chorą, poddańczą miłością. Michał się wyprowadził, ja też, z powodzeniem mogłaby pójść w nasze ślady. Nawet jej to zaproponowałam, chciałam kupić w moim bloku drugie mieszkanie. Zapomnij!

— Ojciec nadal ją bije?

— Nie, jest już za stary. I chory. Po tylu latach picia ma wątrobę jak sito. Z worka treningowego mama awansowała na pielęgniarkę. — Anka podniosła się na łokciach i spojrzała Małgorzacie prosto w twarz. — Wiesz, co mnie boli najbardziej? — spytała.

— Tak?

— Że jestem taka do niego podobna.

— Podobna? — spytała Małgorzata ze zdziwieniem. Przed oczami stanął jej ojciec Anki — szczupły, łysiejący facet o atletycznej budowie ciała. Kiedy była młodą dziewczyną, nawet jej się podobał. Podczas wizyt Małgorzaty w domu przyjaciółki nigdy nie był pijany. A może ona — w końcu zupełnie obcy człowiek — nie dostrzegала oczywistych dla rodziny symptomów? Kiedyś nawet miała wrażenie, że ojciec koleżanki ją podrywa. Zrobił jakąś aluzję, rzucił zaproszenie na kawę, coś w tym rodzaju. Uznała to za dobry żart, a on nie wrócił już do tematu. Pomyślała sobie nawet, że to nic dziwnego, iż facet szuka kochanki. Matka Anki wyglądała o dziesięć lat starzej od niego. Zanedbana, nieumalowana i ciągle jakby zgięta w pół. — Nie jesteś do niego podobna — zaprzeczyła stanowczo.

— Nie tutaj. — Anka pociągnęła się za włosy. Tak mocno, że w zaciśniętej pięści zostało kilka czarnych kosmyków. — Tu. — Pokazała na głowę. — W środku.

— Co ty opowiadasz?

— Jestem alkoholiczką jak on — odpowiedziała Anka głuchym głosem, spoglądając przyjaciółce wyzywająco w oczy.

Małgorzata zagryzła wargi. Co miała odpowiedzieć? Słabość Anki do alkoholu od dawna budziła jej obawy. Te ciągi, w które wpadała, kiedy była w dole, picie do lustra, no i niemal zawsze przychodziła na spotkanie po piwie lub dwóch. Czy taką osobę można jednak nazwać alkoholiczką? Alkoholik to ktoś, kto przez picie wszystko zawala, a Anka przecież tak świetnie radziła sobie w pracy.

Przyjaciółka nie podzielała jej wątpliwości.

— Jestem pierdoloną alkoholiczką jak ten skurwysyn.

— I co zamierzasz z tym zrobić? — zapytała Małgorzata po dłuższej chwili.

Anka nie odpowiedziała. Wzdychając ciężko, wsunęła się pod kołdrę.

— Na pewno nie chcesz powtórzyć badań? — upewniła się Anka, kiedy zmęczone piły poranną kawę.

To była trudna noc. Jak tylko Małgorzacie udało się uspokoić na chwilę walące mocno serce i zapaść w delikatną drzemkę, od razu budziła się jeszcze bardziej zdenerwowana. Ze stresu bolało ją całe ciało — od głowy po palce u stóp. Anka chyba męczyła się tak samo jak ona, nie próbowały już jednak ze sobą rozmawiać. Każda mierzyła się ze swoimi demonami sama.

Dochodziła ósma. Przez uchylone okno dobiegało głośnie bicie dzwonów. Na dole, pod schody prowadzące na kościelny dziedziniec podjechał karawan. Wokół drzwi kościoła zebrało się kilkanaście ubranych na czarno osób.

— To nie ma sensu, Aniu... — odpowiedziała Małgorzata cicho. Czowała się podle. Oczy pełne piasku i wrażenie, jakby ktoś zgniatał jej skronie wielkimi obcęgami.

— A Marcin? Chcesz mu powiedzieć?

— Oczywiście. Jak tylko wróci do domu.

— Na twoim miejscu... — Anka zwinęła usta w dzióbek.

— Aniu, ile razy musiałabym powtórzyć wynik, żebyś uwierzyła, że jestem chora? — Małgorzata przerwała ze zniecierpliwieniem.

Przyjaciółka nie odpowiedziała. Też wyglądała na zmęczoną. Z rozmazanym tuszem i włosami w nieładzie perfekcyjna zwykle Anka wreszcie przypominała normalną kobietę.

Siedziały w ciszy, popijając kawę i obserwując przez okno transportowanie trumny do kościoła. Mąż nazywał ten niemal codzienny widok ich prywatnym memento mori.

— Muszę powiedzieć Marcinowi. Nie mogłabym codziennie patrzeć mu w oczy i ukrywać przed nim czegoś takiego. Poza tym jeśli jest zarażony, powinien zacząć się leczyć.

Przyjaciółka przygryzła wargę.

— To będzie trudna rozmowa. Nie wiem, czy wasze małżeństwo ją przetrwa.

Małgorzata wzruszyła ramionami.

— Będzie, co ma być. Wiesz, ja się nie boję, że on odejdzie. Najbardziej boję się, że nie będzie chciał się leczyć. Że się załamie.

— Marcin? No coś ty. Nie znam bardziej poukładanego i opanowanego faceta.

— Nie codziennie ludzie dowiadują się, że ukochana żona zaraziła ich HIV...

Anka w odpowiedzi tylko pogłaskała przyjaciółkę po twarzy.

— A co z tobą? — spytała Małgorzata.

Wciąż brzmiała jej w uszach ich nocna rozmowa. Przyjaźniła się z Anką od studiów, dobre kilkanaście lat, a teraz okazało się, że prawie nic o niej nie wiedziała. Akceptowała wysoki przyjaciółki, owszem, ale nie do końca je rozumiała. Dopiero teraz... Tak bardzo skrzywdzona przez ojca Anka nie mogła mieć normalnego życia uczuciowego. I jeszcze ten jej alkoholizm. Niby nic nowego, Małgorzata już dawno

zauważyła, że przyjaciółka przesadza z używkami, nie miała jednak pojęcia, że problem jest tak poważny. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że Anka sama przyznała się do nałogu. Do tej pory nie można było nawet delikatnie nawiązać do tematu, od razu wystawiała kolce. Co sprawiło, że postanowiła się otworzyć? Sytuacja Małgorzaty? Zresztą nieważne dlaczego, ważne, że wreszcie się przyznała. To podobno najtrudniejsze. „Może wszystko się jeszcze ułoży?” — pomyślała z nadzieją. W życiu Anki, oczywiście. Jeśli chodzi o jej własne życie, na nic dobrego już nie liczyła.

Przyjaciółka tylko machnęła ręką.

— Zgłoś się po pomoc, Aniu. Gdziekolwiek — poprosiła Małgorzata cicho. — Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla Michała. Zasługuje na trzeźwą siostrę.

Postanowiła, że nie pojedzie do pracy. Miała odruchy wymiotne, kręciło jej się w głowie, ledwo trzymała się na nogach. Przed dziewiątą zadzwoniła do sekretariatu. Rzadko brała zwolnienia, więc pani Krysia gładko przełknęła informację, że źle się czuje i musi iść do lekarza. Małgorzata ją lubiła. Była ciepłą, wyrozumiałą kobietą matkującą wszystkim — od sprzątaczek po nauczycielki. Tylko z Baryłą trudno jej się było dogadać.

— Władza psuje ludzi, pani Małgosiu — mawiała — ale nasza dyrektorka była zepsuta na długo przedtem, zanim objęła stanowisko.

Krytykowała Baryłę za wybuchowość, nepotyzm i ograniczone horyzonty. Nie podobało jej się też, że dyra faworyzuje facetów. Co roku w Dzień Nauczyciela Baryła przydzielała wybranym pracownikom nagrodę dyrektora. Chociaż dziewięćdziesiąt procent zatrudnionych stanowiły kobiety, nagrodzonych mężczyzn każdego roku było dwa razy więcej niż ich.

Po rozmowie z panią Krysią Małgorzata zadzwoniła do przychodni. Musiała mieć jakiś papierek. Nauczyciele, w odróżnieniu od reszty świata, nie mogą wziąć urlopu na żądanie. Jedyne sposoby, aby załatwić sobie zwolnienie od ręki, to wyżebranie lewego L-4.

Zastanawiała się, co powie lekarce. Może skłamię, że bolą ją stawy? Kiedyś już to przerabiała. Przewiało ją tak mocno, że nie potrafiła się ruszyć. Gdyby nie pomoc Marcina, nie byłaby w stanie nawet przewrócić się na łóżku. Wiedziała, co powinna powiedzieć, żeby dostać wolne.

Anka upierała się, że zostanie z Małgorzatą, miała przecież urlop, ale przyjaciółka kazała jej wracać do domu. Anka wystarczająco się już dla niej poświęciła. Zmarnowana wycieczka, nieprzespana noc. Teraz powinna odpocząć. Przyjaciółka oczywiście protestowała, ale Małgorzacie udało się w końcu postawić na swoim.

— No, dobra, tylko bez żadnych numerów. — Wychodząc na klatkę schodową, Anka rzuciła jej nieufne spojrzenie.

— Nie skoczę z dachu, jeśli o to ci chodzi. — Małgorzata odwróciła wzrok, jakby przyjaciółka mogła wyczytać z jej oczu, o czym myślała, stojąc na uczelnianym korytarzu.

— Nawet tak nie mów. — Anka zbiegła po schodach.

Zatrzymała się na półpiętrze. Małgorzata wciąż stała w drzwiach.

— Daj znać, jak pogadasz z Marcinem. Przyjadę.

— Dobrze. Aha, Aniu, czy prosiłaś Alicję, żeby się ze mną skontaktowała?

— Tak. Nie chciałaś mi otworzyć, miałam nadzieję, że z Alą będziesz chciała gadać. Martwiłam się.

— Ale nic jej nie powiedziałaś?

— Nie żartuj. A swoją drogą to dziwne, niby się przyjaźnicie, a chyba nie do końca jej ufasz.

Małgorzata nigdy tak o tym nie myślała, ale teraz przyszło jej do głowy, że Anka ma rację. Faktycznie, mimo wielkiej sympatii i podziwu dla Alicji, nigdy do końca się przed nią nie otworzyła. Może za późno się poznały? Trudno w wieku trzydziestu paru lat obdarzyć kogoś stuprocentowym zaufaniem.

— Wydaje ci się — zbyła Ankę. Nie miała ochoty roztrząsać tej kwestii, a na pewno nie chciała robić tego z kimś trzecim. Małgorzata była zwolenniczką teorii, że w przyjaźni najważniejsza jest lojalność. Nie potrafiła sobie wyobrazić sytuacji, w której jednej przyjaciółce zdradza sekrety drugiej. Poza tym... czy ona i Anka nie udowodniły właśnie ostatniej nocy, że także ich przyjaźń nie jest taką na milion procent? W końcu każda z nich ukrywała przed tą drugą spory kawałek swojej biografii...

Wystarczyło kwadrans, aby się przekonała, że samotność nie jest tym, czego w tej chwili najbardziej potrzebuje. Pustka w domu ją przytłaczała. Parę minut po wyjściu Anki zadzwonił Marcin z informacją, że wróci później. Szkolenie miało trwać do osiemnastej, a potem zamierzali jeszcze z Maćkiem zjeść kolację na mieście. Zdziwił się, że Małgorzata jest w domu, ale wiadomość o wizycie u lekarza przyjął ze zrozumieniem.

— Wyleż się, odpocznij, przyda ci się. Ostatnio jesteś jakaś nieswoja. Zadzwonię koło południa — zapowiedział na koniec.

Jeśli chodzi o późny powrót Marcina do domu, miała mieszane uczucia. Z jednej strony chciała mieć już rozmowę z nim za sobą, z drugiej najchętniej w nieskończoność odsuwałaby moment konfrontacji.

W przychodni były tylko dwie pacjentki. Dziewczyna w skórzanej kurtce, wzorem innych młodych ludzi oddzielona od realnego świata słuchawkami, i staruszka w hawajskiej koszuli. Lekarką okazała się bardzo młoda dziewczyna. Stażystka? Małgorzata zauważyła, że zatrudnianie osób bez doświadczenia to ostatnio w przychodni na Kwiatowej norma. Kiedy wiosną przyszła tu z grypą, lekarz, który ją przyjął — wstydlivy dwudziestoparolatek — nawet jej nie osłuchał.

Lekarka była zdecydowanie odważniejsza. To Małgorzata nagle zaczęła się krępować. Dziewczyna była piękna, długowłosa, o regularnych rysach twarzy. Małgorzata rozebrała się, zastanawiając się, o czym myśli, kiedy na nią patrzy. Czy wydaje jej się stara? Przejrzała? Czy wciąż — jak większość młodych ludzi — żyje w iluzji, że jej ciało nigdy się nie zestarzeje? Skóra nie stanie się bardziej pergaminowa, ramiona nie sflaczeją, powieki nie opadną. Siedząc na lekarskiej kozetce, Małgorzata nagle zaczęła rozumieć dramat, jaki przeżywają kobiety, które mąż zdradził z kimś młodszym. To podwójny cios.

— Gardło i oskrzela są czyste — orzekła piękność, odkładając stetoskop. — To chyba faktycznie stawy. Przepiszę pani coś przeciwwzapalnego i dam tydzień zwolnienia. Gdyby nie było poprawy, proszę się pokazać. A czy przyjmuje pani jakieś witaminy? — Zmarszczyła brwi. — Jakoś blado pani wygląda. Myślę, że odpoczynek naprawdę się pani przyda.

„No, cóż, pani doktor, tak się składa, że jestem seropozytywna” — Małgorzacie przemknęła przez myśl ironiczna myśl. Przyglądając się uśmiechniętej lekarce, zastanawiała się, jak zareagowałyby na taką wiadomość. Nadal pokazywałyby w uśmiechu śnieżnobiałe zęby, a może ekspresowo zakończyłyby wizytę, a potem długo spryskiwałyby dłonie jakimś antyseptycznym specyfikiem w sprayu? Małgorzata miała przeczucie graniczące z pewnością, że to drugie.

Po wyjściu z gabinetu zadzwoniła do szkoły. Odebrała pani Krysią. Małgorzata poinformowała ją, jak długo nie będzie jej w pracy, żeby dyrektorka mogła ustalić



zastępstwa, i obiecała, że przyniesie zwolnienie, jak tylko lepiej się poczuje. Na pewno nie dzisiaj. Dziś nie miała siły nawet na zakupy, choć lodówka, nieuzupełniana od paru dni, świeciła pustkami. Wstąpiła tylko po chleb. Dla Marcina, gdyby zgłodniał po powrocie, bo ona na pewno niczego dziś nie przełknie.

Wróciła do domu i usiadła przed telewizorem. Nie puszczała niczego ciekawego, zresztą w jej stanie ducha nie zainteresowałaby jej nawet film nagrodzony dziesięcioma Oscarami. Miała wrażenie, że jeśli za chwilę gdzieś nie wyjdzie, zwariuje. Na powtórkę z wczoraj nie miała ochoty. Żadnego alkoholu, gawędzenia z przygodnie poznanymi facetami, żadnego włóczenia się po mieście. Anki też nie chciała dłużej obarczać swoim nieszczęściem, choć przyjaciółka od powrotu Małgorzaty z przychodni zdążyła już dwa razy zadzwonić do niej z propozycją spotkania. Może zobaczyłaby się z Alicją? Przyjaciółka miała dziś tylko dwie lekcje, pewnie jest w domu albo u Kuby. Małgorzata nie miała zamiaru z niczego się jej zwierzać, ale ciepła obecność matematyczki na pewno podziałałaby na nią kojąco. Zadzwoniła do Alicji, ale przyjaciółka nie odebrała. Mimo to postanowiła do niej pójść.

Ubierała się, kiedy zatelefonował Marcin. Mieli akurat przerwę w zajęciach. Dziwnie jej się z nim rozmawiało. Jak z kimś obcym. Może chodziło o dzielące ich kilometry? Kiedy wyjeżdżasz, jest trochę tak, jakbyś znalazł się nagle w innej rzeczywistości, w innym życiu. Jak ona w Sandomierzu. Wiele razy zastanawiała się, czy gdyby spotkała Jareckiego w Katowicach, potrafiłaby ot tak wypić z nim drinka, pójść na spacer, a potem do hotelu. Czy przeszkodziłaby jej w tym świadomość, że trzydzieści kilometrów dalej czeka na nią mąż? Nie potrafiła pojąć, jak ludzie mogą uprawiać seks z kochankami w swoim mieszkaniu. W łóżku, w którym na co dzień sypiają z małżonkiem. Pamiętała opowieść Anki o dziewczynie, która spotykała się regularnie na seks z tak zwanym przyjacielem domu. On przyjeżdżał wcześniej, kiedy mąż był jeszcze w pracy, kochali się, a potem siadali we troje do stołu i jedli obiad. Jak zakłamanym trzeba być, żeby robić coś takiego? A może to Małgorzata była zakłamaną, uważając, że miejsce ma znaczenie? Zdrada to zdrada. Wszystko jedno gdzie.

— A wiesz — odezwał się Marcin, przekrzykując szum korytarza — spotkałem tu gościa z Giebla.

— Tego Giebla? — zdziwiła się.

— Tak, z wioski, z której pochodziła twoja mama. Sympatyczny facet, mieszka niedaleko kościoła. Skojarzył nawet wasz domek. Zdaje się, że jest w dobrych układach z nowymi właścicielami.

— Niesamowite.

— Prawda?

„Naprawdę dziwny przypadek” — pomyślała, kiedy Marcin się rozłączył. A może wcale nie przypadek?

Alicji nie było w mieszkaniu, nie odbierała też komórki. Małgorzata postanowiła, że nie będzie ścigać jej w szpitalu, to byłoby niezręczne. Wrzuciła kierunkowskaz, żeby zjechać na parking przy bazylice, kiedy nagle zmieniła zdanie. Przepuściła pieszych na pasach, po czym z impetem ruszyła przed siebie.

Zaskoczyła ją nowa droga. Chyba nowa, w końcu nie była w Gieble wiele lat.

Zamiast jechać wąską, krętą ścieżką przez centrum Siewierza, omijało się miasto czymś w rodzaju obwodnicy.

Poczuła, jak ściska jej się serce, już kiedy przejeżdżała obok ruin ogrodzienieckiego zamku. Jako dziecko odwiedzała je z rodzicami w każde wakacje. Znała każdy kamień, każdy schodek. Z zamkowej wieży, tej najwyższej, można było zobaczyć wysoki kasztanowiec rosnący przed chatką w Gieble. Zresztą to działało w obie strony. Z okien domu było widać zamek w całej okazałości.

Minęła Ogrodzieniec, pierwsze Giebło, zwane przez mieszkańców Czarnym Lasem, i dojechała do tego właściwego — jej i mamy.

Zatrzymała się na parkingu przy cmentarzu. Naprzeciwko znajdował się dom parafialny, przed laty zamieszkiwany przez zakonnice. Faustynki albo franciszkanki, nie była pewna. Pamiętała tylko, że nosiły brązowe habity i wysokie welony odsłaniające włosy. W wakacyjne poranki razem z Basią przynosiły im w kobiałce mleko. Rodzice przyjaciółki byli właścicielami sporej hodowli krów, a przy tym mocno zaangażowanymi w życie Kościoła parafianami.

Wyszła z samochodu i zaciągnęła się rześkim powietrzem. Potem z uwagą rozejrzała się wokół siebie. W odróżnieniu od Piekar, które z roku na rok stawały się coraz bardziej betonowe, Giebło pozostało dokładnie takie, jakie je pamiętała. Nieduża malownicza wieś położona pośród pól i lasów. Nawet jarzębiny, umilające Małgorzacie i Basi spacerować do centrum wsi, wciąż porastały pobocze wąskiej drogi prowadzącej do ich domów. Małgorzata przypomniała sobie zabawę, którą mama każdego lata urządzała dla niej, Basi i innych wiejskich dzieciaków. Za dwa złote o dziesiątej wieczór mieli przebiec kilkudziesięciometrową nieoświetloną drogę z domu do cmentarza. Trzęśli portkami ze strachu, ale dawali radę. Dwa złociszta to było coś!

Mama. Zwariowana i pełna energii. Małgorzata pamiętała, jak od czasu do czasu przypuszczała razem z córką atak na ojca czytającego na tapczanie gazetę. Zaczęły się za drzwiami, a potem z dzikim wrzaskiem na ustach wskakiwały na zaskoczzonego tatę. Lubiała przypominać sobie takie momenty z rodzinnego życia. Obrazki, które pokazywały, że matka była zwyczajną kobietą. Tak łatwo po przedwczesnej śmierci rodziców zrobić z nich świętych, a z siebie samej kogoś, kto nie dorasta im do pięt.

Westchnęła głęboko, po czym obróciła się i weszła przez furtkę na cmentarz. Rodzinny grób znajdował się na końcu głównej alejki, po prawej stronie. Spoczywały w nim szczątki nie tylko dziadków i ich dzieci, ale także siostry babci, która zmarła przy porodzie w wieku dwudziestu czterech lat. Małgorzatę od dzieciństwa fascynowała ta historia. Umierająca kobieta i jej konające dziecko — ten obrazek mocno działał na wyobraźnię małej dziewczynki.

Zresztą pożywek dla fantazji było wiele. Książki, opowieści mamy, a nade wszystko ciotki Leny, która — niezamężna i bezdzietna — często odwiedzała siostrę i szwagra. Małgorzata, oczko w głowie cioci, spędzała z nią wiele czasu. W młodości ciotka miała wielu adoratorów i chętnie o nich opowiadała. Małej Małgosi najbardziej utkwiła w pamięci historia Mietka, z którym ciocia spotykała się jako dziewiętnastoletnia dziewczyna. Bez wiedzy swojej mamy, która sprzeciwiała się temu związkowi, postanowiła wziąć z nim ślub. Przyczyna matczynej niechęci? Parę lat wcześniej chłopak

zrobił dziecko jakiejś dziewczynie z sąsiedniej wsi. Niemowlę zmarło, dziewczyna wyszła za mąż za innego, ale dla babci — osoby głęboko wierzącej — niechlubna przeszłość mężczyzny stanowiła wystarczający powód, żeby zabronić córce się z nim kontaktować.

O ślubie z Mietkiem ciotka powiedziała matce na dzień przed planowaną uroczystością. Mama zemdląła, a kiedy odzyskała przytomność, szybko spakowała walizkę i razem z córkami wyjechała do swojego brata, do Kielc. Następnego dnia, kiedy pan młody wraz z orszakiem weselnym przyjechał do domu narzeczonej, pocałował kłamkę.

Mietek długo nie mógł wybaczyć narzeczonej, że wystawiła go do wiatru. Przychodził pod jej dom i krzyczał, że ją zabije. Kiedyś nawet wbił w drzwi siekiere. W końcu mu przeszło. Znalazł sobie inną kobietę, ożenił się, a ciocia wspominała, że kiedy przypadkiem spotykała go w Zawierciu, gdzie mieszkał, zawsze witał się z nią z uśmiechem. Jak ona przeżyła tę sytuację? Czy kochała Mietka? Czy żałowała, że posłuchała matki? Małgorzata nigdy nie zadała ciotce tego pytania.

Na wąskim przesmyku ziemi tuż przy chodniku wyrosły kępki trawy. Małgorzata pochylała się i zaczęła je wyrywać. Nie знаła matki swojej mamy — babcia umarła dwa lata przed jej narodzinami — ale często o niej myślała. Podobno jako młoda dziewczyna babcia kochała się nieszczęśliwie w chłopaku z sąsiedztwa. Miłość była wzajemna, nieszczęście polegało na tym, że chłopak był chory i rodzice babci sprzeciwiali się ślubowi. Więcej, nawet znaleźli jej innego kandydata na męża. Gruźlik zmarł kilka miesięcy po ślubie ukochanej. Teściowa nawet nie pozwoliła babci pójść na jego pogrzeb.

Życie babci nie było usłane różami. Dwie wojny, trójka pochowanych dzieci, wczesne wdowieństwo, a potem trudy samotnego wychowywania dzieci i gospodarzenia. A jednak nie użalała się nad sobą. Ludzie zapamiętali ją jako odważną, silną kobietę. Tylko raz poskarżyła się na swój los. Kiedy mama chciała zabrać do swojego domu leżące na szafie stare obrazy przedstawiające Matkę Boską Bolesną i Jezusa Cierniem Ukoronowanego, które dziadkowie dostali od rodziców babci w prezencie ślubnym. Babcia stanowczo zaprotestowała. Była przekonana, że swoje ciężkie życie zawdzięcza smutnym obrazom. Małgorzata nie wierzyła w zabobony, mimo to przed sprzedażą domu zawiozła malowidła na targ staroci. Po co kusić los?

Wędrowała wolnym krokiem w dół ulicy, rozmyślając nad rodzinną historią. Jak często powielamy zachowanie swoich rodziców, nawet to, które sprawiło nam ból. Rodzice babci nie pozwolili jej być z tym, kogo kochała, a potem ona zrobiła to samo swojej córce. I ona, i jej matka kierowały się szczęściem swojego dziecka. Szczęściem rozumianym jednak po swojemu...

Jarzębiny czerwieniły się w słońcu, a błękitne niebo przypominało to nadmorskie, które tak z Marcinem kochali. Szosa była zupełnie pusta, tylko gdzieś w oddali jakiś mężczyzna w czapce i kufajce przeprowadzał przez ulicę krowę.

Minęła starą chałupę Krawczyków. Z ich synem, Piotrkim, połączyło ją pierwsze młodzieńcze uczucie. Pamiętała wycieczki do lasu, na jabłka do sąsiadów, pierwsze nieśmiałe pocałunki przy polnym krzyżu. Ciekawe, co się z nim teraz, dorosłym już mężczyzną, dzieje. Z nim, z Basią. Pewnie wyjechali ze wsi za chlebem — do Katowic

albo do Krakowa.

Kiedy zza drzew wyłoniła się chatka mamy, Małgorzata aż wstrzymała oddech z przejęcia. Dom wyglądał jak na zdjęciach z dawnych lat, kiedy mama mieszkała tu ze swoją rodziną. Odmalowane ściany z belek, czerwona dachówka, płot, zza którego wychylały się żółte główki słoneczników. Mama dbała o obejście, sadziła kwiaty, ozdabiała okna pelargoniami, ale poza zburzeniem stodoły i zmianą dachu rodzice nie przeprowadzili po śmierci babci żadnego większego remontu.

Stała przed bramą. Podwórko pyszniło się równo wystrzyżoną trawą i zadbanymi klombami. Na środku nadal rósł olbrzymi kasztanowiec. Małgorzata żałowała, że furka i okiennice są zamknięte. Miała wielką ochotę zajrzeć do środka i choć przez chwilę poczuć atmosferę tamtego czasu, swoich najszcześniejszych wakacji.

Z ociąganiem opuściła ścieżkę i przeszła na drugą stronę ulicy. Dom Basi, dwupiętrowy moloch zbudowany z białych pustaków, wyglądał na zamieszkały, jednak podwórko było puste. Niewiele się tam zmieniło. Hydrant, z którego rodzina Małgorzaty pożyczała wodę, mając do dyspozycji wyłącznie studnię, stał na swoim miejscu, śliwa sprawiała wrażenie jeszcze dorodniejszej, a malwy — tak jak niegdyś — zdobiły szary płot pięknym czerwonym kolorem. Brakowało tylko żółtego kundla sąsiadów — Pajdy. Małgorzata kochała go, jakby był jej własnym zwierzakiem. Zresztą w domu sąsiadów też czuła się jak u siebie. Ojciec Basi nazywał ją nawet swoją drugą córką.

— W polu są — Małgorzata sięgała po śliwkę leżącą w trawie, kiedy usłyszała za sobą męski głos. Należał do starszego mężczyzny o żółtych włosach poprządkanych pasmami siwizny. Jego spalona słońcem, zniszczona twarz wydała się jej znajoma. Może dlatego, że w Gieble wszyscy starzy ludzie wyglądali jak rodzeństwo. Ciężka praca i słońce rzeźbiły ich oblicza w podobny sposób.

— Dziękuję — odpowiedziała.

Mężczyzna zdjął czapkę w geście pożegnania i opierając się na lasce, pokuśtykał w dół ulicy.

Małgorzata patrzyła na niego przez chwilę, po czym weszła na podwórko sąsiadów. Być tutaj i nie zajrzeć do Paciejów? Może staruszek się pomylił, może ktoś jednak został w domu?

Wspięła się po schodach i zapukała do drzwi. Czekala parę minut, ale nikt nie otworzył. „Może to i lepiej?” — przemknęło jej przez myśl. Z jednej strony bardzo chciała zobaczyć sąsiadów, z drugiej obawiała się takiego spotkania. O czym miałyby rozmawiać z czterdziestoletnią Basią?

Wychodząc na ulicę, spojrzała za siebie, w głąb podwórka. Obie bramy stodoły były otwarte na oścież. Wiatr poruszał skrzypiącymi skrzydłami, unosząc tumany kurzu. Za budynkiem rozciągał się widok, który Małgorzata pamiętała z dzieciństwa. Szeroka polna droga prowadząca na wzgórze.

Niewiele myśląc, zawróciła i weszła do środka. Stodoła pachniała znajomo. Sianem i kurzem. Przeszła przez nią i wyszła drugą bramą.

Teren wyglądał jak przed laty. Nawet krzewy malin, przy których spędziły z Basią niejedną wakacyjną godzinę, wciąż cieszyły oczy soczystą zielenią. Basia, jak wszystkie wiejskie dzieciaki, miała wiele obowiązków: sprzątanie, zakupy, zbieranie owoców, a ona

— znudzona letniczka — chętnie jej pomagała.

Stała na wzniesieniu i spojrzała w dół. Gdyby zeszała polami na asfaltową drogę biegnącą wśród drzew, szybko znalazłaby się w Mokrusie, wsi, z której pochodziła babcia. Dwadzieścia parę lat temu, gdy w któreś wakacje Małgorzata odwiedziła tam z mamą daleką rodzinę, chatka pradziadków jeszcze stała, przygotowywano ją już jednak do rozbioru. Małgorzata teraz pewnie nawet by nie poznała, że kiedykolwiek stał tam dom. Po chatynce ciotki Broni, którą nazywała babcią Igiełką, bo przy powitaniu zawsze kłuła ją w policzki sztywnymi włoskami porastającymi jej podbródek, też nie było już śladu. W chwili śmierci siostra babci miała prawie sto lat. Teraz nawet obaj jej synowie już nie żyli, a na miejscu dawnego domu i ogrodu z najlepszymi pod słońcem papierówkami stała nowobogacka willa obcych ludzi.

Wracając do stodoły sąsiadów, Małgorzata wspominała wakacje, które tu spędziła. Co roku przyjeżdżała z mamą do Giebla na co najmniej miesiąc. Ojciec pracował w Piekarach, a one odpoczywały na wsi. Czasem dołączała do nich ciotka Lena. Siadywała na kocu pod dziką wiśnią i wygrzewała się w słońcu. Wiezorami grywały we trzy w chińczyka albo w makao. Od czasu do czasu mama z cicią pozwalały Małgorzacie przysłuchiwać się swoim nocnym rozmowom. Najczęściej wspominały rodzinny dom. Tatę, który miał tak miękkie serce, że kiedy jeden jedyny raz w życiu dał starszej córce klapsa, przeproszał ją za to na kolanach. I mamę, ukrywającą miłość i wrażliwość za fasadą przedsiębiorczej, twardej baby. Małgorzata pamiętała, jak razem z mamą czytały książki. Rozkładały koc i kładły się na brzuchu — każda ze swoją powieścią. Mama, podobnie jak Małgosia, była mołem książkowym. Na co dzień zabiegana nauczycielka historii, w Gieble pozwalała sobie na totalne lenistwo. Lektury, kawki z cicią i koleżankami z dawnych lat, spacer. Zresztą mama z każdej chwili potrafiła uczynić święto. Nieważne, że bałagan, problemy — siadamy, jemy szarlotkę i już wszyscy są szczęśliwi.

Małgorzata wracała do samochodu pokrzepiona. Wspomnienia z dzieciństwa przyniosły jej ukojenie. Nadały temu, co właśnie przeżywała, właściwy wymiar. Owszem, popełniła ogromny błąd, ale przecież nie była morderczynią. Nie zaraziła się HIV świadomie i z premedytacją. Nie chciała skrzywdzić Marcina.

„A może faktycznie da się z tym żyć?” — pomyślała, wyjeżdżając na szosę.

Marcin wrócił do domu przed północą. Obudził Małgorzatę ciepłym pocałunkiem.

— Śpisz? — usłyszała jego pytanie, a chwilę później poczuła miękkie palce sunące wolno po udach.

Przeciągnęła się leniwie i obróciła w stronę męża. Wtulając nos w zarośniętą pierś, zaciągnęła się znajomym zapachem.

— Jak twoja grzybica? Możemy się już normalnie kochać? — pragmatyczne pytanie Marcina zadziało jak sole trzeźwiące. Nie, nie jest stęsknioną żoną czekającą na męża wracającego z delegacji. Jest nosicielką wirusa HIV, która będzie musiała wyznać ukochanemu mężczyźnie, że go zaraziła.

Błyskawicznie wyplątała się z objęć męża i usiadła na łóżku.

— Co się stało? — Marcin wciąż miał na ustach leniwy uśmiech. — Potrzebujemy gumek?

— Nie. Tak. Jestem zmęczona. Nie mam ochoty na seks — plątała się w wyjaśnieniach.

— Naprawdę? — Marcin najwyraźniej nie wziął jej słów na poważnie. Przesunął ręce po piersiach Małgorzaty, mocno ściskając sutki. Wbrew lękowi jej ciało błyskawicznie zareagowało na tę pieśczętę.

— Marcin, nie. — Odchyliła kołdrę.

— No co ty? Co się dzieje?

Odwróciła się do męża. Jego twarz tonęła w mroku, widziała tylko zarys ramion i pleców.

— Po prostu nie chcę się kochać. Przepraszam! — powiedziała o ton za głośno.

Czuła, że traci nad sobą panowanie. Zerwała się z łóżka i wyszła do kuchni. Po drodze przewróciła walizkę, którą Marcin postawił na środku pokoju. Nie włączając światła, zapaliła papierosa. Zaciągnęła się mocno, próbując uchylić lufcik.

— Co się dzieje? Palisz w domu? — Mąż stanął w drzwiach.

Wzruszyła ramionami, wydmuchując dym w kierunku okna.

— Idź spać, jutro będziesz zmęczony. — Nie chciała rozmawiać nocą.

— Źle się czujesz? Co z twoim zwolnieniem? — Mąż nie pozwolił łatwo się zbyć. — Masz jakieś problemy?

Odłożyła tłącego się papierosa na talerzyk i podeszła do męża. Wyciągnął rękę, żeby ją pogłaskać. Na krótką chwilę przywarła twarzą do ciepłego, pulsującego miejsca na jego szyi. Pachniał „Krzysztofem Kolumbem”, wodą toaletową, którą kupiła mu na ostatnie urodziny.

— Idź spać, porozmawiamy jutro — szepnęła.

— Na pewno?

— Na pewno.

— No, dobrze, ale nie siedź za długo.

Wyszedł, a ona wróciła do papierosa. Nikotyna trochę ją uspokoiła, nie na tyle jednak, żeby dała radę zasnąć. Wypiła jeszcze mocną melisę, połknęła trzy ziołowe tabletki na nerwy i dopiero potem wróciła do łóżka.

Rano obudziła się sama. Marcin wyszedł już do pracy. Nie wypili zwyczajowej kawy, pewnie uznał, że powinna wypocząć po ciężkiej nocy. Snuła się po domu w szlafroku do dwunastej, a potem zaczęła sprzątać. Przecierała kurz pod książkami, czego nie robiła chyba od miesiąca, umyła lampy w salonie i w kuchni, ułożyła garnki w narożnej szafce. Potem zabrała się za łazienkę. Wyszorowała do czysta umywalkę, wannę i ubikację, wyrzuciła puste fiolki po perfumach i wodach kolońskich. Papierowym ręcznikiem wypucowała lustro do czysta. W sypialni otworzyła szafę z ubraniami. Wyrzuciła na podłogę wszystkie ciuchy i zaczęła je przeglądać. Zielona bluza z kapturem, której nie założyła od kilku lat, przetarte na kolanach dżinsy, niebieska koszula, w którą już się nie mieściła. Wszystko zwinęła w kłębek i wrzuciła do plastikowego worka na śmieci. Na koniec dorzuciła staromodny zimowy płaszcz w pepitkę. Worek postawiła przy drzwiach, postanawiając, że ubrania wrzuci później do kontenera.

Nie umawiały się z Anką, a jednak kiedy Małgorzata usłyszała dzwonek domofonu, nie miała wątpliwości, że to ona. Przyjaciółka wpadła tylko na chwilę, niby w drodze na zakupy, ale Małgorzata wiedziała, że ją sprawdza. Wydawała się jakaś poważniejsza. Przygaszona.

— Zadzwoiłam tam — odezwała się, kiedy Małgorzata postawiła przed nią kubek z kawą.

— Do AA?

Anka zgromiła ją wzrokiem.

— Oszalałaś? Do Roberta.

— Odebrał wreszcie?

— Tak.

— I co u niego?

— Chyba mu już przeszło — odpowiedziała przyjaciółka minorowym głosem.

— Naprawdę? Tyle lat szaleństwa i nagle „przeszło”?

— Rozmawiał ze mną chłodno. I bardzo szybko się pożegnał, wymawiając się pracą.

— Myślisz, że chodzi o tę sprawę z barmanem? Że się jednak obraził? — dociekała Małgorzata. — W końcu każdy facet, nawet zakochany, ma swój honor.

Anka wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— I co teraz?

— Nie wiem. Chyba do niego pojedę. Mam parę wolnych dni.

Umilkła, a Małgorzata zaczęła się zastanawiać, czy powinna ją o to zapytać. O to, o co zamierzała spytać już dawno temu.

— Dlaczego właściwie... Dlaczego z nim wtedy zerwałaś? Wydawałaś się taka szczęśliwa.

— Ze strachu — odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

Na dłuższą chwilę zapadło między nimi milczenie.

— A teraz? Przystaniesz się już bać? — Małgorzata pierwsza przerwała ciszę.

Przyjaciółka nie odpowiedziała.

Anka zaproponowała przyjaciółce wyprawę do Świerklańca.

— Zakupy mogę zrobić później — orzekła, potwierdzając tym samym podejrzenia Małgorzaty, że to był tylko pretekst, aby ją odwiedzić.

Pobliski park był miejscem, które Małgorzata uwielbiała, więc chętnie przystała na tę propozycję. Czuła coraz większą panikę przed rozmową z Marcinem. Musiała ją jakoś rozładować. Zaczerpnąć powietrza.

W weekendy park pękał w szwach, ale o tej porze ludzi było niewiele. Jacyś rolkarze, rowerzyści, para emerytów. Mimo przygrzewającego mocno słońca w powietrzu czuć było nadchodzącą jesień. Zrobiły dwie rundki wokół stawu, na chwilę usiadły w kawiarni na świeżym powietrzu, gdzie wypiły szybką kawę, po czym wróciły do samochodu. Obie były w kiepskich nastrojach, każda z innego powodu, rozmowa nieszczęśliwie im się kleiła. Małgorzata spodziewała się, że Anka będzie jej wiercić dziurę w brzuchu, żeby powtórzyła badanie, ale, o dziwo, przyjaciółka nie wróciła już do tego tematu. Zresztą sprawiała wrażenie, jakby cały czas błądziła myślami daleko stąd.

— Wiesz, rozmawiałam z mamą — odezwała się, kiedy zajechały już pod bazylikę.

— O czym?

— O ojcu. O tym wszystkim, co nam robił. Spytałam, dlaczego na to pozwalała.

— I co ona na to?

— Zaczęła się tłumaczyć, że nie chciała mi fundować traumy rozvodu, że ślub kościelny, wierność i razem do śmierci. No wiesz... Typowe drobnomieszczańskie pieprzenie. Cały czas uważałam ją za ofiarę, ale po naszej rozmowie dotarło do mnie, że to nie do końca tak. Ona też była winna. Powinna była od niego odejść, powinna była mnie chronić. — W oczach Anki zabłyśły łzy. — Wiesz, mam wrażenie, że ją straciłam. Czuję się tak, jakby umarła. Wierzysz w kogoś, traktujesz jak pieprzoną gipsową figurkę i nagle gips pęka, a spod niego wysypują się tandetne świecidełka.

Małgorzata uśmiechnęła się smutno.

— Chyba wreszcie odcinasz pępowinę.

Przygotowała sałatkę grecką z grzankami, ulubioną potrawę Marcina. Warzywa polane delikatnym sosem winegret czekały już na talerzach, kiedy mąż wrócił do domu.

— Cześć, kotusiu. — Zamknął drzwi i mocno pocałował ją w usta. Małgorzata zadrżała na myśl o tym, że to może być ich ostatni pocałunek.

— Myj ręce i siadaj do obiadu — nakazała pozornie beztróskim tonem.

Marcin posłusznie kiwnął głową, po czym wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił, dzierżąc w dłoni bukiet czerwonych róż.

— A to z jakiej okazji? — zdziwiła się.

— Z okazji braku okazji — powiedział łagodnym głosem. — Po prostu cię kocham. Biorąc kwiaty, walczyła ze łzami, które cisnęły jej się do oczu.

— Ja też cię kocham — zabrzmiało to żałościwie, ale mąż niczego nie zauważył. Zadowolony wszedł do łazienki. Po chwili usłyszała dobiegający stamtąd głośny szum wody.

Jadła powoli, wsłuchując się w ożywiony monolog Marcina. W nocy trochę z Maćkiem zabalowali. Wrócili do hotelu o trzeciej nad ranem. Na szkoleniu następnego dnia mąż przysypiał, mimo to testy końcowe napisał na dziewięćdziesiąt pięć procent. Małgorzata patrzyła, jak gestykuluje ożywiony, przypominając szczęśliwego chłopczyka,



i na moment ogarnęły ją wątpliwości. Może podjęła niewłaściwą decyzję? Tylko czy tak naprawdę miała wybór?

Marcin rozsiadł się przed telewizorem, a ona sprzątnęła talerze. Wkładając je do zlewu, wyjrzała przez okno. Dach kościoła lśnił w słońcu. Po drugiej stronie ulicy, pod wiatą przystanku siedziało kilka osób. Staruszka w błękitnym płaszczu, dwóch zagadanych chłopaków, świadkowie Jehowy ze stojakiem, na którym codziennie wykładali swoje gazetki. Zwyczajni ludzie zajmujący się zwyczajnymi sprawami w zwyczajny wieczór. „Nie do uwierzenia — pomyślała — że jeszcze parę dni temu moje życie wyglądało tak samo”.

Odeszła od okna ze świadomością, że kiedy spojrzy przez nie kolejny raz, jej świat będzie przypominał kupkę gruzu. W przedpokoju zdjęła z wieszaka torebkę. Kawałek taniej skóry, a miała wrażenie, jakby dotykała rozgrzanego żelaza.

— Musimy porozmawiać — zwróciła się do męża.

Marcin na chwilę oderwał wzrok od telewizyjnych migawek.

— Coś się stało? — spytał z roztargnieniem.

Podąła mu kartkę z wynikami.

— Co to? — Rzucił jej pytające spojrzenie.

Patrzyła na jego twarz, zmarszczki wokół oczu. Znała każdą kreskę, każdą plamkę na skórze, każdy włoszek. Nagle pomyślała o tych wszystkich pustych, jałowych latach, które będzie musiała przeżyć bez męża. Rozumiała już, co miał na myśli tata, kiedy mówił, że mama jest jego największą miłością. Rozumiała jego decyzję o samotności. Ona też nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby spędzić życie z kimś innym niż Marcin.

— Sprawdź — odpowiedziała.

Mąż rozłożył kartkę i szybko przebiegł po niej wzrokiem.

— Ale skąd? Zarazili cię w szpitalu?

Przez chwilę walczyła z pokusą, żeby skłamać. To byłoby takie proste, powiedzieć, że zaraziła się u dentysty, na akupunkturze, w czasie zabiegu... Cokolwiek, byle nie najgorsze.

— Nie — powoli pokręciła głową. Doszła już tak daleko. Nie mogła teraz zawrócić.

— Zaraziłam się od... — urwała.

— Od faceta?

— Od Krzysztofa.

— Jakiego Krzysztofa?

— Od Jareckiego.

— Od Jareckiego? — Wzrok Marcina wyrażał bezbrzeżne zdumienie. — Jarecki jest chory na AIDS?

— Tak. Właściwie już nie jest chory. Nie żyje.

Marcin pokręcił głową. Na jego policzki powoli wracały kolory.

— To było przecież tak dawno temu. Niemożliwe, żeby cię zaraził.

Małgorzata sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. Przymknęła oczy i nabrała w płuca powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę.

— Wtedy, kiedy się z nim spotykałam, przed tobą, jeszcze był zdrowy. Zaraził się później.

— Co chcesz mi powiedzieć? — Do Marcina chyba powoli zaczęły docierać jej intencje.

— To, o czym myślisz.

— Spałaś z nim później? Kiedy byliśmy już razem? — Marcin poderwał się z tapczanu. Od jego spojrzenia Małgorzatę zaczęły palić policzki.

— Tak. Parę lat temu.

— Z kimś jeszcze? — zapytał cicho. Małgorzata miała wrażenie, że bardziej niż wiadomość o wirusie dotknęła go jej zdrada.

— Nie — zaprzeczyła od razu. — Marcinku, przepraszam. — Podniosła się i zrobiła gest ręką, jakby chciała go pogłaskać, ale odskoczył od niej jak oparzony. — Marcin. — Znów próbowała się do niego zbliżyć, lecz zrobił krok do tyłu.

— A ja tak ci wierzyłem... — odezwał się zduszonym głosem. — Przez wszystkie te lata... nigdy nawet nie spojrzałem na inną kobietę. Rozumiesz? — Patrzył na nią twardym wzrokiem, a ona nagle poczuła się zupełnie naga. Miała wrażenie, że pokój jest pełen światła, że z każdego kąta atakują ją białe reflektory. Tymczasem paliła się tylko boczna lampka, za oknem powoli zapadał zmierzch. — Koledzy romansowali z pielęgniarkami, w delegacjach chodzili do burdelu, a ja nic — ciągnął w zapamiętaniu. — Małgosia i Małgosia. Żałosny kretyn!

— Nie jesteś żalosny — zaprotestowała słabym głosem. Każde słowo męża uderzało w nią jak kamień. Zaczynało brakować jej tlenu.

— Owszem, jestem — przerwał jej ze złością. — I z kim puściła się moja słodka żonka? Z pieprzonym Redfordzikiem. Amantem od siedmiu boleści! — mówił coraz głośniej. Małgorzata była pewna, że sąsiadka z naprzeciwka ma niezłe słuchowisko, nie odważyła się jednak uciszać męża. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie, nie była pewna, do czego jeszcze może być zdolny. — Wiesz, ty też jesteś żalosna — wycedził.

Przez kilka sekund trwał w bezruchu, jakby czekał, aż słowa wybrzmiają w martwej ciszy pokoju, po czym wstał i zataczając się niczym pijany, wyszedł do przedpokoju. Małgorzata usłyszała trzask zamykanych drzwi i tupot stóp na schodach.

Długo siedziała w bezruchu, porażona tą rozmową. Nigdy wcześniej nie usłyszała od męża tylu gorzkich słów. Nigdy wcześniej nie mówił do niej takim tonem. Nigdy jej nie obraził. Miała wrażenie, jakby rozmawiała z zupełnie innym człowiekiem niż ten, z którym dzieliła życie przez kilkanaście ostatnich lat. Rozumiała jego reakcję, a mimo to poczuła się zraniona.

Po kwadransie niespokojnego spacerowania po mieszkaniu założyła buty i wyszła za Marcinem. Na klatce schodowej spotkała sąsiadkę. Gapiła się na nią tak natarczywie, że Małgorzata nie miała żadnych wątpliwości — słyszała krzyki męża. Wzruszyła tylko ramionami i zbiegła po schodach. Jakże to miało teraz znaczenie?

Od razu go znalazła. Siedział na ławce przy starej szopie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Na podwórku nie było nikogo, jeśli nie liczyć czteroletniej córki sąsiadów grzebiącej patykami w mizernej kupce piasku. Biedne dziecko. Od rana do wieczora uwięzione między wysokimi murami kamienic, za jedyne towarzystwo mające przytulone do dachu gołębice.

Usiadła obok męża i położyła rękę na jego zgarbionych ramionach.

— Kocham cię — wyszeptała. — Wiem, że mi nie wierzysz, ale naprawdę bardzo cię kocham.

Nawet się nie poruszył. Patrząc na drżące ciało męża, uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała, by płakał. Tylko raz zaszkliły mu się przy niej oczy. Gdy po przyjeździe do Łeby dowiedzieli się, że nie żyje żona gospodarza domu, w którym od lat wynajmowali pokój.

— Marcin — spróbowała jeszcze raz.

Oderwał ręce od twarzy mokrej od łez i gwałtownie podniósł się z ławki. Wszedł do budynku, a ona ze spuszczoną głową podążyła za nim.

W domu od razu wyjął z szafy torbę.

— Odchodzisz?

Spojrzał na nią, ale szybko, jakby ktoś go uderzył, odwrócił wzrok.

— Nie mogę na ciebie patrzeć. To tak boli — wyszeptał i zaczął wkładać do torby poskładane w kostkę ubrania.

Stała w milczeniu, patrząc, jak się pakuje. Czuła się jak pacynka, którą ktoś zdjął właśnie z palców. Nie miała siły na żaden ruch.

— Nie przestałaś go kochać, prawda? — zapytał, nie patrząc na nią. — Kochałaś nas obu? — Zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź.

Próbowała zaprzeczyć, ale głos uwiązał jej w gardle. Nie potrafiła już dłużej go okłamywać, a nagle dotarło do niej, że ma rację. Było tak, jak powiedział. Wtedy, w Sandomierzu, przespała się z Redfordem wcale nie dlatego, że dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie chodziło też o namiętność. Ani o żadne inne pokręcone teorie. Poszła z nim do łóżka, bo wciąż go kochała. Kochała ich obu — męża i Krzysztofa. Jej jabłko przez wiele lat składało się z trzech połówek.

— Nawet jeśli tak było, to już go nie kocham — odpowiedziała.

Marcin wypuścił torbę z rąk i stanął przy oknie.

— Co z nami będzie? — zapytała.

Odwrócił do niej twarz pełną bólu.

— Nie wiem.

— A HIV? Zrobisz badania? Będziesz się leczył? — Miała wrażenie, że zagrożenie chorobą jakoś mężowi umknęło. Powiedziała mu o zdradzie, bo chciała chronić go przed AIDS. Nie może pozwolić, żeby to zlekceważył.

Machnął ręką.

— Nie możesz być chora. To pomyłka. Jeśli nie kłamiesz i faktycznie spałaś tylko z nim, kilka lat temu...

— Jaka pomyłka? — Małgorzata spojrzała na męża z niedowierzaniem. Czyżby rozpacz do szczytu pomieszala mu w głowie?

— Nie mogłaś się zarazić — powtórzył z pewnością w głosie i przeszedł do łazienki. Stojąc w progu, patrzyła, jak jednym ruchem zsuwa do torby swoje dezodoranty i kremy.

— Przecież są wyniki, widziałeś je. Nie ma żadnych wątpliwości.

Marcin potrząsnął głową, sięgając po torbę.

— Małgorzata, przecież ja jestem honorowym dawcą krwi. Ostatni raz oddałem krew dwa miesiące temu. Jeśli ty byłabyś zarażona, ja też musiałbym być. I od dawna bym o tym wiedział. Oni HIV wyłapują od razu.

Słowa męża docierały do świadomości Małgorzaty bardzo wolno. Jak mogła o tym zapomnieć? Czy to możliwe, że on jest zdrowy, a ona chora? „Nie” — od razu sama sobie odpowiedziała. Przecież od nocy z Jareckim spali ze sobą bez zabezpieczenia setki razy. Marcin nie mógł mieć aż takiego farta. A jeśli jej wyniki to faktycznie pomyłka?

— To co ja mam teraz zrobić? — spytała słabym głosem.

Marcin wyszedł do przedpokoju i sięgnął po kurtkę.

— Zrobiłaś tylko to jedno badanie, prawda?

Potaknęła.

— Powtórzyłbym test w stacji epidemiologicznej. Dziwne, że nikt cię tam nie skierował. — Naciągnął okrycie na ramiona.

— Naprawdę myślisz, że cię nie zarażiłam? — Głos załamał jej się ze wzruszenia. Nic nie miało dla niej znaczenia. Nic poza tym jednym.

Spojrzał na nią i przez chwilę miała wrażenie, że widzi w jego oczach iskierki ciepła, których wcześniej tam nie było.

— Naprawdę.

Znów próbowała się do niego zbliżyć, ale odsunął się gwałtownie.

— Nie — odgrodził się od niej wyciągniętymi rękami.

— Gdzie będziesz mieszkał? U rodziców? — spytała, kiedy stał już w progu.

— A co miałbym im powiedzieć?

— Więc gdzie?

— To już nie twoja sprawa — od jego zimnego tonu zamarzło powietrze.

Otworzył drzwi i stał w nich odwrócony tyłem przez dłuższą chwilę. Znów ogarnęła ją chęć, żeby do niego podejść, poczuć choć przez moment kojące ciepło jego ciała, ale nie zrobiła tego. Nie zniosłaby kolejnego odtrącenia.

— Zadzwoń po badaniu — powiedział w końcu zduszonym głosem, a potem gwałtownie zatrzaskał za sobą drzwi.

Postanowiła załatwić sprawę jak najszybciej. Zadzwoiła do Anki, a ona od razu do niej przyjechała.

— Też mówiłam, że trzeba powtórzyć badanie, ale mnie się oczywiście nie słucha! — wyrzucała Małgorzacie przez całą drogę z Piekar do Katowic.

Jechały do stacji epidemiologicznej, w której weryfikuje się pozytywne wyniki. Wcześniej musiały jednak wstąpić do katowickiego laboratorium po skierowanie. Anka oczywiście nie omieszkała zarzucić laborantce braku profesjonalizmu, ale dziewczyna, z typową dla młodych ludzi beztroską, niespecjalnie przejęła się krytyką.

Stacja była postkomunistycznym molochem pokrytym brudnym, brązowym tynkiem. W środku przedstawiała się równie ponuro. Ciemne ściany, obite kafelki i wyposażenie sprzed co najmniej pół wieku. A do tego wszechobecny zapach lizolu. Obsługująca Małgorzatę pielęgniarka, uśmiechnięta dziewczyna z grubym rudym warkoczem, pasowała do tego wnętrza jak kwiatek do kozucha. Kiedy Małgorzata powiedziała, o jakie badanie chodzi, wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet na sekundę.

Uprzejmym gestem zaprosiła pacjentkę na krzesło. Potem energicznie założyła rękawiczki i sięgnęła po pustą fiolkę. Pobrała krew szybko i sprawnie.

— Wyniki będą w poniedziałek — oznajmiła, przykrywając miejsce po nakłuciu gazikiem.

Na pytanie, czy często zdarzają się pomyłki, odpowiedziała z przeproszającym uśmiechem, że nigdy nie miała do czynienia z takim przypadkiem.

— Zabieram cię na wycieczkę! — oświadczyła Anka, kiedy gigantyczny korek wymusił na nich postój przy chorzowskim teatrze.

— Teraz? Dokąd chcesz jechać? — spytała Małgorzata, odrywając wzrok od łopoczących na wietrze teatralnych afiszy. Jakiś koncert, przedstawienie z obsadą pełną znanych warszawskich nazwisk, spektakl dla dzieci. Z przykrością pomyślała, że być może już nigdy nie pójdzie razem z Marcinem do teatru. Ani do kina. Ani na spacer. Jak będzie bez niego żyć? Jak poukłada sobie świat bez najważniejszego dla siebie człowieka?

— Do Sandomierza.

Poczuła, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Czy Anka sobie z niej kpi?

— Chodzi o Roberta — wyjaśniła przyjaciółka. — Chcę się z nim spotkać. Zobaczyć na miejscu, co jest grane. Dlaczego mnie olewa. Rozmowa telefoniczna to nie jest rozmowa.

— Zastanawiam się, dlaczego tak nagle zaczęło ci na nim zależeć.

— Może zawsze mi zależało?

— Może. A może po prostu lubisz gonić króliczka. I jak go wreszcie złapiesz, znowu dasz sobie spokój. Zastanów się, zanim zaczniesz głębiej w to wchodzić. Myślę, że wystarczająco go już zraniłaś. — Małgorzatę samą zdziwiły własne słowa. Przecież zawsze uważała, że Anka powinna dać dentyście jeszcze jedną szansę. Skąd nagle ten opór?

— Mimo wszystko chciałabym do niego pojechać.

— Rozumiem.

— Jedziesz ze mną?

— Jadę. — Podróż sentymentalna była ostatnim, na co miała w tej chwili ochotę. Jednak jeszcze bardziej odstręczała ją myśl o wyczekiwaniu na telefon od męża w pustych ścianach swojego mieszkania.

— Pojadę się spakować, ty zrób to samo. Przyjadę do ciebie o trzeciej.

Kiedy Anka podjechała pod bazylikę, Małgorzata czekała już na nią na parkingu. W zupełnie niezłym nastroju. Choć broniła się przed tym rękami i nogami, czuła, jak jej serce napętnia się coraz większą nadzieją.

Miały do wyboru dwie drogi. Mogły jechać autostradą przez Kraków albo dwukierunkową szosą przez Zawiercie. Ostatecznie zdecydowały się na spokojniejszą trasę. Małgorzata zwróciła uwagę, że wszystkie miasteczka za Zawierciem są do siebie podobne. Małe pochylone domki, ciasno zbite przy chodniku, większy lub mniejszy rynek, kręte ulice. Wsie też wyglądały zupełnie inaczej niż te na Śląsku. Pomijając nieliczne nowobogackie wille, domy były skromniejsze i bardziej zaniedbane. Kiedyś Małgorzacie marzył się domek gdzieś pod lasem, z dala od ludzi, jednak im była starsza, tym większym przerażeniem napawała ją taka wizja. Nie lubiła tłumów, ale chciała, żeby

wokół niej coś się działo. Jeździły autobusy, spacerowali przechodnie. Podzieliła się swoją refleksją z Anką, która kompletnie ją zaskoczyła, oświadczając, że ona, owszem, mogłaby mieszkać na jakimś odludziu.

— Tylko skąd brałabyś wtedy kochanków? — zaśmiała się Małgorzata.

— No wiesz, może stworzyłabym sobie na tej prerii jakiś haremik.

Małgorzata roześmiała się z głębi serca.

— No tak, tylko co wtedy z tą upragnioną samotnością?

Anka zmarszczyła brwi.

— Będę musiała to wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Jedną z zalet sandomierskiej ziemi były ciągnące się całymi hektarami sady. Ciężkie od owoców, soczyste zielone, zrobiły na Małgorzacie duże wrażenie. Patrząc na nie, pomyślała, że może życie blisko natury nie jest wcale takie głupie. Że może nie ma racji i obecność przyrody wcale nie czyni nas bardziej samotnymi, raczej pomaga oswajać lęki, godzić się z przemijaniem. Przecież mieszkając z mamą w domku na wsi, nie czuła się wcale „poza światem”, przeciwnie, nigdzie nie była szczęśliwsza niż tam. A mama? Twierdziła zawsze, że ma dwa domy — jeden w mieście, drugi na wsi. „Kiedy jestem w Gieble, tęsknię za Piekarami, a kiedy jestem na Śląsku, tęsknię za Gieblem” — dzieliła się z córką swoim rozdarciem.

Dojechały późnym wieczorem. Anka zamówiła noclegi w urokliwym dziewiętnastowiecznym dworku nieopodal Starówki. Zamieszkały z przyjaciółką w jednym pokoju. Zjadły kanapki, które zostały im z podróży, po czym położyły się spać, postanawiając, że na miasto wybiorą się rano. Obie padały ze zmęczenia.

Po obfitym śniadaniu ruszyły na rynek. Było chłodno, ale słonecznie. Dostały się tam boczną bramą, zwaną Uchem Igielnym, przy której zrobiły sobie kilka fotek, w tym jedną wspólną, z wywalonymi językami, po czym ruszyły na Starówkę. Małgorzacie, mimo woli, wszystko kojarzyło się z Redfordem. Rynek, ulica Opatowska, Zamek. I choć wyglądały wtedy, w zimny jesienny wieczór, zupełnie inaczej niż teraz, atmosfera była taka sama.

Siedząc w kawiarnianym ogródku, Małgorzata przypomniła sobie zniecka Gdańsk i rozmowy z Anką o przyszłości.

— Tyle miałyśmy marzeń i co z tego wyszło? — rzuciła z goryczą. — Nie mam dziecka, męża też już chyba nie mam...

— Wszystko jeszcze przed nami — odpowiedziała przyjaciółka, choć i jej zrzęda mina.

Anka umówiła się z Robertem w kawiarni przy Opatowskiej na dwunastą, więc Małgorzata miała chwilę na samotny spacer. Kilka razy sięgała po telefon, żeby napisać do Marcina, ale za każdym razem rezygnowała z pomysłu, zanim palce dotknęły klawiatury. Po chwilowym spadku nastroju znowu czuła się dobrze. Sandomierz, choć obciążony niechcianymi wspomnieniami, miał wyjątkową magię. Małgorzata domyślała się oczywiście, że za murami Starówki jest normalne miasto, żule pijący w bramie wino marki wino, staruszki, którym z ledwością starcza na skromne życie — szary, smutny świat. Tutaj, wśród murów, które pamiętały czasy Kazimierza Wielkiego, czuło się jednak zupełnie inne wibracje.

Wracała do pensjonatu, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Z bijącym mocno sercem sięgnęła do kieszeni.

— Cześć, Małgoś — głos Alicji przyniósł rozczarowanie. Wiedziała, że to mało prawdopodobne, aby Marcin tak szybko chciał się z nią skontaktować, mimo wszystko cały czas podświadomie czekała na jego telefon.

— Cześć — odparła.

— Co u ciebie? Dzwoniłaś.

Małgorzata skupiła się, próbując przypomnieć sobie, kiedy i z jakiego powodu próbowała skontaktować się z Alicją, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

— Nic ważnego. A co u ciebie? Co z Wojtkiem?

— Wciąż chce do mnie wrócić.

— I co ty na to?

— Nie ma mowy. A ty gdzie jesteś? Spotkałam w szpitalu Marcina. Był jakiś dziwny. Przygaszony. Powiedziałam mu „cześć”, ale nawet nie odpowiedział. Wszystko u was w porządku?

— Pokłóciliśmy się — odpowiedziała, myśląc, że kiedyś być może o wszystkim jej opowie. Kiedy cały ten koszmar z HIV się skończy. Jeżeli się skończy, w co jednak, ku swojemu przerażeniu, coraz mocniej wierzyła. — A ja pojechałam z Anką do Sandomierza. Może do nas dołączysz? — zaproponowała nagle.

— Nie... — Alicja wyraźnie się wahała.

— Wyjazd dobrze ci zrobi.

— Nie, Małgoś. Spotkamy się po twoim powrocie. A z Marcinem to coś poważnego? Naprawdę źle wyglądał.

— Tak, poważnego — odrzekła Małgorzata szczerze — ale nie chcę o tym teraz rozmawiać.

— To trzymaj się, kochana — w głosie Alicji zabrzmiała czułość — na pewno wszystko między wami się ułoży — dodała z przekonaniem, a Małgorzata pomyślała, że bardzo chciałaby jej uwierzyć.

Wróciły z Anką do Piekar w niedzielę późnym wieczorem. Obie niespecjalnie szczęśliwe. Anka nie była zadowolona ze spotkania z Robertem, który przy drugiej kawie wreszcie przyznał się, że poznał kogoś innego. Anka nawet miała okazję ją zobaczyć. Atrakcyjna blondynka po pięćdziesiątce.

— Ułożona i sympatyczna, kompletne przeciwieństwo mnie — skomentowała ponurym głosem. — Wiesz, może i lepiej, że dał mi kosza. Chyba masz rację, podnieca mnie gonienie króliczka. Im bardziej facet jest niedostępny, tym bardziej mnie kręci. A jak już go złapię, to ciach, po fascynacji. Taka skaza.

— Z każdą skazą można sobie poradzić — powiedziała Małgorzata. — Trzeba tylko dać sobie szansę. Sobie, rozumiesz?

„W ogóle, Anuś, zrób coś ze swoim życiem. Przestań pić, idź na terapię” — dodała już tylko w myślach. Jakie miała prawo mówić przyjaciółce, jak ma żyć?

Małgorzata też nie była w najlepszej formie. W nocy z soboty na niedzielę znowu zatonała w internecie. Przypadkiem dotarła do artykułu o osobach genetycznie odpornych na wirusa HIV. Według autora tekstu niektórzy ludzie posiadają mutację, która sprawia, że nie można ich zarazić. Z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że Marcin to właśnie ten przypadek. Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Jej mąż należy po prostu do grona szczęśliwców pozbawionych receptora białek CCR5.

Poniedziałek rozpoczęła od wizyty w szkole. Musiała oddać w sekretariacie zwolnienie. Potem od razu pojechały z Anką do Katowic.

W stacji diagnostycznej czekały blisko godzinę, zanim kobieta w średnim wieku zdecydowała się zaprosić Małgorzatę do gabinetu. To było to samo pomieszczenie, w którym w sobotę pobrali jej krew. Usiadła na kręconym krzeselku, laborantka zajęła miejsce naprzeciwko. Miała miłą twarz, a kiedy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się dołeczki.

— No więc wszystko już wiadomo — oświadczyła, a jej wzrok spoważniał. Głowę Małgorzaty wypełnił pisk. Ogarnęło ją znane już dobrze uczucie wstydu i upokorzenia. Choć od parunastu godzin wiedziała, że nie było żadnej pomyłki, i tak poczuła rozczarowanie.

Kobieta rozłożyła białą kartkę i spojrzała na nią.

— Wyniki wyszły negatywne.

— Aha — odparła Małgorzata, podejmując heroiczną walkę ze swoim ciałem, które — nagle kompletnie sflaczało — nie dało się podnieść z krzesła.

— Nie cieszy się pani? — przez szum w głowie przebił się zaskoczony głos laborantki.

— Cieszę?

— Wyniki są negatywne — powtórzyła, a w rumianych policzkach znowu pojawiły się dziurki. — Nie ma pani HIV.

Małgorzata ledwo ją słyszała przez pisk, który coraz bardziej się nasilał. Miała wrażenie, że w jej głowie rozwyło się naraz tysiąc strażackich syren.

— Negatywne? — powtórzyła, ściskając oburącz czaszkę.



— Negatywne, czyli w przypadku przeciwnie dobre. — Laborantka tłumaczyła jej jak małemu dziecku. — Chyba źle się pani czuje...

Do Małgorzaty wreszcie dotarły jej słowa. Wyciągnęła rękę, próbując sięgnąć po kartkę.

— Mogę je zobaczyć? — tylko tyle udało jej się powiedzieć, zanim wokół niej zapadła ciemność.

Obudziła się na kozetce. Obok siedziała Anka i trzymała ją za rękę.

— No, wróciłaś wreszcie — na widok otwierających się oczu Małgorzaty twarz przyjaciółki rozjaśniła się uśmiechem. — Pamiętasz, co się stało?

— Tak. Jestem zdrowa — szepnęła.

W polu widzenia na chwilę pojawiła się pielęgniarka. Podała Małgorzacie kartkę z wynikiem. Musiała długo wyteżać wzrok, żeby z szarych plam wyłoniły się litery.

— Czy to pewna wiadomość? — spytała, gdy wreszcie udało jej się odczytać diagnozę.

— Nie ma żadnych wątpliwości. — Pielęgniarka posłała w kierunku Małgorzaty serdeczny uśmiech.

Małgorzata uniosła się na łokciach.

— Ale jak to możliwe? Przecież to cud.

— Niekoniecznie — odezwała się starsza kobieta, siadając na kozetce. Małgorzata pomyślała, że chciałaby mieć taką matkę. Spokojną i czułą. — Fałszywe wyniki czasem się zdarzają. Dlatego właśnie zawsze trzeba je zweryfikować. Przyczyny pomyłki mogą być różne. Nawet ta najbardziej banalna — ciąża. Na pani miejscu zrobiłabym test.

— Muszę gdzieś zadzwonić. — Małgorzata sięgnęła do kieszeni spodni.

— Najpierw stąd wyjdźmy, a potem pomyślimy o telefonach — odparła Anka, pomagając przyjaciółce wstać.

— A nie mówiłam? — ekscytowała się Anka, kiedy wolnym krokiem zmierzały w kierunku samochodu. Małgorzata czuła się już lepiej, mimo to przyjaciółka wciąż trzymała ją pod ramię.

— Masz intuicję. Moja mnie zupełnie zawiodła. Ale w tym wypadku to chyba dobrze.

— Jak cholera! — Anka roześmiała się, otwierając przed Małgorzatą drzwiczki swojego jeepa. Zaraz potem szybko obiegła samochód i wskoczyła za kierownicę. Przekręciła kluczyki i z głośnym warkotem wyjechała na ulicę. Nagrzana tapicerka wydzielala duszny zapach skaju, Anka jednak od razu włączyła klimatyzację i już po chwili samochód wypełnił powiew chłodnego powietrza.

Małgorzata z niedowierzaniem przyglądała się mijającym je samochodom i przechodniom, grzejącym twarz w słońcu, które znowu zaczęło przypiekać. Czuła się jak człowiek, które przesiedział rok w celi śmierci, a teraz w końcu wypuścili go na wolność.

— Żałujesz, że mu powiedziałaś? — Anka spojrzała na Małgorzatę znad kierownicy.

— Marcinowi? — upewniła się.

Przyjaciółka potaknęła.

Czy żałowała? Gdyby tego nie zrobiła, jej życie wyglądałoby tak jak wcześniej, a lęk o małżeństwo nie przesłoniłby jej radości z negatywnych wyników. Pojechałaby do domu, w którym czekałby stęskniony mąż, zjedliby kolację, poszli na spacer albo spędzili cały wieczór w łóżku, jak jeszcze od czasu do czasu zdarzało im się robić. Na początku może gryzłaby się trochę przeszłością, szybko jednak przeszłaby nad nią do porządku dziennego, upychając wspomnienia w najciemniejszym kącie podświadomości. Znowu żyłoby normalnie.

Kusząca wizja, jednak coś w niej zgrzytało.

— Nie, nie żałuję — odpowiedziała.

— Naprawdę?

— Wiesz, dopiero ta sytuacja uświadomiła mi, jak wyglądały moje ostatnie lata. W jak ogromnym, choć nieuświadomionym żyłam stresie. Ten lęk, że Marcin dowie się o mojej zdradzie, złość na siebie, na Krzysztofa... — Spojrzała za okno na wolno przesuwane się ceglane kamienice. — Teraz czuję się... — długo szukała właściwego słowa — wolna. Po prostu wolna.

Anka kiwnęła głową, ale Małgorzata nie była pewna, czy ją zrozumiała. Od zawsze zupełnie inaczej definiowały moralność.

— Chcesz zadzwonić do Marcina? — przyjaciółka zmieniła temat.

— Nie, zadzwonię do niego później. — Małgorzata poczuła, jak żołądek owija jej szczelnie lodowa chusta. Z każdą chwilą coraz bardziej obawiała się rozmowy z mężem. Do jakich wniosków doszedł w ciągu paru dni rozłąki? Czy będzie jeszcze chciał z nią rozmawiać?

— Rozumiem. To co teraz robimy? Dokąd jedziemy uczcić dobrą wiadomość? Jakaś pizza? Piwo?

Pokręciła głową.

— Chciałabym pojechać do Redforda.

— Na cmentarz?

— Najpierw do jego domu. Chcę porozmawiać z Darią.

Przyjaciółka spojrzała na nią z dezaprobatą, ale kiedy dojechały do skrzyżowania, posłusznie zmieniła pas i zawróciła na światłach. Po chwili ponownie znalazły się w Katowicach.

Właściwie nie wiedziała, po co tam jedzie. Co chce powiedzieć tej obcej dziewczynie, którą przed laty tak bardzo skrzywdziła? Skrzywdziła, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zabierała jej ojca, kiedy on powinien był poświęcać czas rodzinie. I co z tego, że Jarecki miał tak wiele kobiet, a ona była tylko jedną z nich, ani szczególnie ważną, ani szczególnie wyjątkową? To nie umniejszało jej winy.

Nie bała się, że w domu Krzysztofa spotka jego żonę. Przecież Jarecki mówił, że wyjechała za granicę, kiedy dowiedziała się o jego chorobie. Czy przyjechałaby na pogrzeb męża, jeśli nie towarzyszyła mu w ostatnich chwilach? Czy byłaby aż tak zakłamana? A swoją drogą, co z niej była za matka? Zostawić kilkunastoletnią dziewczynę przy umierającym człowieku. To się nie mieści w głowie. A może tak właśnie było dobrze? Może gdyby zabrała Darię od ojca, dziewczyna do końca życia miałaby wyrzuty sumienia, że go zostawiła? Jak Małgorzata, która do tej pory obwiniała się o to,

że kiedy jej matka umierała na stole operacyjnym, ona siedemset kilometrów od niej bawiła się na obozie harcerskim. Wszystko działo się tak szybko, że ojciec nie zdążył powiedzieć jej o wypadku mamy przed jej śmiercią...

Dziewczyna otworzyła już po pierwszym dzwonku. Błada, w ciemnej sukience wyglądała znacznie dojrzalej niż podczas ich ostatniego spotkania.

— To pani — odezwała się z wyraźną niechęcią, robiąc gwałtowny ruch ręką, jakby chciała zatrzasać przed Małgorzatą drzwi. W ostatniej chwili jednak się zawahała i drzwi pozostały otwarte.

— Możemy porozmawiać? — spytała Małgorzata.

Daria wzruszyła szczupłymi ramionami.

— O czym?

— Nie wpuścisz mnie?

Dziewczyna z ociąganiem zamknęła drzwi i wyszła na schody.

— Proszę za mną. — Ruszyła przed siebie.

Poprowadziła Małgorzatę wokół domu, po czym wskazała jej miejsce na bujanej huśtawce, stojącej pośrodku zadbanego ogródka. Sama zajęła miejsce naprzeciwko, na plastikowym krzeselku. Zaplotła ręce na piersiach i rzuciła gościowi chmurne spojrzenie.

— Słucham. — Uśmiechnęła się krzywo. Kąciki ust opadły jej w dół. „Dziewczyny w tym wieku nie powinny uśmiechać się w ten sposób” — przemknęło przez myśl Małgorzacie.

— Przyjechałam, bo powinnam cię przeprosić. Ta moja reakcja... Niewłaściwa. Ale... — zaczęła się nieporadnie tłumaczyć.

Oczy dziewczyny zamieniły się w wąskie szparki.

— Wiem. Ojciec zaraził panią HIV.

Poczuła, jak na policzki wypływa jej rumieniec.

— Tak myślałam. To znaczy... — jąkała się. Przez chwilę miała ochotę opowiedzieć dziewczynie swoją historię, szybko jednak zrezygnowała. Nie po to tu przecież przyjechała. — Nie zaraził mnie — ograniczyła się do konkretnej informacji. — Jestem zdrowa.

— To dobrze — odpowiedziała dziewczyna, ale widać było, że jest jej to doskonale obojętne. Zresztą dlaczego miałyby nie być?

Patrzyła w głąb ogrodu, jakby było tam coś interesującego. Poza zardzewiałą suszarką na bieliznę, na której wisiało kilka czarnych podkoszulków, podwórko świeciło pustkami.

— A ty? — Przecież ona też mogła się zarazić. To mało prawdopodobne, ale jednak możliwe. Ojciec mógł opatrywać jej rany, mogli używać tych samych nożyczek do paznokci, pilnika...

— Jest okej — odpowiedziała niechętnie. — Matki też nie zaraził — dodała, a Małgorzata znowu poczuła wstyd. Co ta dziewczyna musiała o niej myśleć? O niej i innych kochankach ojca. Za kogo je miała?

— Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że jest mi przykro, że twój tata zmarł. I że rozumiem, co teraz czujesz. Też straciłam rodziców jako nastolatka — mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem. Miała wrażenie, że jej słowa zupełnie nie

trafiają do dziewczyny, że odbijają się od niej jak od szklanej ściany i rykoszetem trafiają w ich autorkę. Mimo to mówiła dalej. — I chciałabym cię prosić, żebyś nie pozwoliła temu zdarzeniu zdominować swojego życia. — Przełknęła głośno ślinę. — Bądź dzielna. I żyj.

Podbródek Darii zaczął drżeć. Zagryzła mocno wargi i zacisnęła powieki. Potem zdecydowanym ruchem starła łzę z policzka.

Małgorzacie na moment stanęła przed oczami mała dziewczynka z włosami związanymi w dwa kucyki, którą pewnego dnia, wiele lat wcześniej, spotkała w gabinecie Krzysztofa. Małgorzata była już wtedy z Jareckim. Sypiała z nim. Czy poznanie jego córki wprowadziło ją w konsternację? Czy istnienie tej dziewczynki było dla niej jakimkolwiek problemem? Czy miała wyrzuty sumienia? Nie musiała długo zastanawiać się nad odpowiedzią. Oczywiście, że nie.

— Przepraszam — powiedziała. — Naprawdę bardzo cię, dziecko, przepraszam — powtórzyła, czując, jak coś w niej pęka, jak wali się kolejny mur.

Córka Redforda rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, nie zadała jednak żadnego pytania. Odezwała się dopiero, kiedy Małgorzata była już przy furtce.

— Tata chciał być skremowany. Życzył sobie, żebym go rozsypała w górach. Miał taką ukochaną polankę... Nie udało się. Wie pani, w Polsce to chyba nie jest jeszcze legalne. No i Kościół jest przeciwny, a matka jest żarliwą katoliczką.

Małgorzata słuchała jej uważnie, ciekawa, do czego zmierza.

— Chciał rozmawiać o śmierci. Dokładnie wszystko zaplanował, nawet muzykę, którą mają mu zagrać na pogrzebie. Wie pani, on lubił rządzić — dodała, a przez jej twarz przebiegł cień uśmiechu.

— Wiem. — Małgorzata też się uśmiechnęła.

— Tuż przed śmiercią dał mi kilka zdjęć. Powiedział, żeby go z nimi spalili. Ojciec, matka, moja mama. Na jednej fotografii był z młodą dziewczyną. To była pani.

— Na fotografii? — Małgorzata nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek pozowała z Jareckim do zdjęcia.

— Stoicie przed uczelnią. Pani ma na sobie czarną sukienkę z białym kołnierzykiem. Włosy związane w koński ogon.

Potaknęła, walcząc ze wzruszeniem. Faktycznie, Krzysztof poprosił, żeby po obronie pracy magisterskiej jeden ze studentów zrobił im zdjęcie. Fotografia promotora i szczęśliwej studentki. Na pamiątkę.

— Na którym cmentarzu leży twój ojciec? — spytała cicho.

— Przy Francuskiej.

— Dziękuję. — Złapała dziewczynę za rękę i długo jej nie puszczała.

Anka stała obok samochodu, paląc papierosa. Jak Małgorzata mogła się domyślić z liczby przydeptanych na chodniku petów, już trzeciego.

— Nie wiem, po co tu przyjeżdżałaś. — Pokręciła głową, rzucając kolejny niedopałek na ziemię.

— Wystarczy, że ja wiem — odpowiedziała Małgorzata, patrząc w dal.

Na końcu ulicy zamajaczyła jakaś postać. Kobieta była znacznie cięższa niż przed laty, ale wciąż miała czarne włosy ściągnięte w kucyk i wyrazisty makijaż. Czarna

sukienka i rajstopy w taki upał nie pozostawiały wątpliwości, że nosi żałobę.

— Wsiadasz? — Z wnętrza samochodu wychyliła się ciemna czupryna.

— Tak, już idę — odpowiedziała Małgorzata, wsuwając się posłusznie na siedzenie pasażera. Nie, na to spotkanie nie była jeszcze gotowa. I chyba nigdy nie będzie.

— Widziałas? Żona Redforda. — Anka zrobiła dyskretny ruch głową, wskazując mijającą ich Jarecką.

— Widziałam.

— Głupia cipa.

Małgorzata obróciła się gwałtownie w stronę przyjaciółki.

— Głupia? Bo trafiła na seksoholika, bawidamka, który nie liczył się z uczuciami innych ludzi? To raczej my, te wszystkie napalone siksy, byliśmy głupie. Głupie i okrutne.

Anka westchnęła teatralnie.

— Ty i to twoje wieczne poczucie winy. Mogłabyś wreszcie wrzucić na luz. Było, minęło, ciesz się życiem, a przeszłość zostaw przeszłości — zakończyła sentencjonalnie, ale zabrzmiało to już nie tak pewnie, jak zabrzmiałoby jeszcze kilka dni temu. Małgorzata miała wrażenie, że myślami Anka jest bardzo daleko. — Gdzie teraz? — spytała.

— Na cmentarz — odpowiedziała, zapinając pas.

Cmentarz przy Francuskiej był jedną z ulubionych nekropolii Małgorzaty. Wyspa ciszy w samym centrum rozkrzyczanego miasta. Jako studentka często tamtędy przechodziła. Skracała sobie drogę do Biblioteki Śląskiej, której monumentalna budowla znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Spacer przez stary cmentarz uspokajał ją, dystansował od problemów.

Teraz, przemierzając zacienioną aleję, z narzekającą Anką u boku, nie czuła jednak tamtego spokoju. Przeciwnie, im dłużej krążyła po wąskich alejkach, tym większy ogarniał ją lęk.

Grób Jareckiego znalazły dość szybko.

— Na pogrzebie były tłumy — odezwała się Anka. — Widziałam relację w lokalnej telewizji.

— Nie wątpię — powiedziała Małgorzata, myśląc o tym, jak mało zostaje z człowieka. Garstka popiołu i trochę kwiatów.

— Poczekam na ciebie. — Anka zatrzymała się i usiadła na drewnianej ławce dwie kwatery od grobu Krzysztofa.

Małgorzata przykucnęła obok obłożonego jeszcze przywiedłymi wieńcami kopca.

Jadąc tu, nie wiedziała, po co to robi. Co tak ją ciągnie w to miejsce. Teraz, kiedy przyglądała się białej tabliczce z wypisanym na niej czarnymi literami nazwiskiem Redforda, wreszcie to do niej dotarło. Przyjechała tu, aby się z nim pożegnać. Do tej pory chyba nie umiała tego zrobić. Mimo szczęśliwego życia z Marcinem Krzysztof wciąż był w nim obecny. Najpierw jako dawny kochanek, któremu nie potrafiła wybaczyć porzucenia, a tak naprawdę ktoś, do kogo podświadomie wciąż tęskniła, potem jako wyrzut sumienia, w końcu zaś, na parę długich wrześnieowych dni, stał się jej katem. A teraz? Kim był teraz? Przeszłością, którą wreszcie chciała zostawić za sobą. Mogła to zrobić tylko w jeden sposób. Musiała mu wybaczyć. Jemu i sobie. Sobie chyba nawet

bardziej. Dlaczego wydawało jej się, że wreszcie jest to możliwe?

Podniosła się z klęczek i jeszcze raz rzuciła okiem na białą tabliczkę. Nie musiała się rozglądać, żeby zapamiętać to miejsce. Wiedziała, że jest tutaj ostatni raz.

— A właściwie jak to się stało, że wcześniejszy wynik był pozytywny? Pomylili próbki? — spytała Anka, kiedy wychodziły na zakorkowaną ulicę. Zaparkowały na placu Sejmu Śląskiego, pod uniwersytetem, czekał je więc dłuższy spacer. Niebo zasłoniła ciemna chmura i dzięki temu upał trochę zelżał. Szły powoli, bo Małgorzata wciąż była słaba.

— Chyba będzie burza — zauważyła, spoglądając w górę.

— Tak. — Anka podążyła za nią wzrokiem. — Więc co powiedziała pielęgniarka?

— Uśmiejesz się.

— No?

— Że to może być ciąża. Czasem podobno fałszuje wyniki.

— Ciąża? Poważnie? — Anka stanęła jak wryta. — Musisz zrobić test! Najlepiej z krwi, słyszałam, że jest pewniejszy.

— Nie ma mowy. — Małgorzata potrząsnęła głową. — Mam już dość laboratoriów, wyników i niepewności. Tym bardziej że w tym przypadku naprawdę musiałyby zdarzyć się cud.

— Ostatnio też tak mówiłaś — Anka pokręciła głową, otwierając samochód.

Zadzwoiła do Marcina, jak tylko przekroczyła próg mieszkania. Odebrał po jednym dzwonku.

— Zrobiłam powtórny test — oznajmiła, żywiąc nadzieję, że mąż nie słyszy, jak mocno wali jej serce. Nie rozmawiali od kilku dni, a miała wrażenie, jakby minęły całe wieki. — Nie mam HIV. To była pomyłka.

— Cieszę się — usłyszała w odpowiedzi, jednak nie potrafiła wyczuć jego emocji. Głos był jakiś inny, przytłumiony.

— Gdzie jesteś? — spytała. To nie mógł być szpital. W tle, zamiast zwykłego hałasu, słyszała zawrozczenie skrzypiec.

— U Joanny — odpowiedź pojawiła się błyskawicznie.

Przełknęła głośno ślinę. Nagle bardzo zachciało jej się pić.

— Mieszkaś z koleżanką z pracy? — spytała.

— Tak, właśnie wyprowadziła się jej sublokatorka. Nie chciałem iść do rodziców. Nie chcę, żeby wtrącali się w nasze sprawy. Wiesz, jaka jest matka...

— Nic jeszcze nie wiedzą? — spytała, czując nagły przyływ nadziei. Skoro Marcin nie powiedział rodzicom, że są w separacji, może wszystko między nimi jeszcze się ułoży.

— Oczywiście, że nie. Za kogo ty mnie masz? — obruszył się. Na moment pojawił się przed jej oczami. W niebieskiej koszuli, z podwiniętymi do łokci rękawami i srebrnym zegarkiem na nadgarstku. Umieśnione przedramiona męża podniecały ją bardziej niż wszystkie inne części ciała razem wzięte.

— Wróc do domu — poprosiła, kiedy dźwięk skrzypiec został zastąpiony basem telewizyjnego lektora.

— Nie ma mowy — zareagował zdecydowanie. — Potrzebuję czasu do namysłu

— dodał po chwili łagodniej.

— Rozumiem — odpowiedziała bardziej dla zasady niż z przekonania, ale po chwili dotarło do niej, że naprawdę tak jest. Rozumiała męża. Jego wyprowadzkę. Potrzebę separacji. Zrozumiałaby chyba nawet, gdyby zostali z piękną Joanną kochankami. Może nawet tak właśnie powinno się stać? Marcin weźmie odwet na wiarołomnej żonie, potwierdzi nadszarpniętą jej zdradą męskość, a potem wróci do niej i będą mogli zacząć wszystko od początku. Z czystą kartą. — Muszę już kończyć. Wszystkiego dobrego, kochanie — pożegnała się.

Z wyłączonym telefonem stanęła przy oknie. Powoli zapadał zmierzch, bazylika mieniła się delikatnym światłem reflektorów. Na parkingu obok figury Matki Boskiej, zwykle zapchanym do granic możliwości, teraz panowały pustki. Po chwili z głośnym piskiem zaparkował na nim czarny jeep.

Małgorzata odeszła od okna. Z szafki nad zlewem wyjęła dwa kubki, które postawiła na stole. Napełniła czajnik wodą. Kawa była gotowa, zanim Anka zapukała w drzwi.

*Piekary Śląskie, 1 czerwca 2017 r.*





TO NIE MOŻE BYĆ  
*prawda*

HANNA DIKTA

